

BIURO
DROK
LUBIK

PRZEDŚWIT



*Henryk Sienkiewicz
Warszawa 30. IX 1898.*

K 60/69 / 1



ienkiewicza zbyt wszyscy czujemy w sobie, zbyt jeszcze żywo widzimy go koło siebie, by można było o nim tak pisać, jak się pisze o faktach historycznych.

Nam się bowiem zdaje, że Sienkiewicz stanie się dla przyszłości faktem historycznym, i to będzie naturalnie szczytem tryumfu jego.

Na to jednak potrzeba jeszcze ognia czasu, który przetapia kruszce wartości.

Choć Sienkiewicz był znacznie więcej, niż wielkim talentem.

Czy był geniuszem, trudno określić, trudno zdecydować, już choćby dlatego, że w twórczości i działalności Sienkiewicza są miejsca słabsze, zgoła nie genialne. Geniusz zaś jest zagadką wielkości bezwzględnej. Nawet omyłki jego powinny być genialne.

Ale Sienkiewicz jest człowiekiem historycznym.

Był bowiem syntezą pewnej epoki psychologicznej polskiej. Zawarł ją w sobie. Bo Sienkiewicz nie tylko należy do literatury. Ale należy i do historii.

Przeszedł wszystkie szczeble wielkiej roli. Naprzód był znanym, potem głośnym, popularnym, wreszcie sławnym. W jakiś czas po śmierci będzie dopiero można powiedzieć, że jest wiecznym, i to, zdaje nam się, dlatego właśnie, że zajął miejsce w historii Polski.

Przyszłość dopiero pokaże, czy Sienkiewicz stanie się w literaturze—klasycznym.

Natomiast niema kwestyi, że każda historia Polska musi w przyszłości wymienić:

„W takiej to epoce, gdy społeczeństwo Polskie otaczały mroki zwątpień, gdy dusze zamykały się na dziesięć spustów, gdy się bano własnej przeszłości, a poniekąd wstydzono, gdy zapominano z umysłu wszystko, co było jasnego, co było naszym światłem w dni minione, zaczął pisać Sienkiewicz, „ku pokrzepieniu serc“.

Tych kilka wierszy w historii—oto tytuł do miłości narodu do Sienkiewicza.

Sienkiewicz był Kaloskagatos — piękny i najlepszy.

Piękny, bo był harmonijny, — najlepszy, bo był typem współczesnego polskiego rycerza, polskiego dżentelmena w najwyższym gatunku.

Urodził się na wielkiego. Miał wielki spokój duszy, był nieco po nad życiem, miał powagę.

To mu nadawało pewną nieprzystępność, niepowszedniość, co mu pozwalało na tem silniejsze oddziaływanie sugestywne na społeczeństwo.

Zarówno jego dzieła, jak jego postać miały dużo majestatu, który zawsze był, jest i pozostanie na wieczne czasy siłą fascynującą tłumy.

Nie był tym bohaterem, który walczy o jakieś nowe idee, nie był nigdy z tego powodu męczennikiem, ale był kondensatorem energii i bohaterskich pierwiastków, tkwiących w narodzie.

Nie walczył nigdy ze swym narodem, jak Sokrates, Savonarola, Ibsen, Heine, i wyrazicielami tej roli, ale szedł z nim, oświeclając mu drogę i krzepiąc serca w ciężkości. Jeżeli wrogowie.

Nie mógł z tego powodu należeć do żadnej szkoły, kapliczki, partii, sekty politycznej, czy społecznej, był ponad tem, sam w sobie był partią, sztandarem, tak jak wszyscy istotnie wielcy, jak wszystkie potężne duchy.

Miał wrogów, ale przyznać trzeba, że umysły duże, jak Nałkowski lub Brzozowski, którzy mu zarzucali, w słowach coprawda brutalnych, że był spóźnionym bardem szlacheckim, że nie był demokratą, że był tylko lepszym Kraszewskim. Wszystkie te zarzuty, gdyby nawet były oparte na istocie rzeczy, nie zmniejszyłyby w niczem chwały Sienkiewicza, bo nie można nikomu zarzutu robić z tego, czego nie dokonał, lecz należy go sądzić je-

dynie zato, co uczynił, skoro mowa jest o twórczości artystycznej, boć Sienkiewicz był wielkim artystą, i dlatego właśnie stał się tak wielkim obywatelem, takie usługi oddał narodowi, tak rozgłosił jego sławę, tak potężne zyskał imię, tak zaważył na naszym życiu duchowym...

Wszystko, co wychodziło z jego duszy, miało spiżową formę, było pięknem samo w sobie i dlatego stawało się prawdą.

Dzieła jego mają w sobie jakąś powszechność artystyczną: są poezją, plastyką i muzyką.

Proszę odczytać głośno stronicę z „Krzyżaków“, z „Bartka“, lub z „Quo Vadis“. W prozie tej znajdziemy rytm prawdziwie polskiego języka, rytm muzyczny. Opowieści jego są obrazami pełnymi barw, kolorowemi, mają plastykę rzeźb, to też nie raz słyszeć się dawało zdanie artystów, że gdyby Sienkiewicz poszedł był inną drogą, byłby może znakomitym rzeźbiarzem lub malarzem.

Patryotyzm w tym człowieku był najcichszy i najskuteczniejszy. Nigdy o nim nie mówił, tylko tworzył, tworzył i tworzył. Nikt tak nie rozumiał, jak on, że słowa są niczem, tylko czyn jest krokiem naprzód w odbudowie Rzeczypospolitej.

Każda jego książka była czynem, i stawała się księgą narodu.

Nie zajmował się nigdy, w najmłodszych nawet latach, krytykowaniem swoich współczesnych kolegów, współtwórców, towarzyszy po piórze. Rozumiał, że krytyka jest zerem wobec twórczości, że najlepszą krytyką jest napisanie rzeczy lepszej, niż istniejąca, że krytyka nie jest twórczością, jest tylko negowaniem cudzej pracy, że tem Polska nie stanie.

Umiłowaniem jego było ziemiaństwo, w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Kochał ziemię, rolę, wieś, puszcze, polowanie. Nie lubił miasta, jaknajczęściej uciekał z niego.

Naród to odczuł, gdy mu w dniu jubileuszowym złożył w podarunku kawał ziemi.

Stosunek jego do innych pisarzy polskich był naogół bardzo życzliwy. Parę razy tylko w życiu zachnął się na działalność dwóch naszych bardzo zresztą sławnych pisarzy, Żeromskiego i Przybyszewskiego, nie zgadzając się zupełnie z kierunkiem ich dzieł.

Był postępowym konserwatystą, jeżeli się tak można wyrazić, dlatego tak wielbił Anglię, typowy właśnie kraj postępu w zachowawczości; wielbił angiłów nawet pomimo Irlandyi, której kwestyę pewno dobrze rozumiał i wiedział, że anglicy dlatego nie chcą zrównania z sobą irlandczyków, że hodując u siebie wytworny typ szlachetnego dżentelmena, jako wzór człowieka w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, nie mogą do swej rodziny dopuszczać narodu, znanego z niezliczonych wad, kłamstwa, poziomości, nieszczerości i t. d. Wielbił ich nawet podczas wojny z Burami, bo wiedział, że Anglicy dopiero powołają Burów do wolności istotnej, do organizacyi nowoczesnego państwa, że oni ich wyprowadzą ze stanu pastuchów i dadzą im w rękę państwowość nowożytną.

Nienawidził też Niemców za tysiącoletnie ich z nami walki o: „być i niebyć“, za ich upadek moralny, za Hakatę i Wrześnię, za „Bartka — Zwycięzcę“, za ich zmechanizowanie życia, ich brzydotę, którą każdy wielki artysta musi gardzić.

O ile on wogóle umiał nienawidzić.

Bo był gołębiego serca.

Jak każdy, kto posiadał mądrość.

GUSTAW OLECHOWSKI.

POLITYKA SIENKIEWICZA.



o gdyby zwrócić się do tych tysięcy i zapytać, kto opromienił nas największą sławą, kto najpotężniej wyraził to, co w nas jest cne i szlachetne, co idzie z Boga, co jest wiarą, nadzieją i Chrystusowem przykazaniem miłości? — kto kochał za miliony? wówczas wszystkie

piersi wydałyby jeden okrzyk:

„— Ten ci jest!”

To słowa Sienkiewicza. Słowa, które przygotował był ongi na uczczenie Mickiewicza, na określenie jego stanowiska w całości naszej literatury i naszego życia narodowego — a dziś mamy prawo i obowiązek zwrócić je ich autorowi, jako hołd i wyraz tego, czem on sam był dla współczesnych, jakie było znaczenie Sienkiewicza dla swojej epoki.

I to zarazem pierwszy i najważniejszy tytuł jego do nazwy polityka. Bo polityka jest niczem innym, jak uregulowaniem i podniesieniem do wyższego natężenia życia narodowego, a on to życie siał pomiędzy naród pełnymi garściami, wprowadzał w nie najwyższy czynnik harmonii.

Sienkiewicz politykiem? On, człowiek nienależący do żadnego stronnictwa, on — artysta!..

Tak — i to wielkim! Być może właśnie dla tego, że nie był mężem stronnictw, a na pewno właśnie dla tego, że był artystą.

Trzeba było wieków sporów i dociekań naukowych, trzeba było najnowszych odkryć z życia owadów i zwierząt wogóle, a w ślad za tem przewrotu w filozofii nowoczesnej, aby uczony ogół przyszedł do stwierdzenia tego, co szary tłum oddawna przeczuwał. Mianowicie, że prócz inteligencji jest jeszcze druga władza duchowa, intuicyja, w zasadzie i w początkach swych wyższa od tamtej, bo pojmuje szybko i odrazu całą istotę rzeczy, podczas gdy inteligencyja bada ją powoli, z zewnątrz i częściami. Najwybitniejszymi wyrazicielami tej siły duchowej są wielcy artyści. Jeżeli więc taki artysta ma za arenę dla swej intuicyi odpowiednio wielki horyzont myślowy, a za narzędzie wielką miłość narodu, odnajduje w „polityce“ te prawdy ogólne, dla których zbadania stronnictwa polityczne i polityczne kierunki są dopiero ekspedycjami odkrywczymi i różnymi drogami, mierzalnymi do nich wiodącymi.

Sienkiewicz miał tę intuicyę, Sienkiewicz posiadał olbrzymi horyzont myślowy, Sienkiewicz płonął

miłością narodu, jak pochodnia życia i dlatego zdawał sobie prawo do nazwy największego polityka polskiego czasów ostatnich.

Ale dla tego właśnie nie mógł być człowiekiem partji.

Były wprawdzie chwile, kiedy po kolei rozmaite stronnictwa próbowały go sobie przywłaszczyć, chociaż on zawsze pozostawał tym samym, zawsze sobą. Z początku klepali go po ramieniu demokraci odcięcia pozytywistycznego, w okresie „Trylogii“ i „Bez Dogmatu“ przyznali się do niego konserwatyści, „Quo Vadis“ zachęciło ultramontanów do próby spacerowania z nim pod ramię, po ankiecie „Courrier Européen“ socjaliści gotowi byli dać mu pozwolenie na noszenie czerwonego sztandaru, a w „Wirach“ i narodowi demokraci widzieli podpisanie swojej deklaracji partyjnej.

Nie znaczy to jednak, aby Sienkiewicz chwiały się między sprzecznymi kierunkami politycznymi, ale że on trzymał prostą i wielką prawdę w rękę, a kolejno, to jedno, to drugie stronnictwo bardziej od innych się do niej zbliżało, lecz zawsze ostatecznie pokazywało się, że tylko on miał słuszość.

I tak było do końca, aż do samej śmierci. W czasie wojny postępowanie Sienkiewicza wydało się zupełnie bezpolityczne: usunął się na ubocze i uczynił się „wielkim jałmużnikiem narodu“. Ale to było wynikiem głębokiego jego przekonania, wyrażanego niejednokrotnie, że sprawę naszą rozwiążą siły dziejowe i że najważniejszym naszym zadaniem jest na tę chwilę przechować naród, o ile możności, nietknięty ewentualnie, o ile się da zmniejszyć jego wycierpanie klęskami. I już teraz pokazuje się, że gdybyśmy wszyscy go naśladowali, oszczędzilibyśmy sobie wielu klęsk, wielu fałszywych kroków, olbrzymich strat i rozłamów wewnętrznych, a rzecz byłibyśmy bardziej zbliżyli do rozstrzygnięcia... Była więc i to polityka, a w dodatku jedynie mądra polityka...

Dlaczego więc Sienkiewicz nie stanął praktycznie na czele życia narodowego?

Dlatego, że nie posłuchanoby go, bo krótkowidzom ludzie o dalekim wzroku wydają się fantastami, bo w polityce jest jak w „krajnie ślepych“ Wellsa, gdzie człowiek zdrowy na oczy, chcąc żyć w społeczeństwie ślepych, musi się dać oślepić...

Sienkiewicz też, patrząc z wszechludzkiej wyżyn artystycznych, miał prawie że pogardę dla praktycznych — powiedzmy: najpraktyczniejszych — polityków. Wyraził się najdobitniej w „Sądzie Ozyrysa“, kiedy duszę ministra egipskiego Psunabudesa —

o którą klóć się po śmierci Głupota i Niegodziwość — wyprawia napowrót na ziemię ze słowami:

„Bądź do końca świata ministrem Faraonów i rozmaitych ludów: zabieraj, kręć, prowadź, prezyduj, rządz... A gdy spełnią się wieki, musi się w końcu pokazać, czy jesteś większym łotrem czy osłem“...

Ale w tem usuwaniu się od roli czynnej było może jeszcze coś innego, coś bardziej gorzkiego, co ukrywa się w słowach „Dioklesa“:

„O Ateńczycy! sami sobie jesteście nieprzyjaciółmi. Jako człowiek, mam dla was łzy, ale gdybym był nawet bogiem, rządziłbym wami nie potrafił“!..

Więc zamiast czynnej polityki, jak ongiś uwielbianego przez niego Kordeckiego z krzyżem, tak Sienkiewicza w walce bezustannej w narodzie o prawdę i nazewnątrż narodu o naród, widzimy z pięciu słońcami, pięciu prawd wielkich, „na murach, dygoczących od huków dział, wśród świstu kul, wśród kłębow dymu, widzimy go w dzień i w nocy. Gdzie jeno zastabną serca ludzkie, gdzie omdleją ręce i duch, tam wnet zaświeci... jego twarz natchniona“.

Gdzież więc tych „pięć słońc“ jego i jak im na imię?

Wyrwane z poszczególnych utworów jego, prawdy te stanowią pięć krótkich aforyzmów, ale rozlewają światło swoje na całą jego pisarską działalność, wszędzie, bezustannie i konsekwentnie są przeprowadzane, a zarazem łączą się wzajemnie ze sobą, tworząc niejako całość budowy państwowej, jaka zdaniem Sienkiewicza być powinna i jaką chciałby swojemu narodowi zapewnić na przyszłość.

Najpierw więc — grunt pod nogami: aforyzm, który jak strzał, wymierzony w piersi oszczercy, padł w „odpowiedzi na artykuł Björnsona“.

„Ziemia nie jest, tak jak np. fabryki, tylko wartością. Ziemia jest zarazem miłością“... (Dwie Łąki str. 35).

Po roli materialnej, kolej na rolę duchową i oto jak się wyraził w artykule „Trzeci Maj“, zachęcającym do składek na cele oświatowe, ból Sienkiewicza, że ta rola u nas tak bardzo zostawiona odłogiem:

„Ponieważ zbrodni potrzeba ciemności, więc przez długie i długie lata trzymano nasz lud jakby w podziemiu... Hamowano oświatę, by łatwiej wszczepić nienawiść i by łatwiej powaśniony i ślepy naród przywieść do ostatecznego upadku i zniszczenia“ (Dwie Łąki str. 188).

Narodem, który zdobędzie jedno i drugie, ziemię i światło, będzie dopiero można na prawdę rządzić. Ale kto z niego samego ma prawo do rządów, które wedle Sienkiewicza są niczem innym tylko obroną ciągłą praw jego?

„Żeby bronić narodu, trzeba być z narodu i trzeba go kochać“. (T. s. str. 213) — brzmi odpowiedź.

A oto jaką ta miłość być powinna, innemi słowy, co jest wedle Sienkiewicza patriotyzmem:

„Należy miłować Ojczyznę nadewszystko i należy myśleć przedewszystkiem o jej szczęściu. Ale

jednocześnie pierwszym obowiązkiem prawdziwego patrioty jest czuwać nad tem, by idea jego Ojczyzny nie tylko nie stanęła w przeciwieństwie do szczęścia ludzkości, lecz by się stała jedną z jego podstaw. Tylko w tych warunkach istnienie i rozwój Ojczyzny staną się sprawą, na której całej ludzkości zależy. Innemi słowy hasłem wszystkich patriotów powinno być: Przez Ojczyznę do ludzkości — nie zaś: Dla Ojczyzny przeciw ludzkości“. (T. s. 199 i 200).

Nakoniec, jako uzupełnienie poprzedniej, zasada, która powinna rządzić w zbudowanym tak państwie, zasada, której brak właśnie wytyka Niemcom:

„Aby usprawiedliwić swe istnienie, trzeba mieć prócz pięści i chleba jeszcze jakąś ideę moralną“, (str. 200).

„Nieście dobrą nowinę waszym najbliższym, nieście słowa miłości. Pracujcie nad tem, aby Chrystus zapanował w domu waszym i w waszych dziejach“.

Oto są owe „dogmaty“ polityki Sienkiewicza, a teraz: które z dzieł jego — poza enuncjami publicystycznymi — można uważać za „polityczne“?

Właściwie wszystkie!

To dziwne doprawdy, jak rozmaite robiły wrażenie dawniej, kiedy zaledwo zaczęły się ukazywać a teraz, widziane z pewnej odległości! Dawniej zdawało się, że on pierwszy wnosi do naszego powieścio-pisarstwa czysty artyzm, kult piękna, posunięty prawie do granic zasady „sztuka dla sztuki“. A dziś widzimy, że każdy jego utwór był wcieleniem jego wielkiej idei, którą tu bez wahania nazwalibyśmy ideą polityczną. Jednak trzy z nich wysuwają się na plan pierwszy, chociaż tak różne są pod względem artystycznym. Są to: „Bartek Zwycięzca“, „Krzyżacy“ i „Wiry“.

Bartek; to protest przeciw temu, co możnaby nazwać „patriotyzmem piosenki“, który daje objawy bardzo piękne, ale jest maszyneryą niebezpieczną, bo ją może nakręcić tak samo jak swoją, także i ręka wroga i użyć jej do celów, sprzecznych z interesem narodowym.

W „Krzyżakach“ ostrzegał przed złudzeniami wobec duszy narodu niemieckiego, a raczej duszy pruskiej, powiadając, że pozostała zawsze sobą do dziś, od czasów krzyżackich, a była wówczas nad wyraz egoistyczna i okrutna.

W „Wirach“ wreszcie żądał oparcia życia społecznego i towarzyskiego na interesie narodowym.

We wszystkich zaś, a szczególnie w enuncjach politycznych, rozsypane są prawdy, które zawsze mając za punkt wyjścia sprawę polską, sięgały najczęściej daleko w politykę międzynarodową. Los tych prawd jest do pewnego stopnia podobny do losu jego książek: inaczej nam się przedstawiały dawniej, a inaczej dzisiaj. Kiedyś brano je pobłażliwie jako kaprys artysty, nie zawsze uzasadniony, dziś widzimy w większości ich już tylko stwierdzenie dokonanego faktu. Jeżeli jednak zmierzmy myślą przestrzeń pomiędzy jednym punktem końcowym, a drugim, będziemy musieli uznać w nich coś w rodzaju „pro-

roctw", które podzieliły los niemal wszystkich pro-
roctw: że mianowicie słuchać ich nie chciano, a one
tymczasem się sprawdziły.

Aby dać przykład tej intuicyjnej przenikliwości
Sienkiewicza, przytoczymy tylko niektóre opinie jego,
odnoszące się do trzech państw: Anglii, Rosyi
i Niemiec.

A więc kiedy w czasie wojny Boerskiej cała opi-
nia u nas, dając się brać naiwnie na lep agitacji
niemieckiej, pałała „oburzeniem“ na Anglię, Sienkie-
wicz stanął na poprzek tej opinii i z nieukrywaną
irytacją wołał do obcych — ale i do swoich:

„Dajcie spokój duszy angielskiej, bo ona sama
w sobie odnajdzie to wszystko, do czego wy dążycie,
a pracujcie bliżej!“

I wiara jego w poczucie sprawiedliwości u Angli-
ków, nie zawiodła: w sześć lat po wojnie Boerowie
z rąk rządu angielskiego otrzymali swobody większe,
niż je mieli za „swoich“ rządów.

O stosunku wzajemnym Polski i Rosyi pisał:

„Dużo wody upłynie, nim zamroczony przez
wiek zmysł polityczny rosyjski rozezna i pomiarkuje, że
jeśli dwa największe narody słowiańskie mają żyć pod
wspólnym dachem, to wówczas tylko będą żyły po-
myślnie, jeśli jeden nie będzie drugiemu przygniatał
kolanem piersi. Z tego powodu więcej możemy li-
czyć na siłę dziejową, która wykaże bezsens wszel-
kiego innego stosunku, niż na owo zrozumienie
rzeczy“.

Czyż wobec dzisiejszego ukształtowania się pod
wpływem sił dziejowych wzajemnego stosunku pol-
sko-rosyjskiego można powiedzieć, że Sienkiewicz się
pomylił?

Niemcami, a wśród Niemców Prusami Sienkie-
wicz zajmował się najczęściej, upatrując — podobnie,
jak uczynił Mickiewicz — najgroźniejsze z tej strony
niebezpieczeństwo. Niemcom Bismarcka zarzucił, że
obniżyły poziom moralny europejskiego życia tak
mocno, jak nie uczynił tego nikt od całych stuleci,
a jako głos brzmiający jeszcze z zagrobu, pozostawia
ostrzeżenie, dla łatwowiernych, zawarte w następują-
cych słowach z „Listu otwartego“ do ces. Wilhelma:

„Słowa manifestu królewskiego z roku 1867 za-
ręczają polskim poddanym, że przez wcielenie ich do
północno-niemieckiego związku ani ich język, ani ich
religia nie doznają uszczerbku i że wewnątrz związku
mają pozostać Polakami, zachować język i obyczaje.
Jakże te królewskie słowa i obietnice zostały do-
trzymane?“

A oto dwa „proctwa“ co do Niemiec, z któ-
rych pierwsze urzeczywistniło się już, a drugie się
urzeczywistnia:

„Niemcy dzisiejsze budzą wszędzie i we wszyst-
kich nienawiść. Jest to jedyny naród, który nie po-
siada ani jednego przyjaciela. A niemasz tak potęż-
nego luźu, któryby, będąc przyczyną powszechnej nie-
doli, mógł się oprzeć powszechnej nienawiści“.

Proctwo drugie:

„Bismarck nie był zdolny zrozumieć, że siła po-
winna mieć duszę i to duszę wysoką i moralną. Nie
pomyślał, że w razie przeciwnym stworzona przezeń
potęga stanie się tylko zaporą cywilizacji i rozwoju
samy Niemiec, czyli rodzajem skały leżącej w wszech-
morzu życia i tamującej prądy tego życia. Otóż, stać
się zawadą, jest to skazać się prędzej czy później na
usunięcie“.

A teraz jeszcze dwa proctwa Sienkiewicza, cze-
kające dopiero na spełnienie się: jedno, odnoszące
się znowu do Niemiec, drugie — do nas!

W liście do ces. Wilhelma pisał:

„Daleki jestem od chęci wglądania w sprawy
i losy Królestwa Pruskiego, wygłaszam tylko pewnik
historyczny, że rząd, który pozwala sobie na wszystko,
uczy poddanych, że i przeciw niemu można sobie
na wszystko pozwolić“...

Co do nas Sienkiewicz przewidywał, że nam grozić
będzie śmierć narodowa i że ocalenie wyjdzie ze źródła
religijnego, coś zatem, jakby dziejowe powtórzenie
w odmiennej formie obrony Częstochowy przez wiel-
kiego — jak już powiedzieliśmy — w jego duszy
i książkach Kordeckiego.

Tę ostatnią przepowiednię Sienkiewicz ubrał
w szatę artystyczno-symboliczną, przedstawiając jak
to do łoża chorego chłopca polskiego zbliża się śmierć
„nie polska śmierć przy jasnym ognisku domowym,
przy splakanych twarzach, przy gromnicy i litanii, ale
obca, czarna i lodowata pruska śmierć, która dławi
człowieka tak niemiłosiernie, jak kat i która jest za-
gubą bez nadziei i nocą bez światła i otchłanią bez
Boga“.

Ale na krzyk konającego: „Panienko Najświęt-
sza!“ „płomyk od lampki pod obrazkiem oderwał się
nagle i począł płynąć, jak złota pszczoła, przez po-
wietrze ku potworowi... Z boków strzeliły mu skrzydła,
nad skrzydłami podniosła się głowa, jakby w koronie
— i zmieniony w białopiórego ptaka, rzucił się
błyskawicą na straszego Czarnoboga“...

Zwyciężył!

Ale tej chwili już nie ujrzy Sienkiewicz...

A dziwne, że i to nawet sam sobie wyproroko-
wał. Napisał, również symboliczną, nowelę „Diokles“.
Otóż nie ulega wątpliwości, że Dioklesem on sam,
a „Prawdą“, której posąg pragnie zobaczyć, to Pol-
ska. Sienkiewicz przeczuwał, że przed jej ujzieniem
może go śmierć zaskoczyć, że on sam znużony i zroz-
paczony ciemnościami, które mu ją zakryją, śmierci
może zapragnie. Więc włożył w usta Ateny taką dla
siebie pociechę:

„Oto ci ją zsyłam, Dioklesie, a z nią razem i tę
ostatnią pociechę, że gdy cię ona ukoi, wówczas uj-
rzysz tę jasność, od której za życia oślepyły twe oczy!!!“

To są już sfery, w których „polityka Sienkiewi-
cza“ wznosi się tak wysoko, że przechodzi w granice
czci i wiary religijnej...

WOJCIECH DĄBROWSKI.

ON i MY.

ZE WSPOMNIENIŃ O SIENKIEWICZU.



aszym — ci jest na zawsze.

A my byliśmy — Jego. Albowiem ziemię rodzinną kochał w ludziach, w ich łzach, myślach, czynach, w cichych i w bohaterskich duchach. W tem co było, co jest... co będzie¹⁾.

Jak się układał stosunek Jego do nas, a nasz

do Niego?

Może mały promyk światła rzuci na to parę wspomnień, osnutych na przejawach wielkich i drobnych. Wszak z drobnych składa się życie.

Miał duszę czystą, dlatego kochał kraj gorąco, dlatego myśmy go kochali — wszyscy, od ulicznego posłańca do magnata.

Stoi mi przed oczyma taki, jakim go zobaczyłam po raz pierwszy...

Dawno. Bardzo dawno!

Powrócił był świeżo z Aten. — A już chodził w chwale, jak w słońcu. Już był napisał Trylogję

Spotkałam go na ulicy, w pobliżu kościoła św. Aleksandra, w Warszawie. Byłam mu jeszcze nieznaną. Byłam mu pierwszym lepszym przechodniem. Jego oczy ciemne, słodkie, zadumane spojrzały na mnie życzliwie, jak zwykły były patrzeć na ludzi.

Może droga moja szła w stronę tę samą, po której On zmierzał. A może skierowałam me kroki jego śladami. O! zdaleka, ostrożnie, żeby nie być natrętną.

Szłam, wpatrzona w jego postać — niedużą, zwinną.

Widziałam, że patrzę nie ja jedna. Patrzyli wszyscy.

Oglądał się za nim rzemieślnik w kaszkiecie i chłopak, niosący cukrową piramidę. Oglądały się panienki z tekami pod pachą i uczniowie z torni-strami na plecach i przejezdni w dorożkach; wynurzały się głowy z powozów i karet. I tak było od placu Trzech Krzyży do Wareckiej, w którą skręcił.

Ulica wąska. Zbrakło mi już śmiałości iść za Nim. Obawiałam się, że mnie dostrzeże, że go mój cichy hołd znudzi.

Nie znałam go jeszcze.

On za każdy szczery objaw uznania był wdzię-

cznym — szczerze. Brał je, jako dowód tego, czem były: ogólnej miłości całego narodu.

Bo też ci, co na jego przejściu zwracali nań oczy, patrzyli nie tak, jak patrzają na ludzi sławnych narody szczęśliwe: z chętnością, z dumą. Myśmy wszyscy, od owych chłopaków cukierniczych do dam, wychylających się z okien karet, patrzyli na Niego z miłością wdzięczną.

Że takie były dla niego nasze uczucia zaświadczył jego 25-letni jubileusz.

Widzę go w kilkanaście lat potem, w r. 1900.

Ta sama twarz zadumana, te same słodkie oczy i postać szczupła, elastyczna. Tylko włosy pobieleły Mu trochę na skroniach. Stoi na estradzie w sali portretowej warszawskiego Ratusza i przyjmuje dank od całej Polski; — przesuwa przed nim delegaci z nad Warty, Sanu, Prypeci, Dniepru i Dniestru. Słyszymy tylko, z kąd przybyli. Dary wolno im składać — w milczeniu. I on je w milczeniu przyjmuje. A jak na dwa lata przedtem, przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza, milczenie więcej od słów mówiło. Poranek grudniowy (22-go) cichy a szary. Głowa przy głowie w ogromnej sali ratuszowej.

Na wzniesieniu—On. Cisza skupiona a w niej brzmi słowo wielkie: My, słowo, co duchy spaja.

Nad temi tłumami unosi się gorąca wymowa — ust milczących.

A wśród niej słyhać drugie wielkie słowo: „Jutro.“

Jedyne, które, kiedyś, później, w Warszawie, zostawiano w ustach Wernyhory w „Weselu“. Słowo mocniejsze od tych wszystkich, które Wyspiański w usta mu włożył.

A tegoż pamiętnego dnia, wieczorem, mam go żywo przed oczyma. Było to w Resursie kupieckiej.

Tu już zdjęto z ust pieczęć milczenia.

Głosiły wdzięczność, podziw i cześć. Wreszcie On głos zabrał. I mówił:

„Trudno mi wypowiedzieć słowami, jak dalece wzrusza mnie dzień dzisiejszy i wszystko, co mnie spotyka.

Ja, który z powodu prac swoich, dużo zajmowałem się przeszłością, z najgłębszem rozrzewnieniem przypominam sobie, że w dawnych czasach tak nagradzano wojowników, zasłużonych na polach bitew.

„Dziś jednak trzeba przedewszystkiem służyć społeczeństwu codzienną, długą, wytrwałą pracą. I właśnie tę pracę moją kraj wynagradza w sposób naj-

¹⁾ Orzeszkowa. „Kocham Cię“.

wspanialszy, najszlachetniejszy i najzgodniejszy z naszą tradycją, bo wynagradza — ziemią.

„Nic nie przychodzi bez trudu, zatem i ja musiałem tworzyć w pocie czoła, ale, rzecz mogę, że Bóg błogosławił mojej pracy. Zyskałem miłość swoich, uznanie obcych, a nawet względny dostatek. Brakło mi tylko jednego: ziemi naszej, tej ziemi, na której wyrosliśmy wszyscy, która jest i będzie niewzruszoną podstawą życia i nieśmiertelną matką pokoleń.

„Aż oto wzywa mnie tu mój kraj. I ofiaruje mi szmat tej naszej ziemi, dla której pracowałem. Ofiaruje ją dla mnie i dla moich dzieci.

„Dar to wielki, dar dla serca i duszy zarazem. W pracy, w zmęczeniu i wyczerpaniu przychodzą czasem chwile zwątpienia: czy te wysiłki, które się ponosi, są pożyteczne; czy ten chleb, który się podaje, jest zdrowy i pożywny. A wy, tym darem, przynosiscie mi uspokojenie.

Kościół przez Twoje usta, (zwrot ku prezesowi jubileuszowego Komitetu, ks. biskupowi Ruszkiewiczowi), Szanowny kapłanie, powiada mi: „potykaniem dobrem potykałeś się“. Kraj mówi przez was, panowie: „pracowałeś rzetelnie, dawałeś chleb zdrowy. A oto ta ziemia, którą ofiaruję. Niech ci będzie świadectwem służby!“ Co za szczęście, co za uspokojenie, jakie wspomnienie dnia tego dla mnie i dla mych dzieci po wszystkie dni ich życia!

„Gdzie znajdę słowa tak silne, jak moja wdzięczność za tę ziemię i za te wszystkie dary?

„Z serca wyrywa mi się tylko okrzyk: Dzięki krajowi, dzięki Wam, panowie z Komitetu, którzyście nie żalowali trudów i pracy dla uwicia tego wieńca. „Niech żyje, niech kwitnie to wielkie serce ogólne, które tak umie czuć i tak wynagradzać!“

Te słowa, szczerze, proste, wypowiedziane z prostotą i skromnością, Sienkiewiczowi właściwą, głosem głębokim, wpadającym w ucho dźwięcznie, a w serce rzewnie, te słowa są świadectwem i jego służby i jego duszy.

Brał dowody wdzięczności z radosną pokorą i prostotą, czując, że na nie zasłużył, nie doceniając wszelako, w jak wielkiej, w jak bezmiernej mierze.

A najmiłszymi były mu zawsze dowody, że pokrzepił, wzruszył dusze — ludu.

Wśród opatrzonych pieczęciami nadań — tytułów naukowych, dostojenstw, wśród listów od wszystkich niemal wielkości świata, otrzymywał i listy prostaczków. Tamte były miłe. Te były mu drogie. Oto jeden z pośród bardzo wielu.

„Do Wielmożnego Pana Henryka Sienkiewicza w Warszawie.

W oddaleniu od Warszawy, my, górale na Śląskiej ziemi austriackiej, założyliśmy Kółko rolnicze w gminie Istebnej, przy tem i bibliotekę. Otrzymaaliśmy od braci Polaków sporą sumę książek, jako dar. Otóż nasz ludek, zwłaszcza ten młodszy, wziął się do czytania. Który przyjdzie, pyta książki do czy-

tania, a że ja jestem przewodniczący biblioteki, toć zawsze mnie prosi, abym mu wypożyczył wydanie W. P. Sienkiewicza, że to najlepsze do wyrozumienia, bo u nas, na naszej ziemi, nie życzą, abyśmy mogli jaką korzyść mieć. Doszła nas wiadomość, że w Warszawie będą robić obchód Jubileuszowy w grudniu 1900 r. W. P. Sienkiewiczowi za jego gorliwą pracę, z którejśmy w górach na Śląsku już tego doznali, bo te dzieła wiele nam korzyści przyniosły. Który pilnuje czytania, to się zaraz pyta: „jakie pan książki czytał, którego wydania?“ Odpowie: „W. Pana Henryka Sienkiewicza“. A drugi mówi: „ja tobie o jego pisaniu coś innego powiem, może cię zaraz dreszcz będzie brał na krzywdę, którą nam już narobili“.

Jakież tu życzenia przysłać naszemu W. Panu, aby go uczcić na 22-go grudnia? Bogactwa nie posiadamy, ustnego życzenia nie możemy przynieść, aby W. Panu uczynić radość. A przecież nasze serca czują coś.

Ja w imieniu wszystkich czytelników i czytelniczek składam z największą uniżonością: najprzód, aby Bóg raczył dać W. Panu najlepsze zdrowie i długi wiek życia, szczęśliwe powodzenie, aby ten głos, który będzie na 22-go grudnia w Warszawie dawał ludek W. Panu, przyszedł do naszej ziemi.

Niechże W. P. raczy przyjąć te nasze skromne a proste powinszowanie, a raczy nie gardzić temi prostymi słowami, wszak one są z samego serca. Kończę moich parę słów, a zostawam najniższym sługą.

Jan Juraszek, prezes Kółka rolniczego, biblioteki i rady gminskiej. Paweł Juraszek, przełożony gminski. Tomek i Jan Legerscy — radni“.

Sienkiewicz czytał to „nadanie“ z oczyma, zroszonymi radością wdzięczną.

A leż nie tamował, gdy w dzień „jubileuszu“, rano przyszedł do niego „Księżak“, zasobny „gospodarz“ z pod Łowicza.

Przyszedł — z olbrzymim bochnem chleba:

— Niech-że ta i ja i moja baba ućcim wielmożnego pana — mówił, ściskając mu rękę. — Ona, niby moja baba — upiekła ten bochen. Duży je — żeby starcy i dla panowych dzieciaków i dla gości“.

Sienkiewicz wziął „Księżaka“ w ramiona i trzymał w nich długo, tuląc do piersi tę wdzięczną pierś polskiego chłopca.

— A — no — mówił Gontarek, ocierając łzy połą swej pięknej sukmany. — Toć my wielmożnego pana kochamy.

Te słowa, ten dar, ze wszystkich jubileuszowych były Sienkiewiczowi najmiłsze.

Lubił o tem przed zaufanymi wspominać.

Mijały lata. Oszroniły Mu głowę dostojną. Miewał chwile dobre i złe. — Takich więcej, bo ludzka zawiść nie przebacza i wielkim. Zwłaszcza wielkim, dlatego właśnie, że sądzi ich miarą swej małości, a patrząc z wilczych dołów, nie zdoła dojrzeć szczytów.

On stał, niezłomny. Błoto, czerpane z kałuż, nie dosięga wyżyn. W miarę lat, patrząc na tę srebrną

1) Podaje go piotrogrodzki „Dziennik Polski“.

głowę czuliśmy coraz bardziej, że to głowa kochana. I z rąk jego, z wdzięcznością podwójną, braliśmy to, co dawał — wprost nam lub orędując za nami w odezwach i protestach. Słuchała go z szacunkiem Europa. Liczyli się z głosem jego nawet wrogowie. Umilkło już poszczekiwanie ochryplej sfory. Otaczała go cześć wszystkich — nawet młodych — najłatwiejsza i najtrudniejsza do zdobycia, albowiem każdy prąd nowy inaczej kołysze trzcina, inne hasła nad płonącymi głowami niesie. — Przeszumiały hasła wyrotowe, burzące wszystko, co święte. Świętości ostały się, wyszły zwycięsko z zawieruchy 1904 roku, zawieruchy, — w której wyło i syczało tyle głosów nam obcych.

Sienkiewicz, jak wysokopienny, sędziwy króboru, przetrwał burzę. Stał po dawnemu, wnosząc wciąż naszą sprawę przed oblicze wrogich rządów, przed wiekiasty trybunał dziejów.

Z każdym rokiem stawał się nam droższym.

Jego imieniem chrzczono poczynania różne, w kraju i po za krajem.

Między innymi, w Warszawie powstała ochronka Jego imienia. Z początku, jak to u nas, jak zresztą wszędzie, sypały się dary i ofiary; potem zaczęły się saczyć; że zaś potrzeby tego przytuliska nie zmniejszały się, — przeciwnie, rosły, więc po latach kilku przysła chwila, w której funduszków zbrakło.

Co począć? W marcu 1913 r. urządzono przedstawienie w wielkiej sali warszawskiej Filharmonii. Afisze zapowiedziały, że całkowity dochód z przedstawienia pójdzie na korzyść Ochrony imienia Sienkiewicza przy ul. Wspólnej

Ani występujący podówczas Szalopin, ani liczne inne widowiskowe atrakcje nie odciągnęły od tej

sali — tłumy. W jednej z łóż, przybranej kwiatami, siedział Sienkiewicz ze swą małżonką, Maryą z Bab-skich.

Wszystkie oczy zwracały się ku niemu — dyskretnie, bo miłość szczerą nie bywa natrętną. Niejedno oko, wpatrzone w niego, zwilgotniało.

W pobliżu siedział człowiek, już niemłody, w oficerskim mundurze.

— Sienkiewicz - to? — spytał sąsiadki zepsuta mową.

— Tak! Sienkiewicz — potwierdziła.

— Oczy nie wierzą — szepnął. — Toż mój dobrodziej. Od rodzonych brata droższy. Tam, daleko, zapomniałem ja, że Polak. On mnie przypomniał, A niechże Mu Pan Bóg pozwoli żyć długo. Nikt taki potrzebny nie jest, nikt — twierdził z zapalem, lecz cicho, żeby nie zwracać uwagi — Jego.

Na estradzie, grano i śpiewano — rzeczy różne. Wystąpił Frenkiel i wygłosił opis śmierci Pana Wołodyjowskiego. Zapanowała cisza uroczysta i przetrwała długo po słowach ostatnich. Wreszcie rozpętały się oklaski. Frenkiel, zwrócony ku Mistrzowi, oddawał Mu je kornie.

W chwili tej, odruchem zbiorowym, powstałi wszyscy.

On stał z nachyloną głową srebrną, dostojną, kochaną. Stał i przyjmował ten objaw uczuć ze wzruszeniem. Korzył się znowu — przed tem wielkiem sercem ogólnem, które tak czuć umie.

Takim go widzę i widzieć będę, póki oczy moje nie przestaną patrzeć na bole i nadzieje, oby zniszczone, naszego udręczonego kraju.

E. ŻMIJEWSKA.

JAK WIERZĄ POLACY SIENKIEWICZA.



wszystkie dzieła Sienkiewicza od „Niewoli Tatarskiej“ po „Legiony“ — wszystkie, drobne rozmiarem i wielkie jednak — bo wielkimi są i drobne, wszystkie wpajają w nas to, co już wpajał Kadłubek: „Zmartwychwstaje się z pod gromu, a nie zmartwychwstaje z pod sromu“.

„Miłość Ojczyzny winna być mocna, jak śmierć, bo któraż jest pierwsza i zasłużeńsza Matka, jak Ojczyzna?“ Mówią ponadto i coś więcej jeszcze, słowami Chrystusa:

„jako i my odpuszczamy naszym winom ajcom.“

Żaden pisarz, nawet mistyk i apostoł, utopista

Tolstoj, nie jest tak chrześcijańskim, jak Sienkiewicz. A jest chrześcijańskim i dlatego, że choć przebaczenie uraz, ba i zbrodni, wyrządzonych jednostce, stawia ponad wszystko, choć od swoich bohaterów żąda cnót wielkich, nie żąda od nich, jak Tolstoj, psychologicznych niepodobieństw.

Jest chrześcijaninem, głosi miłość, lecz jest i artystą, więc nie nawraca gwalttem, nie tworzy Niech ludowych. Znając do dna duszę ludzką, wie, że prawda przenika łatwiej do dusz zbrodniczych, niżli do płaskich. Więc do końca pozostawia Tygellina — płazem, choć każe Chilonowi świadczyć — prawdzie.

Gdyby nawet nie stawała temu w poprzek historyczna prawda, nie nawróciłby Nerona. A nie nawraca na wiarę chrześcijańską wytwornego a szlachetnego Petroniusza, bo ten ma i musi mieć duszę piękną, lecz — pogańską.

Petroniusz, wyznający prawdę, Baranka, odchy-

lałby się od — swojej prawdy, niższej daleko, lecz organicznie z jego duchową istotą zespolonej.

Sienkiewicz, Grek, Olimpijczyk, esteta, „na Olimpie“ każe w „cudną ambrozyjską noc wiosenną apostołom zasiadać na upłazie, aby złożyć sąd nad starymi bogami“.

Piotr przeklina i potępia Chmurozbiórcę, a Muzy odmawiają „Pod Twoją Obronę“, Paweł czyni znak krzyża nad promienną głową Srebrnolukiego z drążoną formingą i mówi: „Żyj pieśni“.

Zaś onej najpiękniejszej, Afrodycie, daje kwiat lilii, i czystą ją czyniąc, głosi:

„Bądź odtąd jako i ten kwiat, ale żyj, Szczęście ludzkie“.

Bohaterom swoim każe Sienkiewicz nie tylko — przebaczać: to łatwiej przychodzi, jest bowiem często wybuchem, porywem chwili, spełnia się pod jej wrażeniem. On żąda od nich rzeczy trudniejszej daleko: ciągłości — obok czynów wielkich wymaga drobnych, lecz spełnianych dzień po dniu: poprawy. Jej ciernistymi ścieżkami wiedzie Kmicica, aż go na Babinicza zmienia. Z hultaja, opoja, oczajduusza, łgarza Zagłoby robi nie tylko... przypadkowego bohatera, ale i dobrego syna Ojczyzny, pozostawiając mu przytem jego namiętności i przywary, których wyzbyć się trudniej, niż występków. Jest więc on i nadal gorliwym pracownikiem w różnych piwnicach, wielkim żeglarzem po piaskach, lecz mimo to staje się — obywatelem.

Sienkiewicz nie kusi się nawracać Bohuna, Azyi, bo nie tak ich stworzył, by mieli — bić się w piersi. Ale z głębin dusz, najzatwardziały, najobojętniejszych na to, co wzniosłe, nawet z dusz burżujskich, jak w „Rodzinie Połanieckich“, wyluskuje strony lepsze.

Artyzmem swoim sprawia, że wierzymy, iż ciocia Broniczowa miewała wyrzuty sumienia, że Niteczka odczuła wreszcie, jak zbrodniczą wprost była jej „gra“ z Zawilowskim.

Ale to sprawia nie sam artyzm Sienkiewicza. Dokonywa i jego dusza nawskróś chrześcijańska. Pokazał nam, jak wyglądają ludzie bez ideału, nie chciał jednak na zawsze przed ich oczyma zasłonić blasku i jasności. Drogami smutków, rozczarowań, grzechu, tych wszystkich ludzi o ptasich mózgach i wątych serduszkach doprowadził do zrozumienia, że „frasowali się o małe“. Wniósł protest silny przeciw towarzyskim i wszelakim fałszom, oraz sankcjonowanemu przez zadawnione prawo obyczajowe — wiarołomstwu mężów.

Że jest i psychologiem i artystą, więc każdej epoce inaczej każe się kajać, inaczej stawać wobec wiary, wobec naprawy życia.

Ludzie z XV wieku żyli z Bogiem na stopie poufalej.

Maćko z Bogdańca powiada do Niego tak: „— Panie Boże, skoroś nas (niby Gradów), stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, żebyśmy nie zczeźli“.

Wiara w tych ludziach bardzo żywa, bardzo świeża i naiwna a czynna; jest ona, jak mówi Ko-

nopnicka, „kapitałem obrotowym“ ich życia. Oni ją mają w sercu, jak miecz przy boku; jedno i drugie — w ciągłym użyciu — błyszczy.

I jest powszednia, jak chleb, jak woda. A niebo, choć ksiądz Wyszonek powiada, „że wozem do niego nie zajedziesz“, wydaje się gdzieś blisko.

I obyczaj w niebie jest jakby królewski i dworski, a trochę dyplomacyi tam nie zawadzi.

Toż Maćko rozumie, że „o lada głupstwo, gdzie i święty pomoże, do samego Pana Boga dobijać się nie należy“, bo „nie mała to rzecz na cały świat dawać baczenie“.

A i wśród świętych wybierać trzeba; który ku czemu da się użyć.

Wie też Maćko, że „trza Panu Bogu się przypominać“. „Wszchemocny, bo wszchemocny, ale i na moce niebieskie są sposoby, jeno rozum trzeba mieć“. Więc kiedy ma dać wosk na świecę i meszne do Krześni, przegląda w myśli registr świętych: od czego tam który patronem jest, żeby daru nie zmarnować. A wybiera patronów co zacniejszych i potężniejszych. W chorobie nie do żadnych inszych, tylko do nieboszczki królowej Jadwigi się udaje; zaś Opat mu to pochwała, mówiąc: „Lepsza ci ona i pewniejsza, bo swoja“.

Mimo tej poufałości ze światem niebieskim, cała Polska przy dobrem imieniu chrześcijańskiego królestwa, jak przy własnej czci stoi. Bo dla Polski, chrześcijaństwo było nie tylko dogmatem wiary, ale i etyką życia.

Najcudniejszą z postaci chrześcijańskich, wycarowanych przez Sienkiewicza jest — rycerz zemsty Jurand. Za śmierć żony, wiecznie spragniony jest krwi krzyżackiej. Najmilszą pieśnią jest mu jęk zakładników Zakonu, osadzonych w lochach Spychowa. Dopiero, gdy mu wrogowie zabierają szczęście ostatnie, gdy porywają Danusię, złamał się w Jurandzie gniew i pycha, wyłoniła się dusza coraz cichsza, coraz bielsza, coraz bardziej Chrystusowa — aż do przebaczenia swym katom.

I oto przebaczeniem osiąga on zemstę niespodziewaną, jednak skuteczną.

Zygfyda nie zabił miecz Juranda. Zabiło go Jurandowe przebaczenie. Więc oszczerstwem jest, co u stołu królewskiego mówi Lichtenstein: — „Królestwo powiada się chrześcijańskie, ale obyczaj w niem pogański“.

Oni to właśnie, owi rycerze ze znamięm męki i przebaczenia na piersiach, pogański mieli obyczaj.

Krzywoprzysiężyli, kłamali, żyli krwią i łupem.

Naprzeciw Zygfydom, Lichtensteinom, oraz innym rycerzom — mnichom stawia Sienkiewicz trzy typy naszych księży. Zatem Opata z Tulczy, co „gdy w zbroi, to nie kapłan, jeno szlachcic. Maćko o nim słusznie powiada: „rycerski człek“.

Dalej ksiądz Wyszonka, cichego, bogobojnego kapłana na dworze mazowieckim. Ten braciom — ludziom krzyż życia dźwigać pomaga.

A już ksiądz Kaleb żyje jakby nie na ziemi, jeno w niebie, „zapamiętywa się w modlitwie“, dąży duchem w ten „inszy świat“, dokąd „na koniu nie dojedziesz, ale na modlitwie zajedziesz“.

Udręczonego, oślepionego Juranda pociesza, mówiąc:

— „Gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego ziemskie oczy dojrzeć nie potrafią“.

A w parę wieków potem, jakichże nam Sienkiewicz stawia przed oczy kapłanów — obywateli? Oto ksiądz Muchowiecki, który na zgliszczach Rozłogów pociesza buntowanego Skrzetuskiego słowem potężnym. Za sobą odmawiać mu każe: „Bądź wola Twoja“.

Oto z rycerza kapłan U stóp krzyża, obwieszono głowami wrogów, miał widzenie, które go do stóp Chrystusa zawiodło. Oto ksiądz Muchowiecki, wygłaszający mowę nad zwłokami Wołodyjowskiego.

Wszyscy oni — kapelanami wojskowymi. Służą Chrystusowi i Ojczyźnie.

A cóż mówić o tym kapłanie największym, już nie obywatelu kraju i rycerzu, lecz bohaterze: o Kordeckim. On zrozumiał, że ta Jasna Góra, nasza Arka Przymierza, to symbol wiary i przyszłości narodu, że obrona tej twierdzy może napowrót ogólny zapał w narodzie obudzić. Bronił i obronił ją.

Gdy Wreszczowicz nie przyznawał Polakom ani jednej cnoty: „ni stateczności, ni rozumu, ni wytrwałości, ni wstrzeźliwości — niczego prócz „dobrej jazdy“ — toż przepomniał o tem, o czem zaświadczyła Polakom ich królowa — cudzoziemka, Marya Ludwika Gonzaga:

„Gdzie jest taki drugi naród, w którymby chwała Boga starożytnej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej?“

„Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospolitą, w której światło prawdziwej wiary płonie“.

Królowa słusznie świadczy.

Polacy mieli po wsze wieki dobra idealne, na pozór bezużyteczne; ale te rzeczy, które się niby nikomu na nic realnego nie przydadzą, bywają właśnie i na tej tu ziemi najsilniejszą twierdzą i niepożytym skarbem.

A to są — duch narodowy, duch chrześcijański. I jedno i drugie podał nam przed oczy, ucieleśnił nam Sienkiewicz. I właśnie jest wielkim i jest naszym, dlatego, że umiał to podać tak, iż — rozgrzał serce do rzeczy wielkich.

Bohaterami jego są ci, którzy zwyciężali, bo zapominali o sobie i ci, co zwyciężali, bo się „poprawowali“.

On nam powiedział: „Że nie masz takich terminów, z którychby się *viribus unitis* przy boskich *auxiliis* podnieść nie można“.

Jest więc i pisarzem narodowym i pisarzem chrześcijańskim.

A jak krzepi serca wąpiące, podane na pokuszenia? Rozmową z Bogiem. Nie zwykłem odmawianiem pacierzy.

Pan Podbięta, widząc, że zbliża się godzina śmierci, rozpoczął litanie do Najświętszej Panny.

„...Pierwsza strzała świsnęła, gdy mówił: „Matko Odkupiciela“, i obtarła mu skroń.

Druga strzała świsnęła, gdy Pan Longinus mówił: *Panno wstawiona*. I utkwiała mu w ramieniu.

Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.

I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo z ranna“, już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach...

...Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już przez mgłę — Tatarów, łękę. Nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... Nakoniec ukląkł. Potem, nawpół już z jękiem powiedział: „Królowo Anielska“. I to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli, jako perłę jasną, u nóg „Królowej Anielskiej“.

Taka modlitwa, to poświęcenie, to bohaterstwo, składane w ręce Boga. To czyn.

A wojsko pod Grunwaldem?

Wyszło w wielkiej, prostej, pierworodnej sile modlitwy i pieśni.

„Uderzył w niebo głos potężny, grzmotowi niebieskiemu podobny, ze stu tysięcy piersi rycerstwa polskiego dobyty, głos praojcowej pieśni:

Boga — rodzica — Dziewica,

Bogiem wstawiona Marya!

A od tej pieśni „moc wstąpiła w kości, a serca stały się na śmierć gotowe“. Nad temi hufcami, jak sztandar, powiewał Duch Idei, Wiary i Siły. A nad niemi wysoko, targano się grzmotowi podobne echo:

Kyrie Elejson.

„Przez całe linie słyszeć się dało złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu.

„Naprzód! Ławaj!“

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

„Zdro-waś Ma-ry-ja, łas-kiś peł-na Pa-ni z To-bą“.

„I szli, jak powódź, a całe pole rozbłysło, zajaśniało od grotów“.

I to także nie modlitwa sama, lecz wiara nie zachwiana.

A bardziej chrześcijańskimi były w tym wojsku szeregi świeżo ochrzczonych pogan-Litwinów, niżli po stronie przeciwnej owi rycerze-zakonnicy, których hasłem była wówczas, jak jest i dzisiaj:

Zagładaj Uciśki!

Nie modlitwą też jeno, ale walką, zmaganiem

się w duszy złych i dobrych mocy, jest rozmowa z Bogiem księcia Jaremy.

A w utworach współczesnych, i Hania i Jamioł i Anielka i pani Emilia i Marynia i nawet Polański, niosą swój ból, swoją winę, swoją skargę przed oblicze Pana Zastępów, nie jak pacierz, lecz jako umocnienie ducha, pokrzepienie. I wszyscy zdają się za księdzem Muchowieckim powtarzać: **B a d z w o l a T w o j a .**

Jedni powtarzają z rezygnacją, biernie. Inni tej woli dopomagają, walczą ze złem, a myśl sprawiedliwości nierychliwej dodaje im nadziei i mocy.

Wszystkim ta wiara pomaga — przebaczać, więc jest dźwignią wzwyż. Taką ideę rozstrnuwa Sienkiewicz

nad mazowiecką równiną i nad Dzikimi Polami, rozpina ją na naszych krzyżach przydrożnych.

Tak każe zmagać się ze sobą w imię hasel wyższych, wierzyć i modlić swoim rodakom.

Jak wciela, jak przedstawia ideę chrześcijańską u jej źródeł i u jej narodzin — to nam mówi w „Pójdźcie za nim“, będącem jakby szkicem, próbą ręki mistrza przed rzuceniem na płótno wspaniałego, wiekopomnego obrazu, jakim jest „**Q u o V a d i s**“.

Ale to nie wchodzi w zakres niniejszego szkicu, obejmującego tylko dusze polskie, wiarą i poczuciem obywatelskich obowiązków przez Sienkiewicza krzepione.

S7RENIWA.

O ŻYCIU I DZIEŁACH SIENKIEWICZA.

Dziwnym okoliczności dziejowych zbiegiem, w roku, w którym, z pośród wielu krzywd i klęsk, jakie nas spotykały, rozpętała się jedna ze straszniejszych, — gdy topór kata wsunął w rękę Szeli austriacki rząd obłudny, w tym roku, 1846, właśnie, jakby dla rekompensaty, urodził się nam Sienkiewicz:

I również, zbiegiem okoliczności proroczym dano mu na chrzcie dwa imiona: Henryk - Adam. Wieki potomne mówić będą onim: Henryk, jak my, potomkowie naszych dziadów, w 61 lat po śmierci Mickiewicza mówimy: Adam!

I każdy zrozumie.

Metryka Wielkiego Zmarłego opiewa:

„Działo się we wsi Okrzei, dnia siódmego Maja tysiąc ośmset czterdziestego szóstego roku, o godzinie siódmej wieczór. Stał się Wielmożny Józef Sienkiewicz ojciec, Dziedzic Grotek, lat trzydzieści dwa mający, w Grotkach zamieszkały, (w obecności Wielmożnego Adama Cieciszowskiego, Dziedzica Woli Okrzejskiej, lat dwadzieścia trzy mającego i Wielmożnego Aleksego Dmochowskiego, Dziedzica Burca, lat czterdzieści jeden mającego, (w Burcu zamieszkałego), okazał nam dziecię płci męskiej, urodzone we wsi Woli Okrzejskiej dnia piątego bieżącego miesiąca i roku, o godzinie szóstej wieczorem i jego małżonki, Wielmożnej Stefanii z Cieciszowskich, lat dwadzieścia

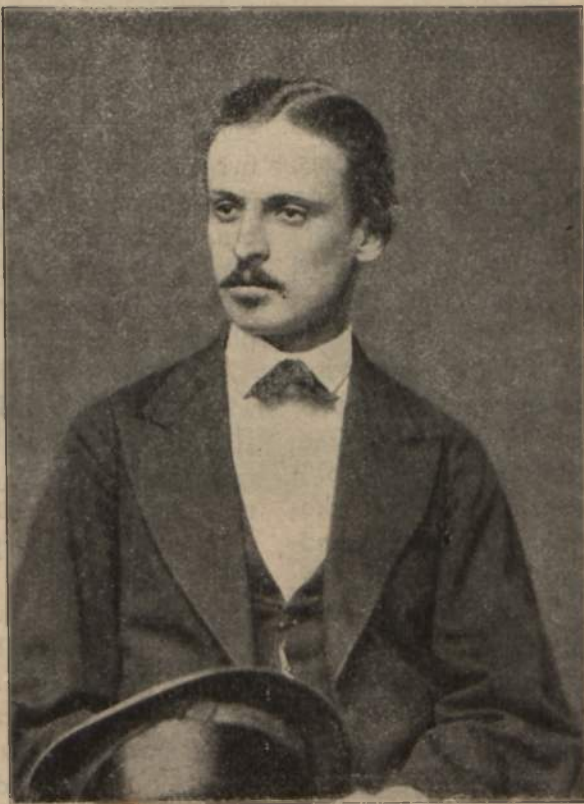
ośm mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym, odbytym w dniu dzisiejszym przez Xiędza Antoniego Gutmanna, proboszcza miejscowego, nadane zostały imiona: Henryk, Adam, Aleksander, Pius, a rodzicami chrzestnymi byli Wielmożny Adam Cieciszowski z Wielmożną Józefą Cieciszowską, w asystencji:

Wielmożny Zdzisław Dmochowski z Wielmożną Pauliną Dmochowską. Akt ten, po przeczytaniu podpisany został. Jako świadek Z. Dmochowski, A. Cieciszowski, X. Antoni Gutmann, Sienkiewicz Józef Ojciec“.

Wola Okrzejska, gdzie się urodził Sienkiewicz, położona jest o milę od stacji kolei nadwiślańskiej Krzywda. Majętność owa, niegdyś Firlejów, należała podówczas do rodzzonego wuja Henryka Sienkiewicza, Adama Cieciszowskiego; dziś jest własnością Bernsteinów. Henryk został ochrzczony w kościele miejscowym, w pobliżu którego, na cmentarzu spoczywają zwłoki jego matki. Ojciec zmarł w r. 1889 w Warszawie.

Kościół Okrzejski potem wstawiony jest konsekracją, dokonaną przez ks. Woronicza, autora „Sybilli“. Zaś na plebanii okrzejskiej przez lat kilka Joachim Lelewel, w wieku dziecięcym, pobierał nauki u tamtejszego proboszcza, księdza Pijara.

Od dzieciństwa zdradzał Sienkiewicz duże zami-





Oblęgorek.

Szkic Wyciółkowskiego.

łowanie do literatury i historii, wczytywał się w stare kroniki, z ust matki brał tradycje rodzinne; ojciec, obdarzony niezwykłym darem opowiadania, mówił mu o Napoleonie, o legionach, o Dąbrowskim. Młody, rozmarzony chłopak wsłuchiwał się w te opowieści; wlewały mu w duszę kult naszej przeszłości orężnej, chlubnej, kult siły—o ile służyła do walki z wrogiem, do obrony słabych. Oddany do gimnazjum III do Warszawy, uczył się miernie, tak zresztą, jak i Prus, z wypracowań nawet miewał 3-ki: czy to, że się na nim nie poznali nauczyciele, czy też dar pisarski rozwinął się w nim później. A może — to najbardziej podobne—wyobrażenia odrywała go od nauk suchych — tendencyjnie.

Do szkoły Głównej wstąpił w r. 1866, gdzie studiował przez parę miesięcy medycynę, następnie uczęszczał na wydział filologiczno-historyczny. Kolegował na nim z Prusem. Ukończyli go obaj w r. 1871.

W tym czasie, pod wpływem wojny francusko-pruskiej, wybujałej wyobraźni Sienkiewicza, która przedtem, jak wąż pajęczyna, osnuwała się dokoła wszystkiego, urosły skrzydła i niosły go na plac boju, gdzie krzyżak odnosił zwycięstwa. W owej epoce w myśli jego zrodził się „Selim Mirza“, przelany na papier w dziesięć lat potem.

Pierwszym utworem Sienkiewicza było literackie studium o poecie Sępie Szarzyńskim; wydrukował je, w r. 1869, w dwu zeszytach „Tygodnik Ilustrowany“, redagowany podówczas przez wielkiego wyławiacza talentów Jenikego. W roku następnym „Wieniec“ pomieścił pierwszą powieść „Na marne“ utwór iście młodzieńczy, pisany z zapałem i malujący dzieje młodych. Następnie, wciąż pod pseudonimem Litwosa, ukazały się w r. 1872 trzy „Humoreski z teki Worszyłły“, feljetyony o życiu Warszawy

w „Gazecie Polskiej“ (1775). Przedstawia w nich młody autor stosunki towarzyskie, ruch społeczny, literacki, artystyczny, wydawniczy, niedomagania miejscowe, wyśmiewa próżnostki i śmieszności różnych „Dziurdzielewiczów“; chłosta opieszałość, obojętność na sprawy wielkie. Ma już w piórze zacięcie nielada, a jego wzrok i serce coraz szersze ogarniają kręgi.

Na młodego pisarza zwrócił dopiero uwagę ogólną jego pierwszy tryptyk literacki, zaopatrzone tytułem: „Z życia i natury“, a noszący ty-

tuły poszczególne, tak nam dobrze znane: „Stary sługa“, „Hania“, „Selim Mirza“. Drukowała je „Gazeta Polska“, redagowana wówczas przez drugiego poławiacza pereł, Dyonizego Henkiela.

Tymi utworami „Litwos“ „wziął w jassy r k o r d a“ i trzymał je do śmierci, a trzymać będzie zawsze.

Już jako autor znany, budzący zachwyt, wyruszył w r. 1876 za ocean. „koleją dwu oceanów“ przebył Amerykę, nadsyłając do „Gazety Polskiej“, „Listy z podróży“, w których „zaczytywała“ się cała Polska, oraz „Latarnika“, „Wspomnienia z Maripozy“, „Przez stepy“, „Żórawie“, „Janka muzykanta“, „Z pamiętnika Poznańskiego nauczyciela“, nad którymi cała Polska płakała.

Po powrocie, w r. 1879, zaczyna pisywać w „Niwie“ i w „Gazecie Polskiej“ feljetyony, zatytułowane „Mięszaniny literackie“; rzuca na papier pierwszy obrazek sceniczny „Czyja wina“, po którym pisze dramat „Na jedną kartę“.

Lecz jego skrzydła wciąż krzepną, domagają się szerszych lotów. W r. 1882 powstaje w Warszawie „Słowo“ dziennik, który w następstwie tak dzielnie walczył o swój ideał miłości do kraju—czynnej, trzeźwej, a mimo, że budził nieraz nienawiści frazesowiczów z praktykularza, na społeczeństwo wywarł w rezultacie wpływ duży w ciągu swego 32-letniego istnienia, od r. 1882 do 1914. To pismo pochlubić się może, iż pierwszym jego redaktorem był Henryk Sienkiewicz. Tu w r. 1883, 29-go maja, zaczął drukować, już pod swym nazwiskiem „Ogniem i mieczem“, pisał to arcydzieło w różnych miejscowościach klimatycznych, gdzie szukał zdrowia dla pierwszej żony, ś. p. Maryi z Szetkiewiczów. Wszystko jej odczytywał, pytając o radę. Ta najśłodsza istota, zauważywszy, że jego bohaterom „za dobrze się dzieje“, ska-

zała na śmierć swego kompatryotę, słodkiego Litwina, Podbipiętę, tym wyrokiem wzbogacając literaturę polską o jeden z najpiękniejszych obrazów. Po śmierci drogiej mu żony, (w r. 1884) szuka Sienkiewicz ukojenia i pociechy w twórczości. W latach 1885—1886 pisze „Potop“, w dwu następnych, po powrocie z Konstantynopola, Aten, Hiszpanii, „Pana Wołodyjowskiego“ — wszystkie drukując w „Słowie“; w r. 1888 opuszcza stanowisko naczelnego redaktora tego pisma, wyruszając do Afryki.

Ma się rozumieć, nie podążył szlakami zwykłych turystów, nie poprzestał na Egipcie, Marokku; dotarł do Zanzibaru, Bagamoyo, niezrażony atakami żółtej febry, przeniknął w głąb Czarnego Kontynentu, czemu zawdzięczamy „Listy z Afryki“, a wiele lat potem — „W pustyni i puszcy“, książkę, którą z zajęciem jednakiem czytywały babki i wnuczki. Po między r. 1889—1891 napisał „Bez dogmatu“.

Ta psychologiczna powieść zyskała mu rozgłos nie tylko w Polsce.

W dwa lata potem, w r. 1893, zaczął drukować w „Gazecie Polskiej“ i „Bibliotece warszawskiej“ — „Rodzinę Połanieckich“, tłumaczoną wybornie, przed jej ukończeniem, na język niemiecki w wiedeńskiej „Neue Freie Presse“. Nie tylko swoi, lecz i obcy odczuli, że chodzi tu — nie o zwykły obraz życia powszedniego, ani o dzieje pożycia. Ta powieść, niedoceniana przez ogół, szkalowana i oplwana przez marne jednostki, ma głęboki podkład psychologiczny. Autor, z najpłytszych nawet dusz ludzkich, wyłuskuje zarodek dobra, usprawiedliwionego psychologicznie, a więc prawdziwego, piętnuje zło, od zbrodniczego gorsze: płaskie, to, które pełza.

Miejsce wśród największych twórców, sławę wszechświatową zdobył wiekopomnym obrazem zmagania ducha chrześcijańskiego z potęgą rzymską w „Quo Vadis“. Wstępem do tego olbrzymiego obrazu był szkic, noszący tytuł: „Pójdźmy za nim“.

Sienkiewicz, jedyny w literaturze wszechświatowej wyszedł zwycięsko z usiłowań odtworzenia pierwszych wieków chrześcijaństwa. On jeden był na wysokości obcowania z Apostołami, nawet z Chrystusem. Poprzednio próbował tego Klopstock w swoim „Mesyaszu“, Bohdan Zaleski w „Przenajświętszej Rodzinie“. Najudatniejszą była próba Wallace'a w powieści z czasów Chrystusowych „Ben Hur“.

Sienkiewicz stawiał na kartę swoją sławę artysty. Zdobył — sławę wiekopomną. To dzieło zostało przetłumaczone na wszystkie języki świata, w krajach nawet, które nie wyznają Chrystusa; między innymi są przekłady tej powieści japońskie i arabskie. W r. 1898 w „Tygodniku Ilustrowanym“ zaczyna wychodzić „Krzyżacy“. Siła talentu, duch iście chrześcijański, unoszący się nad tem nowem arcydziełem, sprawiły, że i potomkowie Krzyżaków uchyliłi przed niem czoła.

Najpiękniejsze przekłady tego utworu są właśnie niemieckie, dokonane z całym pietyzmem, częściowo w języku danej epoki, archaicznym. Nadmienić należy, iż ze wszystkich tłumaczeń: rosyjskich, czeskich, serbskich, bułgarskich, hiszpańskich, włoskich, angielskich, najgorszemi są — francuskie, z wyjątkiem przekładów Kozakiewicza. W r. 1903, w warunkach trudnych, wśród choroby ciężkiej, niecnym napaści, wysłała niedokończona wpelni powieść z czasów króla Jana III, „Na polu Chwały“, w r. 1909, osnute na tle prądów owoczesnych „Wiry“, w r. 1912, w „Kuryerze Warszawskim“ „W Pustyni i Puszczy“. Ta cudna powieść dla młodzieży wychodziła jednocześnie w Ameryce północnej i w Anglii.

Przed wojną rozpoczął „Tygodnik Ilustrowany“ drukowanie „Legionów“.

Sienkiewicz do tej powieści przygotowywał się długo, szukając, jak mówił, „dnia powszedniego“ epoki bohaterskiej: a bez dnia powszedniego nie ma powieści. „Legiony“ podmalowane mistrzowskimi rzutami, na tle psychologicznym dają obrazy wstrząsające, między in-

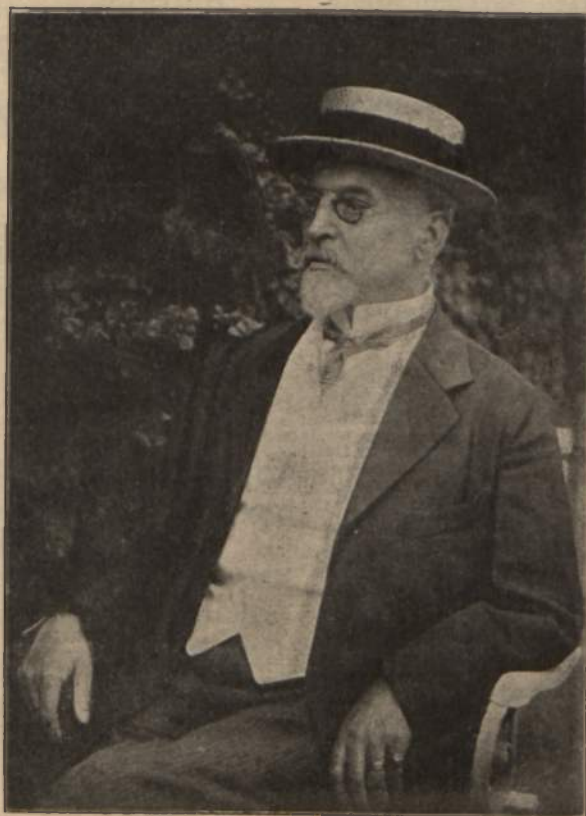
nemi przybycie do legionu Dąbrowskiego, dwu młodzieńców z Królestwa, Kwiatkowskiego i Cywińskiego.

Choćby powieść została niedokończona, co nie jest pewnem, jako fragment nawet przemówi do serc polskich.

Serce Sienkiewicza było zbyt wielkie, za bardzo swój kraj kochało, by mogła zadowolnić je w pełni — literatura.

I w literaturze był obywatelem. A w życiu zabierał głos wobec każdej krzywdy, która nas spotykała.

Katowanie polskich dzieci we Wrześni wywołało list do Wilhelma II; przymusowe pozbawianie Polaków ziemi w państwie pruskiem, skłoniło go do roz-



pisania ankiety „O wywłaszczeniu“. Poza tem wystosował: „List do baronowej Suttner“, dał odpowiedź na artykuł Björnsona: „Polacy, jako ciemniźciele“, pisał „List otwarty Polaka do rosyjskiego ministra“ oraz inne odezwy.

Sarbiewski uwieńczony był w Rzymie, jako piewca. Sienkiewicz uzyskał tytuł członka Akademii „degli Arcadi“ w Rzymie. Był członkiem Krakowskiej Akademii Umiejętności, Akademii w Piotrogradzie, w Belgradzie. W r. 1905 otrzymał wielką nagrodę Nobla w Sztokholmie. Przy jej wręczaniu, prezes Szwedzkiej Akademii umiejętności podkreślił, że to odznaczenie zostało przyznane autorowi polskiemu za działalność artystyczną zarówno, jak i obywatelską: za krzepienie serc rodaków.

Krzepił je piórem, słowem żywym i czynem.

Że był wyśpiewującym wielkie rapsody przeszłości — Wajdelotę, wyobrazicielem naszych nadziei wieszczem, synem Ojczyzny najmiłszym i miłującym ją najżarliwiej, orędownikiem za nią przed obliczem świata — o tem wiedzieliśmy.

Że jest tem wszystkim, a nadto — Ojczyzny na szej patronem, Polski niekoronowanym królem, ojcem rzesz głodnych — o tem powiedziała nam wojna.

Po jej wybuchu srebrnej głowy ku ziemi nie pochylił, rąk nie załamał. Wyciągnął je z prośbą; dla nas stał się — żebrakiem? Nie. Jałmużnikiem tych hufców bratnich, które szły przeciw sobie, tych milionów tułaczy, którzy z własnej ziemi wygnani, szli i poszli na głód bezdomny i chłodny.

Wojna zaskoczyła Sienkiewicza w Oblęgorku, przy pracy nad „Legionami“. Niebawem kieleckie zagarnęli Austriacy. Zaczęli w ogrodzie oblęgorskim sypać okopy. Musiał opuścić darowany mu przez Polskę, umiłowany szmat ziemi. Wyjechał do Wiednia.

Po wielu trudnościach, nie mogąc wracać do kraju, od władz austriackich uzyskał pozwolenie na wyjazd do Szwajcaryi. I zaraz wziął się do pracy.

Zorganizował w Vevey komitet, składający się z wybitnych obywateli Polaków z Królestwa Polskiego,

Prus, Austrii. Należą do niego: Ignacy Paderewski i mecenas Osuchowski, który w ciągu swego życia zebrał miliony na popieranie polskośći w zaborze pruskim. Komitet obejmuje wszystkie dzielnice udręczonej Polski.

Sienkiewicz żywym słowem, w rozmowach z miejscowymi ludźmi, z obiegającymi go korespondentami różnych pism europejskich, a także w drukowanych odezwach, prosił o żywność, o bydło i ziarno na obsiew dla ogłodzonego i ogołoconego z całego dobrobytu włościanstwa, które pozostało w kraju; o chleb dla rzesz, z kraju wygnanych. Opowiadał Europie, że półtora miliona Polaków prowadzi bratobójczą walkę w armiach trzech państw wojujących; że „w atakach na bagnety nasi współbracia słyszą, iż język w jakim dobywają się okrzyki, jest naszym wspólnym, ojczystym językiem“. Przypominał, że w przeszłości Polska była murem, o który się rozbiła inwazyja turecka i tatarska, grożąca Europie.

Dzięki temu apostołstwu, od chwili powstania Komitetu, czyli 9 stycznia 1915 r., po 30-ty czerwca 1916 r. zebrał 12,571.277 fr. W pierwszym półroczu roku bieżącego 904,640 fr., jako fundusz dla bezdomnych dzieci, przesłał do różnych komitetów miejscowych w Polsce, pozatem 19 wagonów skondensowanego mleka.

Zapomogi przesyłał komitetom lokalnym, złożonym z przedstawicieli miejscowej ludności, które z jego polecenia i na wyraźne życzenie, rozdzielały je wśród mieszkańców wsi, miast i miasteczek, bez różnicy wyznania.

Tak pracował ów Mąż 70-letni, życiem i „potykaniem dobrem“ strudzon, niepomny na wiek, na wątłe zdrowie, wpatrzony jeno w Polskę.

Zmarł, jak Mojżesz, w chwili, gdy przed jego stęsknionemi oczyma zarysowała się już Ziemia Obiecana, do której niestrudzenie, wytrwale, swój naród prowadził.

BROCHWICZ.

NOWE ZADANIA.

Historia mknie.

Jeszcze dwadzieścia lat temu zmora czarnej nocy zasłaniała nam wszystkie horyzonty.

Jeszcze dziesięć lat temu najśmielsi, w programie realnej pracy narodowej i realnego programu politycznego, nie mogli stawiać innych postulatów, jak pewne polepszenie wewnętrznych warunków życia.

Jeszcze dwa lata temu świtał zaledwie brzask istotnego życia politycznego narodu.

Jeszcze rok temu zdawaliśmy się być Don Kichotami, walczącymi z wiatrakami, gdyśmy walili taranami pism i broszur w kamienną obojętność opinii świata, który zatykał uszy na głosy, wołające o sprawiedliwość i zrozumienie jego własnego interesu.

Ale wiara nasza dokonała cudów...

Chrystus narodów zmartwychwstaje.

Dokonał się trzeci dzień męki na Golgocie, wedle przepowiedni Skargi.

Korzą się poganie przed cudem nieśmiertelności.

Za Bogiem powtórzyć możemy: — „Królestwo nasze nie jest z tego świata“.

Bo świat ujrzy rzecz nadzwyczajną.

Zwycięstwo wiary, nadziei i miłości.

Zwycięstwo ducha.

Bez pomocy hufców aniołów i archaniołów. Bo przecież my dźwigamy się nie siłą materialną.

Powstajemy pomimo braku siły materialnej. —

Wbrew sile materialnej. Stajemy znów wśród żywych nędzni, bezbronni, głodni, wyniszczeni.

Zamknął się okres letargu.

Poczyna się życie. Życiem tem musimy zaświadczyć teraz, że nie darmo cud się stał.

Że stał się nie tylko dlatego, że stać się musiał, ale i dlatego, że stał się celowo.

Że jesteśmy światu niezbędni.

Ogrom zadań. Spełnić je można jedynie wulkanicznymi siłami. Rewolucją energii. Zupełną rewizją całej historii. Przenicowaniem wszystkich myśli. Przewartościowaniem wszystkich wartości.

144 lata walk, które zabierały wszystkie siły i nie dawały nic. Bo jedynym ich celem było ratowanie tych dóbr, które posiadają nawet dzikie narody afrykańskich ludojadów: praw języka, wiary, budowania szalasu, posiadania ziemi.

Na walkę tę poszły dziesiątki miliony ludzkich istnień, poszedł cały dorobek kultury kilku pokoleń.

Postawimy kiedyś w Warszawie muzeum polskiej martyrologii. Niech na wieczne czasy przypomina światu hańbę ludzkości.

Tymczasem mamy pilniejsze sprawy.

Powstaje oto nowy byt.

Nowy byt polityczny w rodzinie Europy.

Co przyniesie on nowego?

Czy da nowy system życia? Czy da nowe formy zrzeszeń ludzkich? Czy wytknie nowe drogi moralne? Czy odrodzi Europę? Czy będzie oryginalnym bytem sam w sobie? Czy da i n i c y a t y w ę do wytknięcia nowych gościńców w puszczy coraz bardziej pogmatwanego życia społecznego?

To są pytania, które ludy może Polsce postawią, ale które Polska sama sobie postawić bezwarunkowo musi.

Jeżeli nie chcemy być „pawiem i papugą” narodów, musimy wykrzesać z siebie nową wiarę.

Wiara ta nowa nie powinna właściwie być nową. Jest ona w nas, w naszej historii, w naszej przeszłości.

Tylko że my nie jesteśmy jej świadomi.

Za wielu mieliśmy falszerzy historii, którzy naginali ją do swoich programów politycznych.

Za wielu mieliśmy niepolaków wśród naszych historyków i krytyków literatury.

Zanadto zaśmiecono nam polską historyzofię wpływami umysłów obcych, nie rozumujących zgoła oryginalności naszej kultury politycznej.

Zamaliśmy dotąd mieli psychologów Polskości, dopiero ostatnie czasy dały Szczepanowskiego, i Bałickiego, stąd nader dziwne zjawisko, że my dotąd nie mamy ścisłego określenia tej Polskości.

Bez zrozumienia zaś i dokładnego wykreślenia dróg duszy Polskiej, tak jak ona dyktowała przebieg historii, nie może być mowy o stworzeniu nowego Polskiego życia.

W dobie obecnej nasz naród, tak jak nigdy przedtem, jest narażony na wpływy obce z powodu

bardzo ścisłego kontaktu z narodami, nie mającymi z naszym nic wspólnego.

Ot, i teraz naprz. bieg wypadków tak działał, że Polska powstaje pod bezpośrednim „nadzorem” Prus, kultury politycznej Niemiec.

Że zaciąży to na ukształtowaniu się naszego najbliższego życia — to jest nieuniknione. A przecież byłoby to klęską, z którą walczyć należy niezwłocznie, bo nic nie ma bardziej różnego nad kulturę ducha polską a niemiecką.

Nie ma na świecie dwóch umysłowości bardziej różnych, niż Polska i niemiecka.

Naszą duszą jest Mickiewicz, który Bogu wyrwał władztwo dusz, Słowacki, który w aniołów przerabiał, Cieszkowski, który z „Ojciec Nasz” chciał stworzyć Polskie życie.

Polska dusza dąży do osiągnięcia ideału w rzeczywistości, do wcielenia go, do wprowadzenia Królestwa Bożego na ziemię.

Dusza niemiecka — to Schiller, dla którego ideał jest tylko tęsknotą, nigdy nieureczywistnialną, nieziszczalnym marzeniem, czemś, co można i należy mieć, ale czego nigdy nie można osiągnąć. Dusza niemiecka to Hegel, który ubóstwił brutalną siłę państwa, która dla Polaka zawsze jest tylko malum necessarium, jak dla Francuza, jak dla Anglika. Dusza niemiecka to Nietzsche, dla którego ludzkość dzieli się na nadludzi i bydło.

To co jest kwintesencją polskiej duszy — braterstwo ludów, dobra wola, dla duszy niemieckiej jest rzeczą niepojętą.

Poezya niemiecka, dusza niemiecka, życie niemieckie już od Goethego i Schillera wzięły rozbrat pomiędzy ideałem a dniem powszednim.

Dążeniem duszy niemieckiej jest — poznanie, naszej — odczucie.

Stanisław Szczepanowski daje genialne zestawienie poezji niemieckiej z życiem.

Prusy współczesne nie robią nic innego względem Polski, jak tylko wcielają w życie — Goethego.

W ostatnim akcie Fausta widzimy, jak sobie ułożył wybudować wielką latarnię morską na pagórku, na którym znajduje się kapliczka, a obok chata i gospodarstwo pary starsuszków, kochających się i żyjących w sielskim ustroniu: Philemona i Baucis, którzy stamtąd nie chcą ustąpić; Faust, powstrzymany w wykonaniu swoich wielkich zamiarów, posyła Mefistofelesa ze swoimi wielkoludami do rugowania tej sielankowej pary. Chatę i kaplicę puszczają z dymem, a Philemona i Baucis i przyjaciela, stojącego w ich obronie, zabijają.

Czyż to nie idealny opis stosunku Niemców do Polski!

Dusza niemiecka jest niedostępną dla sprawiedliwości bezwzględnej, co jest cechą bardzo polską, aż okrutną czasem.

Jeżeli w tym momencie nakreśliłem parę szkicowych różnic psyche polskiej i niemieckiej tylko, a pomijam dziś różnice dusz innych — i polskich,

to nie dlatego, że ich nie widzę, lecz, że w momencie aktualnym z duszą państwową niemiecką Polska ma do czynienia i że stamtąd grozi jej niebezpieczeństwo.

Konstytucja Polska nie może być ani konstytucją niemiecką, ani żadną inną

Ma być Polską, ale jaką?

Czy tą z 3-go Maja, czy z Królestwa Kongresowego, czy jeszcze inną, jakąś przeciętną — współczesnej Europy?

Nic z tego.

Życie jest nowe, nowe pokolenia, nowe prądy.

Od lat stu myśl ludzka uczyniła postępy niebywałe na drodze poznania istoty ludzkiej; zjawiła

się nauka nowa, nieistniejąca dawniej — psychologia, socjologia, biologia, nauki, które usystematyzowały doświadczenie tysięcy lat kultury ludzkiej.

My dziś jesteśmy magnatami wiedzy i mądrości. Dysponujemy doświadczeniem setek pokoleń.

Konstytucja Polska musi być częścią nowego systemu życia Polskiego, opartego na niewzruszalnych podstawach wycucia i poznania istoty historycznie sformowanej duszy narodowej Polskiej.

Poznać tę duszę — to znaczyć będzie — znaleźć klucz do rozwiązania zagadki życia Polskiego i jego konstytucji.

Przejdziemy do tego tematu.

RATULD.

PROBLEM MIĘDZYNARODOWY.



o ogłoszeniu przez Niemcy i Austryę „samodzielności“ okupowanego przez nie Królestwa Polskiego sprawa polska stała się zagadnieniem międzynarodowym. Właściwie była niem zawsze i jako taka dała jeden z głównych powodów do obecnej wojny. Państwa zaborcze jednakże każda

z swych dzielnic podawały za swoją wyłączną własność i poruszanie jej na arenie publicznej uważały za wtrącanie się niepowołanych do swych spraw wewnętrznych. N. p. Koło Polskie w Wiedniu próbowało niejednokrotnie za pośrednictwem rządu austriackiego wpłynąć na rząd pruski celem złagodzenia strasznego położenia Wielkopolski, jęczącej pod obuchem ustaw wyjątkowych. Starania te spotykały się jednakże stale z odmową, że Austrii do spraw wewnętrznych Niemiec mieszać się nie wolno, w Prusach zaś wywoływały paroksyzmy wściekłości hakatystów i ironicznie chłodne odprawy ministrów. Rządy zaborcze po dziś dzień jeszcze stoją mniej więcej na tem samym stanowisku, natomiast opinia publiczna dokonała zasadniczego zwrotu, którego pełnego skutku wszakże spodziewać się można dopiero po wojnie.

Hasło słuszności i obrony praw mniejszości narodowych, wywołane u Koalicji przeciwniemieckiej zajęciem przez armie sprzymierzone Belgii i Serbii, głoszone zwłaszcza we Francji i Anglii z pełnym naciskiem, jest dziś zasadniczą tezą wojny. Czując jej znaczenie w opinii publicznej podjęły to hasło również i Niemcy i już przy oświadczeniu rządu berlińskiego na początku roku bieżącego, że sprzymierzeńcy rozwiążą sprawę polską i uważają ją za jedno z głównych swych zadań przy urządzaniu „Europy

środkowej“, widocznem było, że i one chcą zjednać sobie uznanie państw neutralnych i zaszachować Koalicję. Ta znów trwając z względu na sojusz z Rosją na dawnym stanowisku usankcjonowanych, rzekomo prawno politycznie, zaborów, wysunięcia sprawy polskiej na arenę międzynarodową oczekiwała od rządu rosyjskiego.

Obecnie jesteśmy świadkami następującego zjawiska: Niemcy i Austrya zajętem przez siebie obszarem nadają znaczenie międzynarodowe i powołują do życia samodzielną Polskę, składającą się z guberni Królestwa Polskiego, Rosya znów protestując przeciw temu aktowi, obiecuje zjednoczenie zaboru austriackiego i pruskiego z „autonomiczną Polską“, do którego chce włączyć ze swej strony Królestwo. Usamodzielnione przez Niemcy i Austryę Królestwo ma być ściśle złączone z państwami centralnemi; zjednoczona autonomiczna Polska ma pozostawać w unii personalnej z Rosją. Zabory niemiecki i austriacki wchodzić będą, zdaniem sprzymierzeńców, nadal jako integralne części, w skład ich państw, podczas gdy „samodzielne“ Królestwo ma tworzyć zapewne coś w rodzaju condominium niemiecko-austriackiego. Rosya w proteście swym przeciwko aneksji swego zaboru wysuwa obok zjednoczenia pełnię praw narodowych, które chce nadać połączonej Polsce.

Projekt niemiecki jest realnie i formalnie daleko węższy; co należy rozumieć pod pełną autonomią Galicji jest sprawą niejasną, o Wielkopolsce panuje głuche milczenie. Wynika z tego, że mimo hasła wyzwolenia mniejszości narodowych, sprzymierzeńcy nie myślą na rzecz tego idealnego celu poświęcić cośkolwiek z swych realnych własności.

Aczkolwiek nie wiemy, jak należy rozumieć przyrzeczony nam przez Rosję autonomiczny rozwój narodowy, przyznać należy, że w myśl odezw W.Ks. Mikołaja ogłoszone drugie jego potwierdzenie formalnie sięga daleko dalej. Mówi przecież o zje-

dnoczeniu wszystkich ziem polskich, co po rozbiorach Polski było zawsze najbliższem i najdroższem marzeniem każdego Polaka. O ile jednak akt niemiecki opiera się, przynajmniej obecnie, na faktycznym stanie posiadania, zapowiedź ponowna rządu rosyjskiego ma na razie znaczenie tylko ideowe. Równocześnie zaś zapowiedź ta, łącząca Wielkopolskę i Galicyę pod berłem Cesarza Rosyi, wchodzi z prawno politycznego punktu widzenia również w kompetencye innych państw i tem samem wkracza w dziedzinę stosunków międzynarodowych. Zniszczenie zaś planu rosyjskiego zależnem jest albo od zupełnego pobicia Niemiec, któreby wtedy zgodzić się musiały na wszystkie warunki zwycięzców, albo od układów dyplomatycznych na kongresie pokojowym, na którym zjednoczona Polska byłaby wynikiem kompromisu i rekompensat.

Albo zwycięska Rosya siłą miecza odbierze państwowym centralnym nie tylko Królestwo, lecz również oba zaborcy, niemiecki i austriacki, i wtedy na obszarze całym urządzić będzie przyszłe życie państwowe według swej zapowiedzi, albo Koalicya, również w razie pobicia sprzymierzeńców, sprawę zjednoczenia stawia jako jeden z warunków pokoju. Przytem należy sobie uprzytomnić, że Niemcy bronić będą posiadania Wielkopolski wszelkimi siłami i sposobami.

Wreszcie jest trzecia możliwość, zgoła nieprawdopodobna, że zwycięstwo Niemiec utrwali obecny stan samodzielnej Polski i dwu od niej odgraniczonych zaborów. Lecz tylko wtedy mogłyby państwa sprzymierzone wymusić przy układach pokojowych pominięcie sprawy polskiej milczeniem, co równałoby się usankcjonowaniu nowego podziału w myśl aktu niemieckiego.

Dokonanie jego obecnie, gdy jeszcze *varius belli eventus*, świadczy o dążeniu Niemiec do zaszczenia Rosyi i innych jeszcze, przy braku szczegółów i autentycznych danych, ukrytych zamiarów sprzymierzeńców.

Jest dzisiaj faktem niezaprzeczonem, że zjedno-

czona i niepodległa Polska byłaby ciosem, żądanym w samo serce Prus, a tem samem narażeniem poważnem stanowiska europejskiego Niemiec. Rozumiejmy to przede wszystkim doskonale państwa zachodnie, Anglia i Francya, i z tego punktu widzenia wynik wojny dałby im pożądany atut w rekę. Złączone z niemi wolne państwo z silną armią byłoby najskuteczniejszą gwarancją ukrócenia raz na zawsze preponderancyi Niemiec. To samo odnosi się oczywiście i do Rosyi, gdzie jednak pełne zrozumienie tej sprawy ciągle jeszcze spotyka się z oporem biurokracyi i nacyonalistów.

To jedno zdaje się wynikać ze zdarzeń ostatniej doby niewątpliwie. Przez zapowiadany długo i wreszcie po długich pertraktacyach doprowadzony do skutku kompromisowy akt Niemiec i Austro-Węgler z jednej, a przez zgłoszony przeciw niemu do Europy protest Rosyi, sprawa polska staje się nie tylko ośrodkiem dzisiejszej akcji wojennej, lecz równocześnie najważniejszym zagadnieniem kongresu pokojowego. Wskazuje na to fakt ogłoszenia samodzielności kraju okupowanego, który mógłby tylko zachować cechę rzeczy dokonanej w razie zupełnego zwycięstwa Niemiec, a z drugiej strony wyniesienie przeciw niemu projektu połączenia wszystkich części Polski przed forum Europy.

Nie przesądając dalszych jeszcze obwieszczeń dwu stron wrogich w tej sprawie, obie przyznać muszą, że martwą dla nich — pozornie — materya rzuciły na szalę wojny. Polska nie jest już sprawą wewnętrzną trzech państw zaborczych, lecz staje się jednym z głównych problemów przyszłego urządzenia Europy, nad którym cała Europa zastanowić się i który w pełni rozwiązać musi.

Polska rozumem swym, rozważą i postępowaniem musi światu udowodnić, że do zagadnienia tego, które rozstrzygnie o jej losach, jest dojrzałą i, tworząc tem samem moralną siłę żywego i świadomego swych zadań narodu, na pełne jego uwzględnienie czeka.

TADEUSZ JAWORSKI.

SPRAWA POLSKI.

Od czasu ogłoszenia przez szefów dwu państw zaborczych, że intencją ich jest utworzenie niepodległej Polski z ziem b. Królestwa Polskiego upłynęło kilka tygodni, które dały bardzo dużo materiału, do oceny, czem właściwie jest stworzona przez Niemców Polska i jak kształtować się tam będą stosunki polityczne w najbliższej przyszłości.

Należy na sprawy te spojrzeć z zimną krwią, z całym spokojem, by je ocenić z punktu widzenia, jedynie należnego — polskiej racyi stanu, która wymaga stworzenia warunków najdogodniejszych dla

przyszłości naszej, wyzyskania wszystkich najkorzystniejszych atutów, zebrania wszystkich sił dla nieprzerwanej pracy nad odbudową Rzeczypospolitej.

Zobaczmy naprzód, jak społeczeństwo niemieckie przyjęło akt cesarski, który wydany był bez wiedzy i aprobaty narodu i jego mandataryszów.

Bardzo wpływowy organ Hardeny „Zukunft“ pisze z tego powodu:

„Proklamacya wskazuje, coby się stało, gdyby życzenia cesarzów mogły same rozstrzygać. W lecie 1866 pruska naczelna komenda zapowiedziała speł-

nienie narodowych życzeń czeskiego narodu. W sejmie pruskim zażądał wtedy Łubieński imieniem Polaków, aby to samo, co obiecano Czechom, dano także Polakom. Bismarck odpowiedział, że nie będzie się zastanawiał nad tem żądaniem, ponieważ proklamacyi głównodowodzącego w kraju nieprzyjacielskim nie uważa za taki dokument, któryby mógł służyć za podstawę do rozpraw konstytucyjnych.

„Podobny charakter miała także proklamacja jednego z pruskich generałów, wydana we wrześniu 1914, który wołał do Polaków: „Powstańcie... wasz piękny kraj otrzyma znowu polityczną i religijną wolność. Taka jest wola mojego Wszchemocnego Władcy. Dan w Królestwie Polskiem“. Teraz powiedziano to samo, tylko bardziej podniesionym głosem.

„Prusy mogą się tylko lękać ze strony polskiego państwa największych niebezpieczeństw dla niemieckich terytoriów nad Wisłą. Pogłoski o oddzielnym pokoju z Rosją zostały złożone do trumny. Proklamacja generał-gubernatorów wskazuje, że wojna będzie trwała dopóty, dopóki Rosya nie ustąpi. Wywołać to może tylko namiętną odpowiedź. Jeżeliby jednak pragnienie cesarzy kiedykolwiek miało dojść do urzeczywistnienia, naród niemiecki i niemiecki parlament, a zwłaszcza pruski sejm i pruska prasa zdobędą dla siebie posłuch i mocno nalegać będą na swoje prawo do współdziałania.

„Lecz poco zarzuty? Przecież obaj cesarze — pisze Harden — tylko po prostu wypowiedzieli swe życzenie, którego urzeczywistnienie możliwe jest wówczas, jeżeli wojna będzie ukończona w takich warunkach, że zasady pokoju będą dyktowane przez Niemcy i Austryę, nie zaś przez nieprzyjaciół naszych. Na razie przyjemnie nam słyszeć od obu sprzymierzonych cesarzy, że są pewni siebie.

„Jakkolwiek bądź, ale konstytucja niemiecka wymaga, ażeby wszystkie akty cesarskie — by miały moc prawa i wartość konstytucyjną — zaopatrzone były również w podpis kanclerza Rzeszy. Tymczasem proklamacja o wskrzeszeniu państwa polskiego podpisu Bethmanna Holwega nie posiada“.

„Widocznie kanclerz i parlament niemiecki nie widzą podstawy realnej dla tego aktu, przynajmniej w chwili obecnej. Ale gdy wybije godzina, jeżeli wogóle wybije, naród, prasa i parlament zmuszą do wysłuchania ich głosu w tej sprawie“.

„Voss. Ztg.“ pisze: Można byłoby sobie życzyć, żeby kanclerz zakomunikował ten fakt dokonany parlamentowi na posiedzeniu publicznem, żeby wszystkie partie mogły wypowiedzieć swe poglądy za i przeciw. Tymczasem obecnie parlament jest zupełnie uwolniony z odpowiedzialności za akt o tak wyjątkowej doniosłości politycznej, kanclerz sam ponosi odpowiedzialność“.

„Berl. Tgbl.“: Polityka manifestów stwarza nowe zobowiązania, nie wyjaśniając nic w sytuacji. Nie moglibyśmy wypowiedzieć się za zasadami, głoszonymi przez manifesty jak tylko w tym wypadku, jeżeli nie kryje się w nich zarodek nowych myśli „rewanżu na wschodzie i na zachodzie“.

„Post“: Wrażenie, jakie na nas wywarł nowy stan rzeczy jest przykre. Rozwiązanie kwestyi polskiej zaprodukowano w najbardziej brutalny, autokratyczny sposób“.

„Köln. Volksztg.“: Wszyscy politycy polscy rozumieją, że nasz czyn obecny nie wywołany został wyłącznie przez miłość do narodu polskiego, lecz przez to, iż nasza sytuacja zmusza nas do twardej obrony interesów naszej ojczyzny“.

Kwintesencją jednak wyrazu stosunku Prus do Polskiego narodu jest uchwała Sejmu pruskiego, zapadła większością głosów, która brzmi jak następuje:

„Przez proklamowanie samodzielnego Królestwa Polskiego, za zgodą i odpowiedzialnością królewskiego rządu państwowego, nie dawszy poprzednio sejmowi sposobności wyrażenia opinii, uczyniono krok, który dotyka najżywoźniejszych interesów państwa pruskiego.

„Izba posłów wobec tego wypowiada wyraźne oczekiwanie, że przy ostatecznem ukształtowaniu stosunków nowego państwa, które ma swobodnie uregulować swe potrzeby kulturalne i narodowe, stworzone będą w Królestwie Polskiem dla Niemiec trwale skuteczne gwarancje militarne, gospodarcze i ogólnopolityczne“.

„Izba posłów zastrzega sobie w zupełności zajęcie stanowiska wobec ewentualnych kroków politycznych, dotyczących interesów Prusaków, mówiących po polsku, w miarę dalszego rozwoju stosunków. Już dziś jednak oświadczają, że nie jest możliwe uregulowanie stosunków wewnątrzno-politycznych na niemieckich kresach wschodnich, któreby mogło w jakikolwiek sposób narazić na niebezpieczeństwo charakter niemiecki prowincyi wschodnich, nierozdzielnie złączonych z państwem pruskim i niezbędnych dla istnienia, oraz stanowiska mocarstwowego Prus i Niemiec“.

Sejm pruski więc zawyrokował, że 4 miliony Polaków, zamieszkujących od tysięcy lat Śląsk, Wielkopolskę i Pomorze — to Prusacy, używający języka polskiego.

W dyskusyi zabrał głos pruski minister spraw wewnętrznych v. Loebel i po różnych ekskursjach w dziedzinę polityki przygotowawczej w sprawie rozwiązania kwestyi polskiej, po wyrażeniu uznania legionom dla ich waleczności, tudzież nadziei, że „nowe polskie bataliony ochotnicze będą broniły przyszłości Polski przed wciąż jeszcze od wschodu nacierającym wrogiem“, wygłosił dosłownie następujące, nas Polaków najbardziej interesujące zdania: „W nowo powstającym państwie polkiem otrzymają Polacy z rąk zwycięskich mocarstw centralnych nowe samodzielne życie narodowe, którego od przeszło wieku pragnęli i do niego dążyli. Przez to, że nowe państwo polskie będzie silnie połączone z Niemcami i także z Austro-Węgrami, będzie także, tak się spodziewamy, granica wschodnia Rzeszy niemieckiej wzmocniona i zabezpieczona“.

Niepodległa Polska ma więc być jedynie zabezpieczeniem granic niemieckich.

Niemniej ważne są enuncjacje życzliwej nam prasy szwajcarskiej, cieszącej się dużymi wpływami, oraz prasy włoskiej, która niepodległość Polski doskonale zawsze rozumiała.

„Gazette de Lausanne“: „Ograniczenia, które państwa centralne stawiają przy wskrzeszaniu Polski, są atutami, pozostawionymi przez nie w rękach przeciwników. Szpony pruskie nie mogły zdecydować się na zwolnienie prowincji Poznańskiej i Prus zachodnich, gdzie ludność pozostała w większości, jeżeli nie w całości polską“.

„Avanti“ (organ socjalistyczny): „Proklamowanie niepodległości polskiej nie jest aktem sprawiedliwości, lub wynagrodzenia krzywdy, jest to eksperyment dyplomatyczny, polityczny i militarny. Polska, quasi niepodległa, będzie zależna od woli Bethmana-Helwega, jej król będzie miał obowiązek przygotowywania żołnierzy dla sprawy Hohenzollernów i pruskich junkrów; jej lud, rzekomo wolny, będzie musiał wysyłać własnych synów na śmierć za fortunę Niemiec“.

„Corriere della Sera“: „Mamy jeszcze jedną formę prowizoryczną aneksji i tworzenia wypadkowych protektoratów. Sam minister spraw zagranicznych, Burian, uważał za stosowne ostrzedz deputację Polaków, że kroki ogłoszone będą zrealizowane dopiero po wojnie. Jedyna rzecz, która interesuje Niemcy podczas wojny, to utworzenie armii polskiej i wymuszenie zapłaty krwią za to złośliwe oszustwo“.

Jeżeli zwrócimy się teraz do informacji — jakie posiadamy z kraju, a dotyczących przyjęcia aktów cesarskich przez społeczeństwo polskie, jeżeli zajrzemy do wydanych już opinii polskich — wydanych przez tej opinii przedstawicieli — to łatwo się przekonamy, że Polacy ignorują stanowisko niemieckie, że mają własne swoje i że potrafią oddzielić ziarno od plewy.

Już Brudziński, który jest chwilowo najtypowszym zdaje się przedstawicielem miasta Warszawy, głosem przeciętnym jej centrum narodowego — w mowie na uroczystym posiedzeniu Rady miejskiej — powiedział, że „postawiona została tymczasem zasada i jej zrealizowanie musi być powolne i odbywać się w ciężkich warunkach“... A to nie oznacza rezygnacji z całej Polski na rzecz jej skrawka, tu się mieści tylko przeświadczenie że nie śmiertelne prawo narodu do samodzielności zostało uznane, że stał się fakt dla całej zbiorowości polskiej niesłychanie ważny — bo „niepodległość nasza nawet w warunkach obecnych jest wielką dźwignią naszego rozwoju państwowego, a narodowego i kulturalnego dla wszystkich naszych rodaków“...

Brudziński podkreśla przede wszystkim między narodowość sprawy polskiej, oraz odwołuje się do woli narodu, która musi być w danym wypadku decydująca.

„To znaczy, że my żyć możemy wśród narodów

europejskich tylko jako równi z równymi i tylko tak możemy wspólnie pracować. Żądała tego nasza tradycja historyczna. Żądały nagromadzone u nas siły moralne i materyalne i oto ta rzecz zaczyna się ziszczać. Mamy sposób: To co na początku dzisiejszej chwili ogłoszone jest słowem, to stanie się ciałem, dzięki temu, że naród powie: stań się! Bo tylko wtedy może się to stać, gdy naród to powie. Reszta — to są deklaracje dyplomatyczne, niezbędne potrzebne, ale przede wszystkim do tego, aby zdobyć niepodległość realną, jest potrzebna wola narodowa“.

I tę wolę Brudziński stwierdził...

O brance wojskowej, w celu rzucenia żołnierza polskiego do walki z koalicją ani jednego słowa w mowie powyższej nie znajdujemy.

I to uważamy za wielką zdobycz umysłów politycznych w Polsce.

W uniwersytecie warszawskim nazajutrz po proklamowaniu niepodległości — jak donosi „Dagens Nyheter“ — zgromadzili się studenci w auli i urządzili owacyę rektorowi dr. Brudzińskiemu, poczem wręczyli mu adres od młodzieży. W adresie zawarte było podziękowanie za mowę w odpowiedzi na manifest cesarski, ponieważ mowa była umiarkowana, spokojna i wypowiedziana z godnością, jak przystało przedstawicielowi Polski. „Deutsche Warschauer Ztg.“ z powodu tego adresu wyraziła niezadowolenie, wskazując na to, że naród polski powinien był wypowiedzieć przez Brudzińskiego wielki zachwyt i wdzięczność za wspaniałomyślność obu monarchów.

O opinii Naczelnego Komitetu Narodowego Galicyjskiego dowiadujemy się z depechy z Kopenhagi, mianowicie, że pod przewodnictwem p. Bilińskiego w Krakowie, odbyło się zebranie Naczelnego Komitetu Narodowego. Biliński oświadczył, że po utworzeniu polskiej armii zadanie Naczelnego Komitetu, formowanie legionu polskiego, należy uznać za osiągnięte. Na posiedzeniu posłów polskich Biliński oświadczył, że ogłoszenie samodzielności Polski nie jest zgodne z programem postawionym przez Polaków galicyjskich, ale ogłoszony akt posiada znaczenie zasadnicze.

Jednocześnie Komitet Narodowy Królestwa Polskiego, przebywający obecnie z tej strony kordonu wojskowego — proklamował następującą odezwę:

„Koło polskie obu Izb prawodawczych i Komitet narodowy, rozpatrzywszy sytuację, wytworzoną obecnie w sprawie polskiej, ogłaszają co następuje:

„Proklamowana przez mocarstwa centralne zapowiedź stworzenia niepodległego państwa polskiego z okupowanych ziem polskich, potwierdza rozbiory i z tego powodu przeczy istotnym podstawom odrodzenia i zjednoczenia.

Projekty wojskowe Niemiec i Austrii, powołujących ludność Królestwa do walki bratobójczej dla zasilenia szeregów niemieckich, których zwycięstwo uniemożliwi połączenie ziem polskich, grożą losom Ojczyzny i przeczą uczuciom większości narodu polskiego.

Zasadniczym warunkiem odrodzenia Polski jest zjednoczenie ziem polskich i nadanie im samodzielnego ustroju państwowego. Zaspokojenie niezłomnych dążeń narodu polskiego do zjednoczenia Ojczyzny zapowiadają Rosya i jej sprzymierzeńcy. Na początku wojny Rosya rzuciła hasło zjednoczenia ziem polskich, obecnie zaś sprzymierzeńcy jej z Zachodu zapowiedzieli również przywrócenie państwa polskiego, uważając zjednoczenie ziem polskich za warunek przyszłej równowagi Europy.

Komunikat rządu rosyjskiego z dnia 2-go listopada r. b. stwierdza, że Rosya trwa w zamiarze zjednoczenia Polski pod Monarszem berłem Cesarza Rosyjskiego, zapowiadając jednocześnie nadanie jej prawa swobodnego budowania swego życia kulturalnego i ekonomicznego na zasadach autonomii, z zachowaniem państwowości wspólnej.

Swobodne budowanie życia narodowego wymaga własnego ustroju państwowego.

Komunikat rządu rosyjskiego nie przewiduje tego, a ogólnikowa jego treść pozwala na tłumaczenie jej w sensie osłabiającym siłę odporną narodu polskiego, zwłaszcza, że po dziś dzień pozostają w mocy ograniczenia Polaków w Cesarstwie.

W tragicznej sytuacji narodu polskiego, bezbronego wobec groźnej przemocy Niemców, sięgających po jego siłę żywą, niezbędne jest, żeby Polacy otrzymali krzepiące moc ducha zapewnienia, że sprawa polska będzie przez Rosję i jej sprzymierzeńców rozstrzygnięta ostatecznie i warunki zasadnicze odrodzenia Polski będą ziszczone.

Ten Komitet Narodowy, który stoi na stanowisku przymierza politycznego Polski z Rosją — po raz pierwszy uznał za możliwe wśród nowych koniunktur politycznych — wyraźnie zaznaczyć, że — „swobodne budowanie życia narodowego polskiego wymaga własnego ustroju państwowego“.

Politycy znów polscy działający za granicą ustalili stanowisko swoje w enuncjacji, z której wyjmujemy passus następujący:

„Naród polski jest niepodzielny. Dąży on do stworzenia państwa polskiego z trzech zaborów Polski i dążenia jego nie mogą być urzeczywistnione bez połączenia trzech rozdzielnych części.

„Od wojny obecnej, której hasłem jest „swoboda i niepodległość narodów“ — Polska oczekuje przede wszystkim zjednoczenia.

„Projektowane stworzenie państwa polskiego wyłącznie z ziem okupowanych, stanowiących zaledwie część Polski, nie tylko nie odpowiada dążeniom Polaków, lecz przeciwnie, podkreśla podział ich Ojczyzny“.

Z okupacji austriackiej, to znaczy południowo-wschodniego Królestwa, doszły nas następujące głosy, charakteryzujące stanowisko mas, mianowicie:

W krakowskim „Głosie Narodu“ czytamy pod nagłówkiem „rezolucje lubelskie“:

„Ziemia lubelska“ z dnia 8 b. m. donosi:

„W dniu wczorajszym odbyło się przedwstępne

zebranie członków Głównego Komitetu Ratunkowego miejskiego i powiatowych.

„Na zebraniu tem po ożywionych dyskusjach przegłosowano dwie rezolucje.

„Pierwsza, którą przyjęto 40 głosami za, przeciw 16, brzmi następująco:

„Zebranie stwierdza, że dążenie do stworzenia silnego niepodległego Państwa Polskiego, jest punktem wyjścia dla stosunku jego do aktu z dnia 5 listopada“.

Druga rezolucja, którą przyjęto jednogłośnie i postanowiono ogłosić z a o p a t r z o n ą p o d p i s a m i brzmi następująco:

„Zebranie stwierdza, że realizacja proklamowanej zasady niepodległego Państwa Polskiego odbyć się może tylko przy udziale samego społeczeństwa polskiego, a to przez prawnie wybranych jego przedstawicieli, do których należy też decyzja o kierunku polityki polskiej i zachowania się narodu“.

Druga wiadomość głosi, że z inicjatywy włościanstwa lubelskiego, odbył się wiec, w którym wzięło udział przeszło 2000 osób. Przemawiali włościanie z ziemi lubelskiej i chełmskiej, oraz redaktor Śliwiński i oficer werbunkowy legionów Jan Dąbski.

Uchwalono rezolucję, w której zgromadzeni na wiecu włościanie witają z najwyższą radością utworzenie państwa polskiego: Przypadający na nich udział w podtrzymaniu i obronie tego państwa biorą z radością na swe barki, nie poskąpią w walce o państwo ani ofiar, ani krwi. Domagają się dalej natychmiastowego powołania do życia podstawowych instytucji państwa polskiego, proklamowanego przez monarchów Austro-Węgier i Niemiec, a w szczególności powołania na tron w o l ą n a r o d u króla polskiego, z k r w i d a w n y c h k r ó l ó w polskich, katolika, umięjącego po polsku, założyciela dynastji, władcy polskiego państwa i najwyższego wodza armii polskiej; domagają się dalej zwołania sejmu, złożonego z przedstawicieli narodu, wybranych na podstawie demokratycznej ustawy wyborczej, i utworzenia armii polskiej, będącej na służbie państwa polskiego, którą powoła król polski wraz z rządem, a utrzymywać będzie państwo polskie. Podstawą armii polskiej muszą być legiony polskie.

„Ziemia Lubelska“ poświęca tej sprawie wstępny artykuł, w którym powiada, że „od dnia 5 listopada widzimy w tych dwóch państwach sprzymierzeńców Państwa Polskiego i jako takich wspierać je będziemy z całą ofiarnością i oddaniem, t a k d a l e k o , j a k n a t o p o z w a l a n a s z i n t e r e s n a r o d o w y“. Sędziwy prezes Akademii Krakowskiej, Stanisław dr. Tarnowski — wyraził się w artykule o aktach cesarskich, że: „Nam byłoby milej powstać o własnych siłach, sobie samym tylko odrodzenie niepodległej Polski zawdzięczać: ale w tem co się stało, niepodobna jest niewiedzieć szczęśliwego rządzenia Boskiego. Te dwa państwa nie robią tego z miłości dla Polski, ani w myśli nagrodzenia złego, jakie niegdyś zrobiły. One to robią dla własnego dobra, dla własnego bezpieczeństwa, dla własnego

interesu: ale to co robią dowodzi, że zmienił się ich interes i pojęcie tego interesu“.

Cóż na to wszystko Koalicja?

Jak dotąd — robi wrażenie, że nie orientuje się w doniosłości naszej sprawy dla bezpieczeństwa Europy, nade wszystko zaś nie rozumie korzyści, jaką Koalicja osiągnęła by z proklamowania niepodległej a Zjednoczonej Polski.

W każdym razie jest pewien postęp, gdyż przedstawiciele rządów i narodów Anglii, Francji i Włoch po raz pierwszy zabrali głos oficjalnie w znanych telegramach Brianda i Asquith'a do Stuermera — które w bardzo wprawdzie ogólnikowych i mętnych wyrazach, ale zaznaczają jednak, że powrotne stworzenie jedności (politycznej polskiej) stanie się w przyszłości jednak oporą równowagi politycznej w Eurpie“.

„Times“ grozi nam, że projekt restauracji Polski będzie pogrzebany, jeżeli polacy życzliwie przyjmą akt niemiecki. Cóż jednak wojskowy zarząd niemiecki przedsięwziął po proklamowaniu aktu?

Przypomnijmy sobie słowa Baselerowskich ogłoszeń:

„Powaga i niebezpieczeństwo tego ciężkiego okresu wojennego, oraz troska o wojska nasze, stojące w obliczu nieprzyjaciela, zmuszają nas do zatrzymania jeszcze tymczasowo w swych rękach administracji Waszego nowego państwa. Chętnie jednak przy Waszej pomocy nadawać mu chcemy już teraz powoli urządzenie państwowe, które zapewnią jego silne podstawy, jego rozbudowanie i jego bezpieczeństwo.

Tu przedewszystkiem wysuwa się na pierwszy plan armia polska.

Ażby armii polskiej zapewnić według prawa międzynarodowego uznanie jako „wojska państwa, prowadzącego wojnę“, musi ona, o ile chodzi o naczelną kierownictwo i stosunki prawne, być tymczasowo przyłączoną do wojska niemieckiego. Co do poborów żołdu, utrzymania, wyekwipowania, rent inwalidów, opieki nad rodzinami i osieroconymi, przysługują żołnierzowi ochotniczego wojska polskiego te same prawa i przywileje, co i żołnierzowi armii niemieckiej.

W dopełnianiu do tego, dowiadujemy się, że po proklamowaniu cesarza Wilhelma głównodowodzącym armiami państw centralnych, nastąpi mianowanie dyktatorów niemieckich we wszystkich miejscowościach Austro-Węgier i Polski.

Jednocześnie będzie ogłoszony stan oblężenia w całej Austrii. W ten sposób Austrija faktycznie stanie się prowincją niemiecką.

Jednocześnie „Nowa Reforma“ otrzymała od naczelnika wydziału wojskowego N. K. N. Sikorskiego telegram, donoszący o włączeniu legionów w całości do kadrów armii polskiej. Jednocześnie „Dziennik Krakowski“ donosi, że armia będzie się znajdowała pod komendą i kierownictwem Niemiec.

Z Berna zaś donoszą do „Russk. Wied.“, że kanclerz oświadczył w komisji budżetowej parlamentu, że o ile werbunek dobrowolny nie da zada-

wałających wyników, przeprowadzony będzie pobór przymusowy. Jeżeli armia polska zawiedzie pokładane w niej nadzieje, to cesarz Wilhelm zniesie „Królestwo Polskie“.

Z Kopenhagi donoszą: Ze względu, iż werbowanie „ochotników“ do armii niemieckiej dało mizerne wyniki, Niemcy inspirują w Polsce manifestacje patryotyczne i uroczystości.

W kołach politycznych w Warszawie nastrój przygnębiony. Wszystkie pragnienia Polaków pozostawiono bez odpowiedzi.

Podczas zjazdu włościan w Warszawie wybuchły antyniemieckie demonstracje, o czym świadczy przemówienie namiestnika do delegatów zjazdu: „Nie mogę ukryć niezadowolenia — oświadczył von Baseler — iż uroczystość została zakłóconą przez przykre incydenty“. Następnie namiestnik prosił o zachowanie ufności do Niemców.

Według wiadomości, otrzymanych z Warszawy, polskie partie realistów i narodowych demokratów, oraz większa część postępców postanowiły powstrzymać się od udziału w przyszłym rządzie i przeciwdziałać jak poborowi Polaków do wojska tak też i wstępowaniu na ochotnika. Dotychczas ochotników prawie niema. Włościanie stanowczo odmawiają wstępowania do wojska.

Widzimy więc, że administracja wojskowa Niemiec traktuje niepodległą Polskę, jako anektowaną prowincję. Tak się tam władze niemieckie wypowiedziały co do przyszłego Sejmu. Podyktowano mianowicie, że (artykuł 18) Generał-gubernator zwołuje Sejm i w miarę potrzeby odraża i zamyka posiedzenie Sejmu. Poza tem obrady na Sejmie będą prowadzone podług regulaminu, który powinien być zatwierdzony przez generał-gubernatora. Sejm wybiera swoje prezydium. Prezesa zatwierdza generał-gubernator.

O zachowaniu się względem niepodległej Polski Litwinów dochodzą nas wieści, że delegacja szwajcarska Komitetu Narodowego Litewskiego ogłosiła w pismach szwajcarskich — jak podaje „Dień“, deklarację, w której oświadcza, że przyłączenie do Polski chociażby najmniejszej części byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w tej liczbie guberni suwalskiej i łomżyńskiej (? — zapewne ma być grodzieńskiej), — byłoby poważnym pogwałceniem praw narodu litewskiego i zasady narodowości i ułatwiłoby wybuch nowych wojen.

Żydzisz zaś z namiętnych przeciwników „ęsi polskiej“ stali się zagorzałymi wielbicielami Orła Polskiego.

* * *

Tymczasem jednak dochodzi nas wiadomość o powstaniu w Warszawie Rady narodowej. „Czas“ krakowski z 18 b. m. ogłosił pod datą 17 b. m. korespondencję z Warszawy, która brzmi, jak następuje:

„W dniu wczorajszym nastąpiło porozumienie najważniejszych stronnictw politycznych w Warszawie co do utworzenia Rady Narodowej. Do porozumienia przystąpiło Stronnictwo narodowe, Grupa pracy naro-

dowej, Liga państwowości polskiej, Klub państwówców polskich, Demokratyczna partya postępową i stronnictwa zgrupowane w Centralnym Komitecie Narodowym (a więc P. P. S., Narodowy związek robotniczy i t. p.) Spodziewane jest także przystąpienie realistów. Poza tem zgrupowaniem pozostaną: Demokracja narodowa i Socyal-demokracja Polski i Litwy. Rada Narodowa ma się składać z 81 członków, — z których 41 przypadnie na reprezentantów Warszawy, a 40 na resztę Królestwa Polskiego, i to zarówno na okupację niemiecką, jak austriacko-węgierską. Na Centralny Kom. Nar. ma przypaść miejsc 13 wśród przedstawicieli Warszawy“.

Wróćmy teraz do korespondencji „Czasu“, w której znajdujemy w dalszym ciągu następujące szczegóły:

„Uznając, że zachodzi potrzeba szybkiego działania, Rada Narodowa postanowiła się już częściowo ukonstytuować, pomimo, że 40 delegatów, mających reprezentować prowincję, nie zostało jeszcze wybranych.

„Na razie więc tylko delegaci warszawscy w liczbie 41 wybrali wydział, do którego weszli panowie: Antoni Wieniawski, Ronikier, Chmielewski, Brudziński, Dzierzbicki, Grendyszyński, Thugutt, Śliwiński, Śmiarowski.

„Wydział ten rozpoczął pertraktacje z generałem-gubernatorem Beselerem i przedłożył mu 4 następujące postulaty:

- 1) Utworzenie Rady Stanu w porozumieniu ze stronnictwami, zgrupowanymi w Radzie Narodowej.
- 2) Przyznanie Radzie Stanu także inicjatywy prawodawczej, oraz utworzenie w jej łonie departamentu dla spraw wojskowych.
- 3) Powołanie regenta z dynastji katolickiej, zajmującej stanowisko przyjazne wobec polskiego narodu.
- 4) Utworzenie Rady Stanu na podstawie aktu polegającego na wspólnym porozumieniu obu mocarstw centralnych.

„Z chwilą gdy powstanie rząd polski, tworzony na powyższej podstawie, Rada Narodowa ma uznać swoje zadanie za skończone i wówczas nastąpi jej rozwiązanie“.

* * *

Od Sejmu Grodzieńskiego, od bitwy Maciejowickiej nie było w historii polskiej porozbiorowej chwili ważniejszej nad obecną, momentu dziejowego, wkładającego większe na wszystkich obywateli obowiązki odpowiedzialności, niż dni, które przeżywamy...

Pomimo wielkiego ożywienia, jakie panuje w prasie, w organizacjach politycznych wszystkich dzielnic, pomimo pozornego przejęcia się ważnością chwili, nie stoimy na wysokości zadania.

Jesteśmy męczennikami wypadków, nie jesteśmy ich bohaterami.

Za wiele cierpimy, za mało czynimy.

A tymczasem świat, Europa wymaga od nas bohaterstwa.

Słusznie, czy niesłusznie, ale tak jest.

Rosya, opuściwszy militarnie Królestwo Polskie, żąda, by ludność kraju pozostała wierną jej poddaństwu wówczas, gdy ludności tej proponują, by się uznała za niepodległą i korzystała ze wszystkich przywilejów wolności.

Anglia głosami swej najpoważniejszej prasy głosi groźby pogrzebania na zawsze, na długo przynajmniej sprawy Polskiej, jeżeli Polacy nie wytrwają w zdecydowanej „oryentacji“ Koalicyjnej, innymi słowy, jeżeli nie odrzucą faktu, którego odrzucenie nie leży w mocy narodu. Bo jakże można sobie wyobrazić społeczeństwo Królestwa, które odpowiada Niemcom: „My nie chcemy niepodległej Polski“. Można żądać od nich, by powiedzieli: — „My się nie zadawaliśmy tem, my nie przestaniemy żądać zjednoczenia, to nam nie wystarcza“, — ale niema na świecie narodu, któryby odpowiedział — „nie“ wówczas, gdy mu warunki życia stają się znośniejszymi.

Wymagają od wygłodzonego, nędznego, bezbronnego Królestwa, by przeciwstawiło się zbrojnemu przymusowi branki wojskowej, dokonywanej przez państwo, którego od dwóch lat nie może zwalczyć dziesięć mocarstw świata.

Wymagają, byśmy się entuzjazmowali wyrazem autonomia, kiedy nikt dotąd nie powiedział, co znaczy autonomia. Dla Polaków autonomia znaczy samodzielność gospodarczą i kulturalną, bez żadnej samodzielności politycznej, dla Rosyi autonomia jest połączeniem samorządu ziemskiego z miejskim, niczem więcej, dla Francji wyraz ten jest wogóle bez treści, a dla Anglii autonomia jest zupełną samodzielnością państwową, gdyż Anglia autonomicznymi krajami nazywa Australię, Kanadę i inne związkowe państwa angielskie, które posiadają całą państwowość swoją, oprócz wyłączności polityki zagranicznej. O każdym państwie niepodległym Anglicy mówią — „autonomic“.

Odbyna się gra w ciuciubabkę kosztem losów narodu Polskiego.

Nie pozwala się temu narodowi ani na chwilę liczyć się z rzeczywistością, stawia się tylko przed nim widmo zjednoczenia, które jednak dotąd nie przestało być widmem.

Możemy mieć o to grubą pretensję do świata, ale z tem my się niestety liczyć musimy, na to reagować jest naszym obowiązkiem, musimy odparować te ciosy zdecydowanie.

Choć przez sto lat nie pozwalano nam ani mówić, ani myśleć politycznie, bądźmy dalekowidzami.

Choć systematycznie deprawowano charakter polski, bądźmy wyrazem tężyzny.

Od dwóch lat wojny naród polski ani razu zgodnie i chóralnie nie wyraził swojej woli.

Wolę narodu wyszeptywano.

Dziś, skoro obydwie strony walczące, to jest reprezentanci całego świata nieomal wyrazili swe zdecydowanie w sposobie pojmovania rozwiązania sprawy Polskiej, jest rzeczą naturalną, niezbędną i najpil-

niejszą, by naród Polski sformułował ostatecznie stanowisko swoje i zadeklarował wyznanie swojej wiary.

Dalsze odkładanie aktu Polskiego, byłoby oportunizmem, dowodem braku woli, niezdecydowania, byłoby dowodem, że Europa wogóle niema z kim pertraktować.

Wśląd za aktem niemieckim, deklaracją rosyjską, deklaracją Anglii, Francji i Włoch w osobie Asquitha, Brianda i depeszy gabinetu włoskiego, winien zjawić się akt Polski.

Akt taki winien zawierać principia idei Polskiej, pod którymi każdy polak podpisać się nie tylko może ale winien. Podpisany zaś ma być przez tych wszystkich, którzy podpisać go będą mieli możność fizyczną.

Organizacją aktu Polskiego winien się zająć Komitet ad hoc wyłoniony z Kół Polskich parlamentarnych — z Komitetu Narodowego, z Centralnego Komitetu Obywatelskiego, w porozumieniu z emigracją Zachodnio-Europejską, z Amerykańskimi Polakami, z Galicyą, Poznańskiem i Królestwem.

Oto principia aktu:

1) Naród Polski dąży do zjednoczenia wszystkich ziem polskich i krajów organicznie z bytem narodu związanych.

2) Naród Polski żąda samodzielności politycznej zjednoczonej Polski, protestując przeciwko wszelkim zamachom na suwerenność narodu.

3) Utworzoną przez mocarstwa Centralne Polskę z czwartej części ziem polskich z pozostawieniem wszystkich zaborów uważa naród Polski za zjawisko przejściowe korzystniejsze od dotychczasowego podziału Królestwa na okupacje niemiecką i austriacką, lecz zupełnie niezadawalniające, uznaje jednak, że na-

turalną jest zgoda ludności Królestwa na organizowanie lepszych warunków bytu kraju, zadowolenie z uznania przez dwa mocarstwa zaborcze zasady niepodległości Polski.

4) Naród Polski uważa chęć poboru wojsk polskich do wojny z Koalicją za gwałt ze strony Niemiec i Austrii, protestuje przeciwko takiemu odbieraniu utworzonej niepodległej Polsce prawa zachowania dotychczasowej neutralności, którą w interesie jej leży zachować, zrzucając jednocześnie z siebie odpowiedzialność za mogące z przymusowego poboru wyniknąć konsekwencje, gdyż przeciwdziałać temu nie jest w jego mocy...

5) Naród Polski przyjmuje do wiadomości Rosyjski plan zjednoczenia ziem Polskich z dopełnieniem i poprawką deklaracji Angielsko-Francuskiej, wyraźnie zaznaczającej, że „powrotne stworzenie jednostki (politycznej polskiej) stanie się w przyszłości jedną z opór równowagi politycznej w Europie i uważa go łącznie z aktem Niemiec i Austrii jako uroczyste przyrzeczenie Europy rozwiązania na kongresie kwestyi narodu Polskiego, zgodnie z jego ideałem i wyżej zaznaczonym interesem równowagi europejskiej.

6) Naród Polski zaznacza, że podzielony w tej chwili na sześć dzielnic: zabór pruski, austriacki, rosyjski, okupację niemiecką, austriacką i emigrację amerykańską, w większości pod gniotem stanu wojennego, nie może być należycie reprezentowany i że nie bierze odpowiedzialności za czyny, jakie w jednej z dzielnic wyniknąć by mogły za przyczyną jakiejś sfery działaczy.

GUSTAW OLECHOWSKI.

DLA PRZYSZŁOŚCI.



icznego nie oszczędziła nam polakom ta straszna wojna. Ponosimy ofiary na polu bitew, gdzie giną we wrogich sobie obozach nasi bracia w setkach tysięcy;— aparat wojenny pustoszy nam naszą ziemię, z której nie możemy zebrać tyle, by wyżywić pozostałą w domu ludność cywilną; zniszczono

nam zupełnie przemysł, który dawał byt milionom; wreszcie zmienne losów koleje wypędziły znaczną część ludności naszej z rodzinnych strzech na tułaczkę; — tuła się ona dziś już w milionowej masie po ogromnych obszarach Rosji, Austrii i Niemiec w charakterze „wojenno plennych“, „fluechtlingów“, i „bieżeńców“

trawiona najstraszniejszym i najbardziej niszczącym duszę uczuciem: tęsknoty za Ojczyzną.

Skala cierpień Polski nigdy nie dochodziła granic obecnych... więcej cierpieć już chyba nie można!

Obliczyć strat dalszych, jakie poniesiemy do końca wojny nie sposób, co nas jeszcze czeka w przyszłości, tego nam dziś nikt nie powie.

Jedno jest tylko pewnem: Polska nie zginie, ale owszem po wojnie mamy ją własnymi rękami odbudować i ożywić do nowej przyszłości pełnej chwały i nieśmiertelności.

Do tej pracy przyszelej, której nam już huragany bitew mącić nie będą, przygotować musimy siły, i ratować co się da od utraty w dniu dzisiejszym. Pokolenie dzisiejsze, które wojnę robi i przeżywa ją całym jestestwem wieku dojrzałego nie wiele sił będzie miało po wojnie do pracy twórczej. Straszne przeżycia uczynią z niego pokolenie inwalidów, tylko nie-liczne może jednostki zachowają zdrowe nerwy i te będą łącznikiem w pracy między „staremi a nowemi laty“. Przyszłość nasza zależy od młodzieży.

Jaką ta młodzież będzie po wojnie—trudno określić.

Historia wychowania nie zna przykładów, by kiedykolwiek współczynnikiem wychowawczym były takie zjawiska, jakie niesie z sobą wojna obecna.

Wszakżeś, o ile chodzi o wpływy materialne wojna ta uderza w młodociany wiek takimi wstrząśnieniami, o jakich dawniej pojęcia nie miano.

Młodzież ta widzi obecnie miliony ludzi zorganizowanych i pędzonych na śmierć przez jedną jedyną myśl, której młody umysł pojąć nie może; widzi pobożowiska tak straszne swym widokiem, iż wyobrażenia widoków takich utworzyć nie jest wstanie — widzi wyzyskanie w tej wojnie wszelkich zdobyczy wiedzy ludzkiej tylko i jedynie w celu... zniszczenia. A moralne wpływy wojny...

Młodzież widzi, że wojna ta znosi najważniejsze prawa moralności ludzkiej: można ludzi truć gazami trującymi, można strzelać pociskami wybuchowymi, można mordować bezbronnych mieszkańców miast nocami z powietrza, niczem jest wolność osobista jednostki, słowem wolno dziś popełniać najstraszniejsze zbrodnie, albowiem zbrodnie te służą rzekomo ojczyźnie na chwałę, a ziomkom na pożytek. Młodzież patrzy na to i rozmyśla, przeżywa w duszy te wszystkie momenty daleko goręcej niż dorośli. Młodzież się z tej wojny uczy. Na znacznym terenie ojczyzny naszej wojna jest jej jedynym nauczycielem. Nie mamy bowiem szkół i nauczycieli czynnych. Wojna nam wydarła z ręki także najdroższy skarb t. j. serce młodzieży, która zostawiona sobie samej jest dla przyszłości zagadką. A jednak ta młodzież ma nam przyszłość zbudować.

Czego się ona z wojny tej nauczy i jakie zasady moralne z niej wyniesie — nie jest dla przyszłości obojętne.

Nasza młodzież musi być dobrą. Zasady ludzkiej moralności, które wynikają z prawdziwej kultury chrześcijańskiej Europy i które przyświecały naszym sławnym ojcom i dziadom muszą wniknąć w jej serca, mimo strasznie deprawujących przykładów jakie wojna jej na drodze życia stawia.

Mobilizujemy wszystkie siły obecne, aby straszego wroga pokonać — musimy również zająć się mobilizacją sił przyszłych, które nam ojczyznę mają odrodzić. Słowem musimy się zająć wychowaniem młodzieży.

Wychowaniem kierują następujące czynniki: dom czyli rodzina, szkoła, kościół i organizacje państwowe. Ponieważ jako naród nie mamy dotychczas państwa własnego, przeto organizacje państwowe zastępują u nas organizacje społeczne.

Jeżeli czynniki te spełnią obecnie swój obowiązek należycie, możemy być spokojni o naszą przyszłość.

Przechodząc do omówienia poszczególnych, wymienionych tu czynników wychowawczych, zaznaczyć należy, że u nas w Polsce od dawna już, bo od roku 1773, t. j. od ustanowienia Komisji Edukacyjnej istnieje bardzo szerokie zrozumienie ważności kwe-

sty wychowania i społeczeństwo ujawniało i ujawnia wiele zalet, które w najnormalniejszych warunkach naszego życia narodowego umożliwiały jako tako organizację wychowania młodzieży.

I dziś w czasie strasznej zawieruchy wojennej potrafimy pamiętać o naszych w tym kierunku obowiązkach. Świadczą o tem fakty z bieżącego życia.

Nie mniej przeto zachodzi potrzeba, by sprawy wychowania były jak najczęściej omawiane publicznie, by w ten sposób ogół mógł się orientować w zasadniczych postulatach wychowawczych i wszelkie poczynania skierowywał na właściwą drogę.

Jako kilkunasto-letni pracownik na niwie szkolnictwa pozwalam sobie zdobyte przezemnie doświadczenie i uwagi przedstawić w szkicu niniejszym.

WYCHOWANIE DOMOWE.

Wobec anormalnych warunków obecnego życia polskiego i wobec braku normalnie rozwiniętego szkolnictwa wychowanie domowe odgrywać musi największą rolę. Dom polski ma za sobą chlubną tradycję. Matka-Polka jako wychowawczyni dzieci własnych doczekała się w literaturze naszej niejednego pomnika. I dziś śmiemy twierdzić, że Matka-Polka robi, co do niej należy.

Kiedy mężowie i synowie przelewają krew na polu bitew Matka-Polka musi wyteńczyć wszystkie siły fizyczne i moralne, ażeby utrzymać ognisko domowe i stworzyć pozostałym w niem dzieciom atmosferę możliwą do wzrostu i rozwoju duchowego.

Najważniejszym warunkiem spełnienia zadań jest dla matek naszych przedewszystkiem uświadomienie sobie ważności chwili przeżywanej.

Wielka chwila — niesie wielkie obowiązki, wiara w lepszą przyszłość jest nam najskuteczniejszą ostoją w wytrwałości pracy.

Jako drugi postulat, który skierować musimy pod adresem naszych matek jest, by rozumiały istotę i wartość każdego dziecka polskiego.

Pamiętać trzeba, że dziecko od najwcześniejszych chwil jego życia jest pełnym człowiekiem.

Najważniejszym błędem pedagogii dotychczasowej było niezrozumienie tego właśnie postulatu.

Dziecko do niedawna traktowane było w całym świecie jako coś niżej stojącego od dorosłego człowieka, nawet jako rzecz, która istnieje, o którą troszczyć się trzeba chwilę nawet tak, jak o piękną suknię, ale nie uwzględniano, że dziecko ma taką samą duszę, jak dorosły, że tak samo patrzy na świat i ma takie same prawa do życia i takie same popędy i akty woli jak człowiek dorosły.

Dopiero w ostatnich, bodaj latach literatura fachowa, psychologia i filozofia wyświełliły pojęcie istoty dziecka i dzięki temu nawet, stulecie obecne nazwano stuleciem dziecka.

Niech więc matki nasze o tem pamiętają i odpowiednio ułożą swój stosunek do dzieci — niech o tem pamiętają także wszyscy, którzy w domu polskim obecnie pozostali.

Dziecko silniej od dorosłego reaguje na wszystko co spotyka dokoła siebie.

Z pewnością odczuwa ono silniej wrażenia z obecnej wojny. Myśli o ojcu, bracie, którzy poszli na wojnę i zastanawia się nieraz nad pytaniem, dlaczego zabrano mu tych najbliższych i tak bardzo przez niego ukochanych. Matka powinna o tem z dzieckiem mówić jak z dorosłym i tłumaczyć mu pojęcie ojczyzny jako wspólnego dobra, które okupić musimy największymi ofiarami. Ojczyzna wymaga dziś ofiar z krwi naszej, dlatego, by po wojnie nam wszystkim, którzy zostaniemy, a więc i dziecku było lepiej.

Dziecko widziało przedtem pracę ojca i wszystkich dorosłych, których wojna zabrała i powinno z pomocą matki pojąć, że ono w przyszłości musi zastąpić tych, którzy nie wrócą. Wcześniej więc zrozumieć musi dziecko polskie, że nie wolno mu tracić czasu, ale że musi uczyć się wiele i zaprawiać do służby ojczyźnie. Na każdym kroku ma dziecko sposobność być patriotą czynnym. Tyle nędzy dokoła tyle dzieci bezdomnych, głodnych, obdartych, którym pomóc trzeba.

Jakże łatwo wywołać w niem szlachetne postanowienie, odmówienia sobie pewnych przyjemności życiowych, dla drugich mniej szczęśliwych, potrzebujących.

Dzieciom starszym łatwiej dziś, niż kiedy indziej wytłumaczyć, że czyn niesprawiedliwy pociąga za sobą straszne w przyszłości nieszczęścia, i że przeto w życiu należy niesprawiedliwości unikać.

Wojna, mimo wszystko przedstawia dla wychowania pewne strony dodatnie. Dziecko zrozumie dziś łatwo, że prowadzenie dobrej sprawy, zależy od organizacji.

Armie milionowe to widome znaki wartości organizacji, zwycięży w wojnie ten, kto lepiej zorganizuje swoje siły, zwycięży dobra sprawa tylko wtedy, gdy ci, co ją reprezentują jak najsilniej zorganizowani staną twardo przy wspólnym sztandarze i solidarnie wysilą wszystkie swe siły dla pokonania wroga, przedstawiciela złej sprawy.

Naród nasz dlatego tak słaby, że rozdzielony na dwa obozy, które wbrew własnej woli walczyć muszą ze sobą.

Dziecko powinno dziś wiedzieć gdzie są Polacy, dlatego tacy nieszczęśliwi, bo nie mają własnej ojczyzny; z chwilą jednak gdy ją zdobędą, złączą się razem, chwycą się za dłonie i zrozumieawszy wartość dobrej organizacji, będą w przyszłości silni miłością ojczyzny, która ich tak dużo ofiar kosztowała.

Teraz czas najlepszy dla uświadomienia dziecku polskiemu, gdzie się Polacy znajdują, jak wielka ich ojczyzna i jak nie zawsze ten, kto nosi inny krój i kolor munduru, jest naszym wrogiem.

Wojna uczy dzieci, że między narodami powinna być miłość i poszanowanie, a zarazem że jeden naród drugiemu musi zapominać dawne urazy, tak jak jeden człowiek drugiemu, skoro jest z obu stron rozumienie dawnego błędu i postanowienie, że na przyszłość błędów tych będą obie strony unikać.

Już w młodym wieku zrozumieć dziś musimy w obliczu wielkiej wojny, że przyszłość ludzkości musi być oparta na prawdziwej, wielkiej, zasadzie sprawiedliwości i etyki Chrystusowej. Uczucia religijne, tak ważne w wychowaniu dziś łatwiej u dziecka rozwijać, niż kiedy indziej.

Dziecko widzi i słyszy, że jedyną dziś ostoją dla człowieka jest Bóg. Tyle milionów żołnierzy umiera na polu bitwy w okrzyku ostatnim polecając się Bogu, ranni w szpitalach modlą się gorąco do Boga, prosząc by im skrócił cierpienia, w kościołach wiele kobiet w żałobie po stracie mężów i synów poleca swe cierpienia litościwemu Stwórcy.

Wodzowie wojsk rozpoczynają bitwę modlitwą do Boga o powodzenie, naród cały modli się o lepszą przyszłość, czyż więc dziecko, jako najbardziej przez Boga kochane, nie powinno codziennie zanosić do niego modłów o lepszą przyszłość Ojczyzny, o powrót ojca czy brata i o śmierć szczęśliwą tylu milionów, ginących na polu walki.

Matka-Polka sama religijna, łatwiej wychowa dzieci na wierzących gorąco przyszłych obywateli Polski, która ma być państwem prawa, miłości i ludzkości.

Jak widzimy, dom rozporządza dziś środkami niesłychanie wpływowymi do wychowania dzieci naszych na pokolenie lepsze i rozumiejące jego przyszłe zadania.

JAN KORNECKI.

RUCH WYCHODZĄCY.

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH.



Kiedy olbrzymi strumień wygnanców polskich rozdzielił się na fale i kiedy fale te wreszcie dotarły do poszczególnych gubernii, przeznaczonych na czasowe ich miejsce pobytu, zdawało się, że samo wprowadzenie ładu w tę chaotyczną masę i pomożenie wygnanom do przeżycia tej ciemnej nocy, jaką w ich pamięci pozostanie na zawsze ten okres wysiedleńczy, przedstawia poprostu ogrom pracy nad siłą, pracy której tylko część będzie można wykonać.

A jednak wykonano ją w całości i obok niej spełniono szereg innych zadań, które w miarę zagłębiania się w istotę rzeczy, rosły jedne po drugich przed organizatorami i pracownikami na polu wysiedleńczym.

Po przejściu pierwszego okresu początkowego tej pracy, wielką pomocą były obfite zasiłki pieniężne od władz centralnych, udzielane na rozmaite cele. Samo zaś wyliczenie nazw funduszy i rozmaitych rodzajów zasiłków, rozdawanych z tego źródła przez Komitety, daje do pewnego stopnia pojęcie o rozmiarach i różnorodności wspomnianej pracy.

A więc dawniej, prócz zasiłków żywnościowych i mieszkaniowych, istniały jeszcze: furazowe, mające na celu ochronę przed zatrąceniem inwentarza, szczególnie koni, przybyłych z kraju z wysiedleńcami, dalej zapomogi doraźne, fundusze: pomocy prawnej, pożyczkowy, szpitalny, odzieżowy, pomocy religijnej, kulturalno-oświatowy i warsztatowy.

Nastąpił jednak okres oszczędności. Przedewszystkiem zmniejszono zasiłki żywnościowo-mieszkaniowe, tak że np. wysiedleńcy, pracujący na roli, mogą otrzymywać co najwyżej 6 rubli miesięcznie i 1 rb. 20 k. na mieszkanie od osoby i to tylko dla dzieci do lat 14, dla starców od lat 60 i dla niezdolnych do pracy. Z innych funduszy skreślono zupełnie: furazowy, doraźny, prawnej pomocy i pożyczkowy, a prawie zupełnie warsztatowy, pozostałe zaś cztery doznały obciążenia o jakie 70 do 80 procent.

Szeroka publiczność o tych obciążeniach dowiedziała się wczesną jesienią tego roku z gorących apelów i odezw, aby ofiarnością swą ratowała szkoły dla wysiedleńców, zagrożone w swoim bycie przez brak zasobów.

Szczegół ten wprowadza nas w sam temat dłuższego artykułu, odsłania fakt, że polskie opie-

kuńcze organizacje w życiu wysiedleńców, położyły nacisk najgłówniejszy na ratowanie najmłodszego pokolenia, na działalność wychowawczo-oświatową wśród dziatwy wysiedleńczej.

Było to więc i jest istotnie „światłem w ciemnościach“, światłem, które ma to do siebie, że zapalone w duszach, nie zgaśnie i po powrocie do kraju stanowić będzie dla młodego pokolenia prawdziwy majątek, niejako fundusz zakładowy w pracy około odbudowywania ruin...

Ale tej ocenie można zarzucić, że może tak się sprawa przedstawia nam tylko, że może my patrzymy w lunetę od powiększającej strony, a od strony drugiej, od wysiedleńców rzecz wygląda inaczej?

Owóż na to pytanie z góry i bez wahania można odpowiedzieć przecząco. Raczej to my odwróciłiśmy szkła do oczu tak, że stały się pomniejszające, natomiast wśród wysiedleńców, wśród rodziców, a nawet i u samych dzieci zagadnienie to olbrzymie niesłychanie.

Twierdzenie to nie potrzebuje udowodnienia po miastach, a przedewszystkiem w Kijowie. Stale bowiem, wedle przyjętej metody, bierzemy okolice najbliższe, Kijów i gubernię Kijowską za punkt wyjścia i za podstawę główną do spostrzeżeń i wniosków. Ciekawsze jednak jest zajrzeć jak się rzecz ma na prowincyi, a zwłaszcza wśród wiejskiego ludu polskiego, który na wysiedleniu po wsiach się także rozmieścił.

Owoż tu zrozumienie potrzeby i pragnienie oświaty jest poprostu zdumiewające, niespodziewane. Wysiedleńcy, jak wszyscy chłopcy, skłonni do krytykowania i nieufnego traktowania tego, co robi inteligencja, jeżeli której części działalności komitetów nie kwestyonują, to na polu wychowawczo oświatowym. I jeżeli jaką uwagę mają tu do zrobienia, to raczej, że za mało, a nie zawiele, się robi i wydaje na ten cel pieniędzy.

W podróży po guberni kijowskiej zdarza się często, że jeśli się np. pochwali synka wysiedleńca i jego inteligentną minę, otrzymuje się melancholijną odpowiedź:

— Cóż! proszę pana, kiedy dziecko się maruje! U nas szkoły, ani żadnej ochronki niema...

Gdzieindziej matki, godząc się w rozmowie na twarde byt wysiedleńczy dodają:

— Gdybyż tak chociaż jaka szkoła dla chłopczyków, to by już człowiekowi lżej na duszy było. Bo to teraz tylko baki zbija i nic się nie uczy. Dobrze przynajmniej, że mamy blisko doskonałą ochronkę dla dziewcząt...

A trzeba dodać, że to „blisko“ wynosi nieraz 2, 3, 4, albo nawet 6 wiorst, które dzieci, dochodzące do ochronki, codziennie tam i napowrót zrobić muszą!.. I jeszcze to miejmy na uwadze, że tę dbałość o naukę dzieci okazują ludzie, którzy przeważnie są analfabetami sami. Bo analfabetyzm jest przemożny wśród wysiedleńców, zwłaszcza wśród Łomżyniaków, którzy stanowią w guberni Kijowskiej ich większość. Z dorosłych Łomżyniaków umie czytać i pisać chyba nie więcej niż 6 do 8 procent, a nieco więcej umie tylko czytać. Pomiędzy wysiedleńcami z Podlasia i z Lubelszczyzny jest lepiej, ale zawsze jeszcze daleko od tego, aby mogło być nazwane chociaż względnie dobrem. Tymczasem zaś właśnie najbardziej Łomżyniaci w rozmowach nastają na potrzebę szkółek i ochronek, a właśnie łomżyńskie dzieci stanowią kontyngens najpilniejszych, najgorliwszych i najpojętniejszych dzieci.

Dla chłopca wysiedleńca nauka to droga do czytelnictwa, a czytelnictwo to prawdziwa jego nadzieja. Wystarczy w biurze, do którego przychodzi wysiedleńcy, postawić na miejscu widocznym stos pisemek ludowych, aby każdy z „interesantów“ zbliżył się do niego z roziskrzonymi oczami i pytaniem:

— Czy można sobie wziąć jedną gazetkę?

A już szczytem ich marzenia stanowi kalendarz, bez którego — wedle ich wyrażania się — „człowiek nieprzymierzając jak to zwierzątko Boże“... A jeden z umiejących czytać Łomżyniaków, kiedy mu dobra dziedziczka darowała kalendarz z białym orłem na okładce, i zdołała wreszcie wytłumaczyć, że to podarunek, a nie pożyczka, zawołał:

— Jakto, to dla mnie? Oto gościniec dopiero! Wie pani, że to więcej, niżby mi pani darowała parę spodni!

Z tą miłością książki w duszy, wysiedleńcy interesują się ochronkami, gdzie ich dzieci uczą się czytania i pisania, a interesują się nie tylko abstrakcyjnie, ale bezpośrednio czynnie. Odwiedzają je, przysłuchują się nauce, a mężczyźni, o ile są „kształceni“ przeglądają podręczniki i robią głośno uwagi:

— To dobra książka, to jeszcze lepsza... O! a to „Promyk“! Jak to dobrze, że państwo nasze dzieci na „Promyku“ uczą. Żeby jak najwięcej „Promyka“, tylko samego „Promyka“!

Matki pojmują rzecz znów na swój sposób. Oto np. jedna przyprowadza dziewczynkę do zapisu i zaklina nauczycielkę:

— Niechże jej pani jak najwięcej o świętościach mówi.

A potem, kiedy przyjdzie dowiedzieć się o postępach dziecka, pyta:

— A czy też ją pani czasem bije?

Nauczycielka naturalnie zapewnia, że wedle nowych metod nauka odbywa się bez bicia.

— To źle — odpowiada zaszępiła matka — to bardzo źle... Bo i cóż warta nauka bez karania!

Te naiwne, prawie śmieszne przykłady, właśnie dlatego, że naiwne, dają poznać, jak wysiedleńcy na

swój sposób pojmują ogrom znaczenia pracy wychowawczo oświatowej około ich dzieci...

Ta praca — ciągle mówią z wyłączeniem samego Kijowa — odbywa się w instytucjach trzech typów: „Szkoła legalizowana“, „Przytulisko“ i „Ochronka“.

Szkoła legalizowana, to znaczy zupełnie prawidłowa szkoła polska, była w guberni Kijowskiej dotąd jedna, mianowicie wzorowo prowadzona szkoła P.T.P. czyli Polskiego Towarzystwa Pomocy ofiarom wojny w Humaniu. Przytuliska, czyli ochronki z internatami dla dzieci słabych, i Ochronki ściśle tak nazwane, a służące dzieciom przychodnim, są rozsiane wszędzie, a założone i prowadzone są po wsiach prawie wyłącznie przez C. K. O., czyli Centralny Komitet Obywatelski, a po miastach i przez C. K. O. i przez P. T. P. Należących do C. K. O. „przytulisk“, które, nawiasem powiedziawszy przyjmują też dzieci dochodzące, jest w gubernii 17, a „Ochronek“ 38, czyli razem 55 instytucji, które stawiając sobie za zadanie wychowanie dziecka, dają mu zarazem początkową naukę czytania i pisania po polsku i po rusku, arytmetyki, religii, śpiewu, gimnastyki, robót ręcznych i t. d.

Personalu nauczycielskiego gotowego naturalnie w takiej liczbie nie było, więc przygotowano go niejako „na poczekaniu“ na kursach pedagogicznych urządzonych w Kijowie, tak że instytucje te w ogromnej większości mają niewiele co więcej, albo wcale nie więcej nad pół roku. A jednak wyniki są wprost zdumiewające. Dzieciaki, które przysły prawie bez wyjątku nic nie umiejąc, piszą obecnie bardzo dobrze, niektóre wprost ślicznie, a wiele z nich już przed ukończeniem piątego miesiąca przeszły do oddziału wyższego. Innymi słowami: instytucje komitetowe dla wysiedleńców mogą się pochwalić za pięć miesięcy wynikami lepszymi, niż za cały rok np. szkoły ludowe w Galicyi, gdzie przecież szkolnictwo początkowe stało niezaprzeczenie bardzo wysoko.

Z uznaniem — nie! — z radością podnieść się musi, że od ogólnej tej dodatniej reguły, nie wyłączają się nieliczne ochronki, gdzie wobec braku fachowych lub względnie fachowych sił nauczycielskich, naukę objęły miejscowe siły amatorskie i gdzie dobra wola i serce musiały zastąpić metodę.

Wielką wagę we wszystkich tych zakładach położono na dział robót ręcznych. Przy dzieciach całkiem małych, takich, które się jeszcze uczyć nie mogą — choć zdarzają się umiejące czytać nawet 5-letnie maleństwa — robotki te mają charakter froeblovskich zatrudnień. Później stają się coraz pożyteczniejsze, przyczem w wielu ochronkach chłopcy zajmują się temi samymi robotami, jak dziewczęta, zwłaszcza szyciem, albo też mają osobne n. p. wyplatanie słomianek. Prócz szycia dziewczęta doprowadzają do artyzmu w cerowaniu, wyglądającym nieraz jak wzorzysta, różnobarwna tkanina, w wyrobieniu koronek, przygotowywaniu serdaczków włóczkowych i t. p.

Ale są też ochronki o wyraźnie rzemieślniczym charakterze, jak należąca do P. T. P. Ochronka z war-

sztatem szewskim w Białej Cerkwi, albo internat ogrodnicy dla chłopców w Stawiszczach, stworzony przez C. K. O.

Dość liczne szwalnie dla dorosłych, lub dorastających dziewcząt, ściśle wzięwszy do kategorii oświatowej zaliczone być nie mogą.

Nakreśliwszy w ten sposób tło, w Kijowszczyźnie przeprowadzone zostało wedle ogólnych norm, tak, że daje wyobrażenie, czym jest „światło w ciemności“ takie co w innych guberniach, gdzie się wysiedleńcy znajdują, będzie można przystąpić do przedstawienia już dokładniejszego, co się na polu również oświatowem w Kijowszczyźnie zrobiło.

Na razie, pozwalamy sobie znowu na parę tymczasowych uogólnień, zbudowanych z materiału w dzisiejszym artykule, mianowicie:

1) że praca oświatowa jest tak poważnym, tak wielkim „plusem“ w działalności Komitetów opiekujących się wysiedleńcami, iż dlaniej możnaby im darować nie jedną ustępkę, lub uchybienie;

2) że chłop polski na wysiedleniu ujawnił zdumiewające zrozumienie potrzeb oświatowych;

3) że z doświadczeń, zebranych na wysiedleniu, wytworzy się może w kraju nowy typ udoskonalonej szkoły ludowej.

WOJCIECH DĄBROWSKI.

W SKIERNIEWICACH.



zęść naszej „siódemki“ wyjeżdżała nocnym pociągiem do Skierniewic.

Zebrani na dworcu Wiedeńskim, nie wiedzieliśmy, jak długo w drodze zabawimy i co nas tam czekać może, niemniej wszakże wielką część przyjemności owych wycieczek

ku pozycjom czołowym leżała właśnie w ich nigdy bliżej nie określonym celu i w najbliższej godzinie, pełnej niespodzianek.

Zajęliśmy we dwunastu część starego wagonu trzeciej klasy, wchodzącego w skład pociągu sanitarnego, i czekali wyruszenia. Lecz nie nastąpiło to tak zaraz. Upłynęła jedna i druga godzina. Z ciemnej listopadowej nocy wynurzały się ciężko ładowne pociągi Czerwonego Krzyża, — wioząc najsmutniejszych w świecie podróżnych. Szły jeden za drugim. — Na długi peron sływały z otwartych białych wagonów płócienne nosze, pełne ostatniej ludzkiej niedoli.

Przybywali przeważnie ciężko ranni z ostatnich walk pod Łowiczem. Nie było słycać wszakże jęków ani narzekań. Na poszarpane, podarte, potłuczone ciała zesła apatya tak głęboka i szczerą, że ranni wydawali się już dawno nie żywi. Młode ramiona pieczołowicie ustawiały w salach dworca nosze, jedne tuż obok drugich, w długie szeregi. Wtedy nad leżącymi pochylał się biały fartuch sanitaryuszki, uważne dłonie odchylały szynel, poiły białe wargi...

Jedni leżeli z przymkniętymi oczami, doskonale już chyba na świat zewnętrzny obojętni. Tych nie poruszyło ni słowo, ni rozkaz, ni gorąca herbata. Inni otwierali zapadłe, sinawe powieki i patrzyli na ludzi, na jaskrawe, białe światła lamp. Inni przekreślali głowy i starali się coś powiedzieć, objaśnić, czy z czymś niesłychanie ważnym się zwierzyć. — Tych jednak była znaczna mniejszość. Żołnierzy utulało

zgnębienie i bezustanny duchowy spazm bólu, który trzymał i trzymał...

I wciąż niesiono nowych. Zebrany personel sanitarny i nieliczni „goście“ uczuli na sercach niewymowny ciężar. Nie było końca korowodom. Nadchodził drugi pociąg, brakowało miejsca. Stawiano więc już na peronie owe długie szeregi noszy, które mimo natychmiastowego rozwoju nie chciały topnieć.

Wynoszono z ostrożnym pośpiechem z wagonów. Stawiano nosze z rannym obok pustych, dla strasznych a niezbędnych przenosin. — Odkrywano szynel, służący za kołdrę, usuwano z pod głowy buty i zawiniątko z czarnym chlebem, zastępujące poduszkę. O, Boże! W brudnej, splamionej bieliźnie, umazanej szczerze stęglą krwią, za każdym razem prezentowały się oczom strasznie pokaleczone ciała. Bezradne, zbiedzone, ostatecznie niedołączne. Po zabranej do kolana nodze pozostało puste, okropne miejsce. Czy możliwe?... Gdzież jest ta twoja noga?... A może ją podsunął pod siebie, schował? A może żarty stroisz sobie? A może skurczyła się i ukryła w wielkiej rozdętej baldzie z bandaży o kształcie potwornej gruszki, — może należałoby poszukać nogi w zwitkach brudnej marli, przez którą, jak przez filtr, przecieka kroplami gęsta, zielonawa, ropna krew? Zastłonili ci straszne ucięcie żołnierzu! I pewnie, trzeba przyduścić płynącą krew!

Zbliżano się do tak i ciężej rannych i w pochyleniu, ostrożniutko, aby nie poruszyć, wsuwano pod nich dziesiątki płaskich dłoni. Potym na znak podnoszono razem do góry, tyle, aby usunąć stare nosze a podać nowe. Chwilami mocno krzyknął żołnierz, chwilami jęknął z głębi piersi. Czasami nie rzekł nic, bezsilnie przewrócił jeno oczami. Podtrzymywano głowę, bo zwisała. Otulano ciepłymi, flanelowymi kołdrami i wieziono w miasto.

Dobrze po północy pociąg nasz ruszył po nowe partye. Rozlokowaliśmy się wygodnie. Resztę miejsca w krótkim wagonie zajęło kilkanaście sióstr miłosier-

dzia, przeważnie starszych, w okularach i z torebkami przez plecy, jadących na front prosto z Piotrogradu. Migaly przed oczyma ich skórzane, brązowe, męskie kurtki i białe jak śnieg „wuale”. Uszy chwytaly szybkie rozmowy i lekki w nich niepokój. Nareszcie nadeszła ta chwila! Jadę na front! Jakto tam będzie, czy bardzo strasznie pod kulami. Żadna z sióstr nie myślała o śnie, przeciwnie, usposobione były do zwierzeń. Taka chwila! Gdyby nie dudnienie pociągu, napewno słyszałyby już huk armat.

— Ach, jakże pragnęłam znaleźć się na pożyczkach czołowych! — entuzjazmowała się jedna z sióstr, młoda i wysmukła, z ceglastymi rumieńcami na policzkach. — Panowie nie uwierzą! Ciągłe myślałam o tem. I nareszcie! I dziś przyjeżdżam rano do Warszawy, spieszę na Mokotow, gdzie musiałam się zgłosić do starszej siostry, — a tu wszystkie siostry, jakie tam zastałam, już były na pożyczkach!... Ta w Łodzi, ta pod Sochaczewem, ta w Skierniewicach. Żal mi i zazdrość. „Siostra prosto ze stolicy”, mówią do mnie, „Siostra zobaczy, jak to u nas pracują!” Trzeba będzie białe rączki krwią zabrudzić, szyk i elegancję porzucić, — mówią inne, „roboty huk!” Zawstydziałam się. „Kiedy można jechać?” — pytam się. „Choćby zaraz”, odpowiadają, „ręką brakuje”. Zaraz więc, dziś jeszcze zgodziłam się...

— A tak, to ciekawe — rzekł któryś z nas.

— Bardzo!... Ale też i straszne. A panowie też tam jadą?

— Jesteśmy sanitaryuszami.

— Polacy? z herbem Warszawy...

Starsze siostry poczęły narzekać na dym, wydobywający się z żelaznego piecyka i na brak miejsca dla ustawienia koszu i waliz; posłano po posługacza. Nad ranem przybyliśmy pod Skierniewice, przystając często i na długo. Wybiegliśmy z wagonu, aby resztę drogi odbyć pieszo.

Poranek był chłodny, ale rzeźki i pobudzający. Roztopione w obfitych a gęstych białych mgłach wstawało leniwe słońce, pieszcząc się z różem obłoków. Po polach rozwiewały się płachty mgieł i błyszcząca złota woda. Stoki plantu i skrawki łąk pobielili siwy szron, tający w oczach na przeczystą rosę. Grube baty strącały dziesiątki pereł i brylantów, depcząc trawy zrudziałe, zamarle. Migotało wszystko wokoło rzekłbyś, ucieszone dniem.

Biegliśmy żwawym krokiem grzbietem plantu, pełni sił i zapału. Kipiało w każdym z nas młode życie i bratało się z radością dnia i słońca. Smutne zgłiszczają stacy mineliśmy w rozpędzie, prawie bez uwagi. W parę minut po tem witał już nas wojskowy lekarz, dziękując za przybycie. W teatralnej sali cesarskiego dworca, zamienionego na lazaret, znaleźliśmy białe fartuchy z rękawami i włożyliśmy je.

Wokoło leżała potrzaskana po większej części broń, ładownice, stosy pordzewiałych naboju, ziemie, torby, mundury. Pod sufit piętrzyły się niemal gromady lekkich noszy, tobołów, zawiniątek i prymitywnej pościeli. W rogach i na scenie poro-

kładano szeregi worów ze zgrzebnego płótna, opatrzonych numerem.

— Moi panowie, przybywacie w samą porę, niemam inteligentnej pomocy, — skarżył się lekarz.

— Jesteśmy gotowi, — oświadczyliśmy.

— Dziękuję serdecznie. Wieluż was jest razem?

— Dwunastu!

— Aż dwunastu? Doskonale!

Rozdzielił nas szybko i wyznaczył dyżury.

W jednej chwili wsiąknęliśmy w ten szpital, zleli się z nim, stali się jego częścią składową, jęli oddychać jego piersiami, przestali być przybyszami. Zamieniliśmy się w jego oczy i w uszy. Co za piekło bólu krył ten płaski dach!

Znalazłem się w salce operacyjnej o dawnej froterowanej, obecnie mytej wodą posadzce. W sąsiednim pokoju gotowały się na wolnym ogniu błyszczące instrumenty lekarskie. Dwie siostry ubrane białą, i paru sanitaryuszów przygotowywało stoły, watę, bandaże. Mimowoli miałem spojrzeć w same oczy nieszczęściu.

Wkrótce wniesiono pierwszego pacjenta.

Siedział na noszach i splecionymi dłońmi podtrzymywał krótki, zakrecony w bandaże kikut własnej nogi. Posadzono go na stole i zaczęto rozcinać stary opatrunek, podważając nożyczkami odrazu całe zwoje gazy. Żołnierz był chudy, wysoki, szczupły, ospowaty. Patrzył żałośnie na te czynności. Lecz wkrótce, gdy zaczęto odrywać pokłady gazy, bliższe okropnej rany, począł kiwać się na lewo i prawo, skomląc jak pies.

Położono go na wznak i przytrzymywano okrutnie. Gdy mu otwarto ranę, drżał jak liść i dzwonił zębami. pocąc się obficie. Należało jednak wysondować ją i zacząć tą całą gehennę — badania żywego ciała.

Straszliwa, ucięta noga ciągnęła oczy jak magnes, — zółciła się w niej kość, przerażały szaroczerwone płyty mięsa, z których już nawet nie ciekła krew. Jakież to ból tam przemieszkował!...

Zbliżył się lekarz i delikatnymi, czującymi palcami dźgnął w ranę sondę raz i drugi...

Chory zawył, rzucił się i wyrwał. Przytrzymał go dziesiątek rąk. Powtórzyło się znowu. Ostre, przebijające grube mury, jak papier krzyk odrętwił i zabijał wszystko, co żywe w sercu. Ranny wił się, prosił o śmierć w najwyższej rozpacz, kąsał kraj stołu, a w chwili przerwy czule jak matka, całował grube ręce trzymających go pacholów, ogłupiały z bólu. Z ust płynął potok zaklęć, zapewnień i uskarżeń, gardziel głośno łykała powietrze.

Lecz lekarz nie ukończył jeszcze swej pracy. Szamotania, wycia jęki, powtórzyły się i szły bez końca. Zdawało się, że piersi pękają. Że człowiek ten nie zniesie bólu, który cały brał w siebie, z którego nic mu utracić się nie udało, — zdawało się, że nieszczęśliwy rozerwie ściany sali, uleci w górę, jak dym, zniknie w jednej chwili lub umrze odrazu. Lecz nie. Wytrzymał wszystko.

Opatrunek miał się ku końcowi, zwinne dłonie sióstr motały nowe pasma nieskończonej gazy utu-

lając w jej bieli cichy spazm rannego. — Dopiero wtedy świat zatańczył mi przed oczyma...

— Więc aż tak straszna jest wojna? Więc aż tak bezwzględnie walczą ludzie? Więc aż do tego dojść może?... — pytały odurzone oczy mego towarzysza.

— Doktorze, — zagadnąłem po długiej chwili, — jakaż to straszna rana!...

— Nie. Ciało zdrowe. Tu przebieg normalny.

— Jako?... —

— Żywy będzie i zdrowy.

— No, dobrze... Ale czy nie możnaby go usypiać?

— Mniejby naturalnie cierpiał, ale nie możemy przy opatrunkach usypiać rannych. Nie starczyłoby środków, pomocy sanitarnej, czasu.

— Ależ zmiłujcie się!...

— Pan to zapewne pierwszy raz... — uśmiechnął się.

— No, nie... — bąknąłem.

— Na wojnie, — mówił dalej lekarz, — wszystko odbywa się prościej i prędzej. Wiele to nieraz ceregieli z ucięciem nogi! Całe tygodnie trwa operacja, pieczą się ludzie zamożni. Po tem leczenie — całą historię pisz. Tu w pół godziny wszystko skończone. Chlast — nogi niema. I prędzej będzie zdrowy.

— Bah!...

— Lecz gorzej czasem bywa, — zniżył głos; — gdy na operacją, na opatrunek niema czasu. Cały dzień, całą noc... ręce mdleją, oczy nie widzą...

W tejże chwili wniesiono następnego pacjenta. Był to mały człowieczyna z tulskiej gubernii, zacięty w sobie i blady. Wąskie usta skuł lekki grymas; niby fałszywy, podły uśmieszek. Oczy, spłoszone jak gonione ptactwo i, rzekłbyś, pulsujące przerażeniem jak serce, biegały wokół.

Położono go sprawnie na stole, odkryto. Przestrzał obu nóg kulą wybuchową, lecz kość cała. Odłamki kuli zostały w ranie.

— Batuszki, pomilujcie... jęknął żołnierz widząc przygotowania lekarza.

— Nie bój się, gołubczyku, — przeciągle odparł lekarz, oglądając straszne skaleczenie.

Chwila ciszy. Sonda w ranie.

— Hospodi pomiluj!... — wrzasnął nagle chory tak boleśnie, jakby go żywym ogniem palono.

— Nie bój się... nie bój, — tym samym głosem wycodził lekarz.

— Ależ zmiłujcie się!... Nie wytrzymam!!

— Ty, bracie, zamilcz!

— Boże, Boże!... wył coraz donośniej.

— Zamilcz, mówią Ci!... — szeptał doktor, coraz głębiej szukając odłamków.

Ranny porwał się i z całych sił trzepnął trzymającego go posługacza płaską dłonią w głowę. Potym błyskawicznie chciał skoczyć ze stołu, lecz mu przeszkodzono w porę.

— Eee!.. — rzekł doktor, — z tobą nijak nie można.

— Boli mnie! Strasznie, strasznie boli!..

— Cóż z tego? Lepiej, żeby nogi nie było?

— Już możeby lepiej bez nogi.

— Coś ty za żołnierz? — zagadywał lekarz, zacinając na nowo. — Noża się boisz. Hi!.. Na krew może nie patrzysz?

Chory wył przez zaciśnięte zęby, patrząc uparcie z jakimś bezbożnym zapamiętaniem w sufit. Złe, wydęte oczy mrugały raz po raz. Muskuly pracowały znowu. Podrzucił się raz i drugi.

— Leż!.. — wrzasnął lekarz, cały pochłonięty robotą.

Ów zaczął walkę milcząc. Siłował się i wyprężał. Czterech sanitaryuszów leżało na nim, lecz mimo to potrafił się kołysać i bić nogami. Właśnie doktor zdecydował się ciąć skalpelem. Nóż pobiegł za daleko i przeciął ranę. Krew rzygnęła nie do uwierzenia obficie jak woda.

— Przekleństwo!.. Leż taki synu, bo cię związać każę!.. — zapienił się doktor, co rychło chwytając końce weny pinsetkami i starając się założyć zatraski. Napróżno. Chwila stała się poważna, gdyż chory toczył dalej swą podziemną walkę z trzymającymi go. Uwiesili się na nim. W ich nieruchomych, wyteżonych plecach i karkach było coś okropnego.

Lekarz denerwował się coraz bardziej. Podniósł przekrwione z lekka oczy. Skinął. Podbiegła siostra i na stęglą twarz pacjenta szybko zarzuciła drucianą maskę, pełną waty. Rozlała na watę obficie eteru i przycisnęła mu do ust. Zabił piętami, starał się zrzucić przeszkodę, oddetchnął raz drugi bardzo głęboko, jakby z rozkoszą. I zwolna pozostał bezwładny.

Teraz dopiero powiązano wenę, wydłubano kawałki stali z głębi nogi, ukryte w spuchniętym sinawem ciecie. Spokojnie założono bandaż. Gdy wszystko było już gotowe, lekarz rzekł:

— Obudźcie go.

Zdjęto maskę. Jakiś czas tak sobie żołnierz poleżał, ale za parę sekund podniósł głowę. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Było twarde, straszne, zdębiałe z przerażenia. Chwilę tylko trwała nieprzytomność. Chory pozbierał wspomnienia, uważnie obejrzał się wokoło. Usiadł. Był bardzo blady. W źrenicach buchnął nieokiełznany gniew i pogarda. Splunął daleko i z obrzydzeniem. I nagle cicho, jakby od niechcienia, zaczął najgorszymi, najostateczniejszymi słowami lżyć lekarza, siostry, szpital, władze — bluźnić i pokazywać pięści. Coraz ciszej i ciszej klął, gdy go kładziono na nosze, wreszcie zaczął szeptać. Usłyszeliśmy jeszcze. „Te psie syny krają cię, rzną, rzną wojaku, a ty..., ty..., nawet nie słyszysz.“

I tak kolejną znoszono wciąż nowych i nowych do opatrunku. Krew kałużami stygła na parkiecie, stopy zużytych bandaży i zbrukanej, uwalanej ropą waty wypełniały kubły i szły w ogień.

Zmieniali się żołnierze niby na jakiejś dziwacznej rewii, lustrowaliśmy cały szpital. Przychodzili kalcycy bez dłoni bez ramion, wnoszono ciężko rannych z szarpanymi ranami brzucha i z przebitą piersią. Rozmaitość okaleczeń przechodziła wszelkie oczeki-

wania, stała się nieobliczalną, nieodgadnioną. Przesuwały się przed oczyma istoty ludzkie, szczęśliwe małym kalectwem, a także i skazane beznadziejnie na śmierć.

Zapach krwi, ropy z ran i widok podartego ciała przestał przejmować. Wystudziły i zabiły duszę straszne, nigdy nie stępione, zawsze czujne jęczenia. Przestał dźgać w serce ból innego człowieka i zasepiły się oczy, nasycone widokiem cierpień wymyślonych.

— Czego tu? — zagadnięto młodego żołnierza w mundurze, który wszedł i wyprostowany stał przy drzwiach.

— Wasze Błagorodje! Mam honor...

— Ranny?

— Tak toczno.

— Pokaż.

Chłop wyciągnął przed siebie prawą rękę. Młodszy lekarz ujął go za ramię i poprowadził do okna. Chłop szedł na palcach, trzymając czapkę pod pachą.

Spojrzeliśmy. Owiązana strzępką gazy i brudną chustką łapa była pozbawiona czterech palców, równo kulą ściętych. Niby frendzle wisiały paluchy na ścięgnach i żyłach.

— Któż to ci taki zrobił opatrunek?

— Phi — ja sam. Krew ciekła.

Obmyto ranę i obcinano resztki palców. Chłop sykał i ścierał pot z czoła nieprzerwanie, jakby tam właśnie ból siedział.

— Jezu, Maryo!.. — westchnął sobie, i w tym westchnieniu stateczny i cierpliwy.

Lecz ból widocznie musiał być straszny, bo wójak usiadł i począł kiwać się i kiwać zapamiętale. Przemawiał przytym raz po raz z mazurska i uspokajał sam siebie:

— Cicho, cicho... cicho... Stój!

— A z jakiej — to gubernii? — zagadywano go w rodzinnym języku.

— Z samego Płocka...

Starał się mówić przytomnie, nawet zaczął coś opowiadać. Lecz ból poplątał mu szyki. Zapomniał o czym mówił i zerknął ku ranie, zacinając usta. I oto w pewnej chwili drżąca i pokryta wilgocią potu zdrową dłoń wyciągnął bezwiednie, ku okaleczonej, jakby chcąc już sobie samemu pomódz, czy ból zabrać. Lecz zakrzyknięto na niego, przestraszył się i brudną rękę cofnął. I potem jeszcze parę razy wysuwał ją i cofał w bezradności cierpienia, posłuszny i potulny, jak dziecko, oddany lekarzowi.

Zapalono lampy.

Szła noc ciemna i tak nieprzenikniona, jak losy tej wojny, głucha i tajemna, niby pomruki dział, słyszane bez końca. Nad miastem jednej nie zapalono latarni. Pograżyło się ono w ciemność, jakby utonęło w morzu. Między drzewami parku, z których dawno już chłody wyżarły liście, tułał się jakiś przybłąkany cień i tęsknota czarna. Powiał deszczykowy, mroźny wiatr.

Przed główne drzwi szpitala podjeżdżały chłopskie podwozy, wioząc rannych po dwóch, po trzech.

Długie drogi odbyły te wózki, zanim tu dotarły, gdzie jest lekarska pomoc. Po mil dwie, po trzy a i cztery. Chłop, zły jak chrzan, szedł przy szkapie, bo usiąść nie było gdzie i zresztą na konia za ciężko by było. I tak tam paru leży...

Głowy leżących skakały na korzeniach w lesie i na kamieniach po drodze. Bezwładne — nie uchylały się, nie podnosiły wcale. Wieziono je przy gwiazdach, zapatrzone bez słowa w firmament...

Brały w siebie każde źdźbło leżące na drodze, każdy kamyk. Słyszały skrzyp piasku między szprychami i szmer osi. Wszystko to wpadało w ucho, niby w otwarty dzwon. — Ciche napozór dźwięki w głowie mnożyły się stokrotnie i hałasowały okropnie, niczem wspomnienie bitwy.

Ze źle przewiązanych ran zsuwały się bandaże i osłabiona, ostatnia krew ciekła na piasek, padała po kropli między koleje kół. Boleść tak spoiła ciało, że leżało ociążałe, kamienne. Po kościach i wnętrzościach latał tylko gorący ogień.

Woźnice przystawali bezradnie przed lazaretem i spoglądali na drzwi. Postali, postali — naprzóżno.

— Nikogo niema — zagadnęli do siebie.

— Powinny być. Tu jest szpital.

— Co to? Będę jeszcze stał?!... — wykrzyknął któryś.

— Mało jeszcze!...

Lecz oto przed zajazd wybiegło kilku sanitaryuszy z herbem Warszawy na opasce.

— Ludzie!... — zawołali oni — jedźcie w miasto. Tu już miejsca niema. Cały dzień nam zwożą. Przepelnienie.

Chłopi stali w milczeniu.

— Co robić! — rzekł któryś. Tam my już byli. Powiadają: jedźcie na stację! Jedziemy. A tu miejsca niema. Co będzie?

— Nic wam nie poradzimy!

— Konie wyprzadz musimy, obroku dać, sami się posilić.

Cały dzień w drodze!

— O głodnym pysku!

— Ranne nam pomrą na wozach! — oświadczyli.

Naradzono się szybko, kazano podjechać pierwszej podwozie.

— Cóż robić? Musimy i tych pomieścić.

Pierwszy z brzegu chłop śmignął biczem i ruszył zwawo. Z wozu doleciał cichy jęk.

— Wolniej! Ostrożnie.

Chłop natychmiast odjechał i wnet zniknął w nocy. W tejże chwili zjawił się następny.

— Tu leżą dwa oficerzy, — oświadczył.

— Panowie gdzie ranni? — zapytaliśmy, jak zwykle.

— Nie odpowiedziano z wozu.

— Obydwa są nieprzytomne, — rzekł woźnica.

Zaświecono latarką. Na przodzie i tyle wozu, wśród siana, dwie, niby martwe, głowy, zakutlane w krwawe bandaże. Skrzyżowane ręce. Oczy głęboko zamknięte.

— Umarli? — zapytaliśmy,

— Musi nie... — odparł chłop niepewnie, pochylając się nad przywiezionymi. — Wołali i gadali jeszcze nie dawno. Pletli coś tam, a każdy oddzielnie. Kto ich tam wie!...

Przeniesieni do jednej z sal, nabitych łózkami, nie mieli się gdzie podziąć. Nosze z nimi postawiono w przejściach. Nad pierwszym z nich pochylił się lekarz. Dotknął pulsu, spojrzął i machnął ręką.

— Cóż z nim zrobimy?

— Zostawcie go tu na noszach. Gdzieś na uboczu, — mruknął.

— Zostawić tak, jak jest?

— Tak... Wszystko jedno.

Nosze z umierającym pozostały w przejściu, gdyż dosłownie nigdzie już miejsca nie było. Pozostał sam, zapomniany, nieprzytomny, z rozrzuconymi nogami i rękoma, z cichym znużonym jękiem, przewalając się z boku na bok. Gruby, zamaszysty szynel otulał go szczelnie.

Ranny był przy szabli i rewolwerze, ze sztabową mapą za celuloidową błoną pochowej teczki i lornetką bez futerału, zawieszoną na szyi. Rzemienie, końce baszłyka, podpinka szabli, poły szynela — wszystko to rozbiegło się wokół bezładnie. Długie, zapięte na sprzączki buty z ostrogami umazane były w glinie, do której przylgnęły źdźbła siana. Uniform był poplamiony krwią i zszargany. Widocznie oficer padł i leżał w mokrym okopie, czy na rozkiszłej drodze zanim go podjęli.

Czarny wąs, rysy twarzy i podłużne, półotwarte oczy zdradzały, że był gruzinem. Leżał już spokojny, przekrzywiając jeno w nienaturalny sposób głowę, gdy go porwały wymioty i czkawka. Wstrętne się stało to niedołęstwo, niewiedza konania. Ubabrał się oślinił. Głupio, szkaradnie otworzył usta, spoczywał niby leniwy, idyotyczny rozpróżniaczony nygus. Zdawało się, że udaje. Chciało się krzyknąć z góry na niego, zawołać ze złością: „Wstań! Umyj się!... — Dość wylegiwania! Jużeśmy się naśmieli. Źle udajesz trupa, znużyłeś widzów!...”

Bandaż na głowie, okrywający ją z góry, jak tatarska mycka, cały się zczzerwieniał i krew plamiła nosze. Wśród zwojów opatrunku, widzieć można było pokłady, warstwy, zacieki krwi. Różniły się one od siebie odcieniem purpury. Jedne — wytoczone przed godziną, były ciemno czerwone i inne, widoczne na przesyconej krwią gazie — bardziej jasne, jeszcze niezupełnie zakrzepłe — ostatnie i świeżej były barwy.

Wskutek nieprzewidzianego układu ciała ramię wzniosło się do góry i pozostało wyciągnięte. Dłoń tego ramienia, obciążona w brunatno-czerwoną skórzaną rękawiczkę, — zdawała się kogoś łobuzersko żegnać, komuś na „dowidzenia“ powiewać.

Zatrzaśki rękawiczki nie spinały skóry. Widać było biały, delikatny przegub dłoni i nareczny złoty zegarek, w kształcie bransolety, bardzo pięknej roboty. Cyferblacik stylowy z trzech stron otulały splecione, wyrżnięte w złocie litery rosyjskie. — Z lewej strony świeciło się: „Na“, u góry: „ta“, aż wreszcie z pra-

wej wypukłe: „sza“. Na dole były cyfry: 13 i 14. Zegarek żwawo szedł. Szybki miał krok. Spieszył się, spieszył, spieszył...

Drugiego oficera otoczono gromadką. Posługacze ściągnęli mu buty i chcieli] zdjąć krótki spencer na futrze, jaki miał na sobie zamiast s.ynela. Lecz ranny jęczał z bólu przy poruszeniach i prosił półprzytomnie, aby go zostawiono w spokoju.

Trzeba było rozciąć rękawy i przód kożuszka. Krajano więc pospiesznie ostrym, długim nożem. Nóż trafił na znaki pułkowy i akademicki na piersiach, zgrzytnął na krzyżach i medalach, ukrytych pod futrem, poślizgnął się na pugilaresie pełnym pieniędzy.

Dotarto wreszcie do bielizny, poprzecinano skórzaną kurtę i trykotowe, ciepłe koszulki. Złożono oficera na łóżku i obnażono do pasa. Lekarz zrobił na pędcie opatrunek lekkich, postrzałowych ran na piersi i boku. Chory ze świeżą gazą na głowie zdawał się spać, przykryty kołdrą.

Usiadłem naprzeciwko i patrzyłem w jego twarz pełną walki, zmagania się, gorączki. W pewnej chwili oficer wznosił ręce i wiodł je w powietrzu nad twarzą. Przypuszczałem, że się obudził i chce czego. — Pochyliłem się.

— Pan się obudził?... Co się stało?

Nie było odpowiedzi. Chory spał w dalszym ciągu. Ręce opadły, by po chwili unieść się znowu i wypełniać swe nieprzytomne, tajemnicze magje. Błądziły, szły zwolna, nie dając poznać, czy chcą kogoś schwytać, czy też przeciwnie, odpędzić.

Powróciłem na swoje miejsce. Powoli, powoli zaczęła się owa noc w szpitalu.

Sale powoli uciszały się, zasypiały. — Nie dla wszystkich jednakże cierpienie było tak dobrotliwe. W półmroku wiszących lamp naftowych, poczęłem błądzić w przejściach między łózkami potykając się co chwila o oczy nieśpiące. Jedne z nich pełne były zadumy, głębokiej jak toń morza, jak najprawdziwszy sen. Lecz napróżnobyś je tulił, usypiał. Inne stały otworem, niby wierzeje duszy. Jeszcze inne płonęły niecierpliwością złowrogą, zawziętą jak bitwa. Te przepalały się same w sobie.

Wybór był duży, cała galeria. Cierpienia podrywały głowy, załamywały ręce, wybuchały głuchymi kaskadami jęku. Niektóre były tak uparte, szczególnie przy postępującej gangrenie, że jedynie morfina stawiała im krótki kres. Wymizerowana siostra z flaszeczką tego narkotyku w ręku chodziła od łóżka do łóżka. Przenikliwy, paskudny zapach zakażenia ropnego wólczył się po sali.

— Widział pan Niemca? zapytała mnie w pewnej chwili.

— Kogo?..

— Niemca. Leży już drugi tydzień.

— Cóż mu jest?

— Złamana noga. Możemy podejść do niego. Niechętnie, zaskoczony, poszedłem za siostrą. Wielki, rozrosły chłop leżał na pościeli. Nie spał także.

— Warum schlafen Sie nicht? zapytałem — Schon Zeit...

— Kiedy mi noga nie daje, proszę Pana —

— Polak? zapytałem obojętnie.

— Polak jestem. Z Prus, — z pod Torunia — objaśnił. — Spadłem z konia, a armata przejechała mi po nodze... Teraz leżę tutaj.

— On razgawarywajet po polski? — zdziwiła się siostra.

Młuda i znużenie zamykało mi usta. Należało jednak coś powiezieć.

— Może Wam czego potrzeba? Nie krępujcie się...

Spojrzał na mnie badawczo, z chłopska i podniósł się nieco na łóżku.

— To proszę Pana, — prawil szeptem — zimno mi tak leżeć razem z gipsem w tym łóżku. Noga, jak noga, ale i zimno mi spać nie daje.

— Czemuż nie powiecie? Zabawny z was człowiek! Przecież wam dadzą drugą kołdrę.

— A, kiedy to, proszę Pana, boję się grymasić, bo jeszcze wezmą i wyrzucą, a co ja sam z taką nogą zrobię?...

— Słostro, — rzekłem — trzeba mu dać jeszcze czymś się okryć. Marzną tu u was chorzy. Niema porządku w tym szpitalu.. — mówiem w rozdrażnieniu, zapominając o wielkiej niewłaściwości podobnych wymówek.

Lecz ona zakrzętnęła się zaraz i wkrótce dera się znalazła. Dziękował mi, kiwając dłonią i głową.

Straszne, niesłychane wspomnienia dzisiejszego dnia, wizya owej szpitala, pełna najwyrafinowanego cierpienia stanęły w oczach na moment i runęły na serce. Ciężkimi krokami przemierzyłem salę i skręciłem w pierwsze drzwi.

Tam wśród tej nocy nieszczęścia i zgrozy, leżał ów ranny w głowę oficer. Gmerał się na łożku i poprawiał, jak mógł, w półśnie, majaczeniu, rękami szukając oparcia. Pomogłem mu naturalnie, lecz pozycja, jaką przyjął, widocznie także nie była dogodna.

Znowu zaczęły się wysiłki. Blizko pochyliłem się nad nim. Resztą przytomności, jak bratu, choć przecież nie znał mnie wcale, zaplótł mi dłonie na szyi.

— Pan chce się położyć na wznak? — zapytałem.

— Tak... Tak... — szepnął mi gorącym oddechem. — Pomóżcie mi...

Przy wspólnym a męczącym wysiłku udało mu się ulżyć swej niedoli. Czule, prawie z rozrzewnieniem prowadziłem tę rozbitą, słabą głowę po poduszce, wolno, cal za cal. Najwyraźniej nie miał wcale sił, bo go to bardzo męczyło — ale i zadowolenie z osiągniętego celu było wielkie.

— Dziękuję... dziękuję... — powtarzał. Tam jest szkatułka. Wie pan, w mieszkaniu na Twerskiej... Tam są listy. Pan rozumie?... Listy jej, pisane do mnie, pod moim nazwiskiem. Na Boga, muszę je zniszczyć! To przecież żona komendanta. —

— Nic to nie szkodzi... — próbowałem żartować.

Lecz nie rozumiał, nie słyszał mnie. Mówił dalej, przerażał się, ubolewał, żałował czegoś niezmiernie. Że to tak, a nie inaczej się stało...

— Że też wszędzie kobieta... — myślałem z niesmakiem.

Zaczął już mówić nazwiska i wspominać coraz intymniejsze szczegóły. Zastanawiał się i wazył powód i przyczyny, jak człowiek przytomny. Chwilami i ja także ulegałem złudzeniu, że mam przed sobą miłego, zmartwionego setnie chłopaka.

I znowu wyciągał ręce i czołgał się swoją w tył lecącą bezsilną głową.

Tam znowu w półmroku, w kącie, siedział na łóżku ów wysoki drab z amputowaną nogą. Czyż można go teraz, kiedy ma tylko jedną nogę, nazwać wysokim? Siedział sobie zadumany. Smutno widać dumał, przesmutnie... Czy się szykował na jutrzejszy opatrunek, czy wspominał rodziców, czy myślał o nodze? Pewnie to ostatnie, bo zrzadka spoglądał w to miejsce, gdzie leżeć powinna, przekrzywił lekko głowę i wdychał. Niby to głupstwo noga — to nie człowiek, i bez niej myśleć można, tak samo, a jednak. A jednak strasznie, strasznie żał nogi, niby utraconej siostry, niby matki...

Pociągał cienkim noskiem i wciąż myślał bez pośpiechu. Gdzież teraz zajdzie? Sprobuj — no, chodzić na jednej! I ból, i śmiech.

Siedział wiec i dumał. Nie krzyczał teraz, w nocy, bo teraz noga tak strasznie, tak nie ludzko, jak przy opatunku, nie dolega. O, znacznie, znacznie mniej boli. Ranie i piecze tylko nieco. Lecz przecie potrzebuje odpocząć, no, i pomyśleć o tym i o owym. Mało to rzeczy jest do pomyślenia? Co prawda, nic się przez to nie wróży, ależ zawsze...

Tam znowu zawzięcie palił cygaretkę stary podpułkownik, podziurawiony na całym ciele kulami, jak sito. Bardzo bolało, gdy rany przewiązywali, ale nie wypadło narzekać. Trząsał się tylko na stole operacyjnym, lecz utrzymywał, że to z zimna. Rzeczywiście, cały był nagi. Mały, gruby, siwy człowieczek.

Tłuszcz białawą masą wystąpił z ran. Niegolona siwa broda pokryła szczotką twarz, układającą się w długie fałdy przy każdym skurczu w walce z cierpieniem. Raz po raz ukazywały się żółte, spróchniałe do tła zęby, szczerząc się dobrotliwie, niby w jowialnym uśmiechu. Scinały się mocno, mocno. Gardło wydychało powietrze w krótkim zamaszystym dźwięku. Podobny głos wydają smakosze po wypiciu kieliszka gorzałki.

— Aa!

Teraz leży, okryty kocami, w dalszym ciągu dygocąc z chłodu. Gdzieś mu to przyszło!... Ojcu dorosłych, pięknych córek. W salonie, gdy zeszli się goście, rozmowny bywał i wesół, pełen dowcipu i werwy. Lubił wista i fajkę. Lubił kawę po warszawsku i truskawki ze śmietaną, z cukrem. Nie odmawiał sobie i dłużej z rana w łóżku poleżeć. Bo i pewnie, człowiek już nie młody, wysłużony.

Ah, tak dobrze było, choćby jeszcze tej wiosny, A tu nagle, masz oto! Ledwo żywy. Dostał się pod karabin maszynowy. Też historia!

Pali więc cygaretkę, ledwo coś niecoś rozumiejąc, nieprzytomny z przejęcia się i bólu, zdumiony

może więcej, niż obolały. Że to nagle fortuna się tak zmienia. Ale to odrazu. Traf pros'y — i cierpieć tak pospolicie trzeba. Zwyczajny oto sobie, fizyczny ból. Nic więcej, nic!... I aż taka wewnętrzna zmiana, wprost katastrofa!...

Ordynans chodzi wokół i wzdycha.

Siostra zbliżyła się do mnie i rzekła:

— Pokażę panu jeszcze coś ciekawego. Chodźmy!

Głuchy gniew porwał mnie na to faktorstwo, lecz zamiast coś odpowiedzieć, uśmiechnąłem się tylko. Nuda była zbyt zabójcza, znużenie zbyt silne. Trzeba było im coś przeciwstawić ciągle, ciągle.

Dałem się prowadzić przez szereg sal, do jednej z mniejszych, bocznych. Przez chwilę pomyślałem, że jednak z siostrą łączy mnie pewne braterstwo — braterstwo poszukiwania. Że powinowactwo to ona odczuwa i postara się wyzyskać. Że mi zagraża coś, coś nierównie bardziej straszniejszego, niż rany i krew...

Lecz w tejże chwili stanęliśmy w małym pokoju, do połowy ścian wyłożonym białą tafelką porcelanową. Podłoga była z klinkieru, zimna, straszna. Stukało na niej obuwie, woń amoniaku wzbijała się w górę.

Ponuremi, zaćmionemi oczyma dojrzałem żelazne łóżko, stojące pod ścianą, naprzeciw specjalnych urządzeń tego pokoju. Przy łóżku siedziała starsza siostra i modliła się. Wśród białej pościeli leżało odkryte do pasa nagie, żółtawe ciało. Piers pracowała zrzadka i głęboko. Nie były to oddechy, raczej silnie westchnienia.

— Porucznik N... Podobno książęcego rodu... szepnięto mi blisko do ucha. — Wyniesiono go z sali aż tu, bo już kona. Nieprzytomny...

Za trudno było wyjść, za trudno pozostać. Nie wiedziałem, co począć ze sobą. Stałem w obliczu umierającego, jak żak na egzaminie. Wszystkie po kolei uczucia mignęły, jak liście na wichurze. Pozostało jedno: obrzydzenie. To mnie zdumilo, zżarło, zdeptało. — Lecz nieprawdopodobieństwo tego, co widziały oczy, było zbyt potworne, zbyt mocne.

— Zostawiliście go tak! — zawołałem.

Starsza siostra obejrzała się i dała znak milczenia.

— Cicho, — rzekła — on umiera. Dobry był pan, wszyscy płacemy po nim. Pomódlcie się...

Modliłem się też oczyma po jego ciele. Mała ranka od bagnetu, który poszarpał wnętrzności, była niewinna, jak usta małego dziecka. Nie krwawiła. Nie wołała o zemście, nie nakazywała żalu. Ramiona stały się sinawe i zimne. Wargi otwierały się w bezmiernej duszności. Szczupły nos rasowy stał się porcelanowy, tak jak i półprzymknięte, nieprzytomne, zapatrzone w kąt oczy.

Nagle chory, rzekłbyś, obudził się i zawołał głosem rozkapryszonym i rozstrzelonym, jak piach:

— Siostrzo, siostrzo, dajcież wyplukać usta...

Przeraziliśmy się. Spełnili, co chciał. Wyplukał usta, wodę wypluł na spodek. Ach, jakież to przebiegły! Oszukał nas, — część wody przełknął.. Zręcznie milczkiem, aby ulżyć spalonym piersiom. Choć mu zakazywano, choć przez jeden łyk wody umierał. Biedny oszukańcze! A pij już sobie, pij!...

— Siostrzo, siostrzo, cóż — to będzie?... — zagadnął jeszcze.

To były ostatnie słowa księcia. Pomimo wszystko, pozostałem przy nim już do końca. Konał zwolna i przewlekłe. Oddech stawał się coraz wolniejszy i głębszy, zdawało się, że całą duszą chce odetchnąć. Ciało ziębło coraz bardziej. Już minutami czekaliśmy w trupim milczeniu na następny spazm piersi. Już zdawało się, że skończył, że szarpnął powietrzem po raz ostatni, lecz nie, jeszcze się porał, jeszcze nie załatwił swoich porachunków z życiem.

Zapomniał już mówić, zapomniał już o sobie, lecz jeszcze żył. Piersi prężyły się i wydymały, jak przy najcięższej gimnastyce. Lecz widać było, jak pospiesznie się poddawał.

Raz jeszcze przez wyszczerzone zęby nabrał gorą powietrza i już go nie oddał, zatrzymał. Wtedy ustami bluznęła mu czarna, spiekła, trupia krew. Podsunięto prześcieradło, lecz zapóźno. Krew powalała pościel.

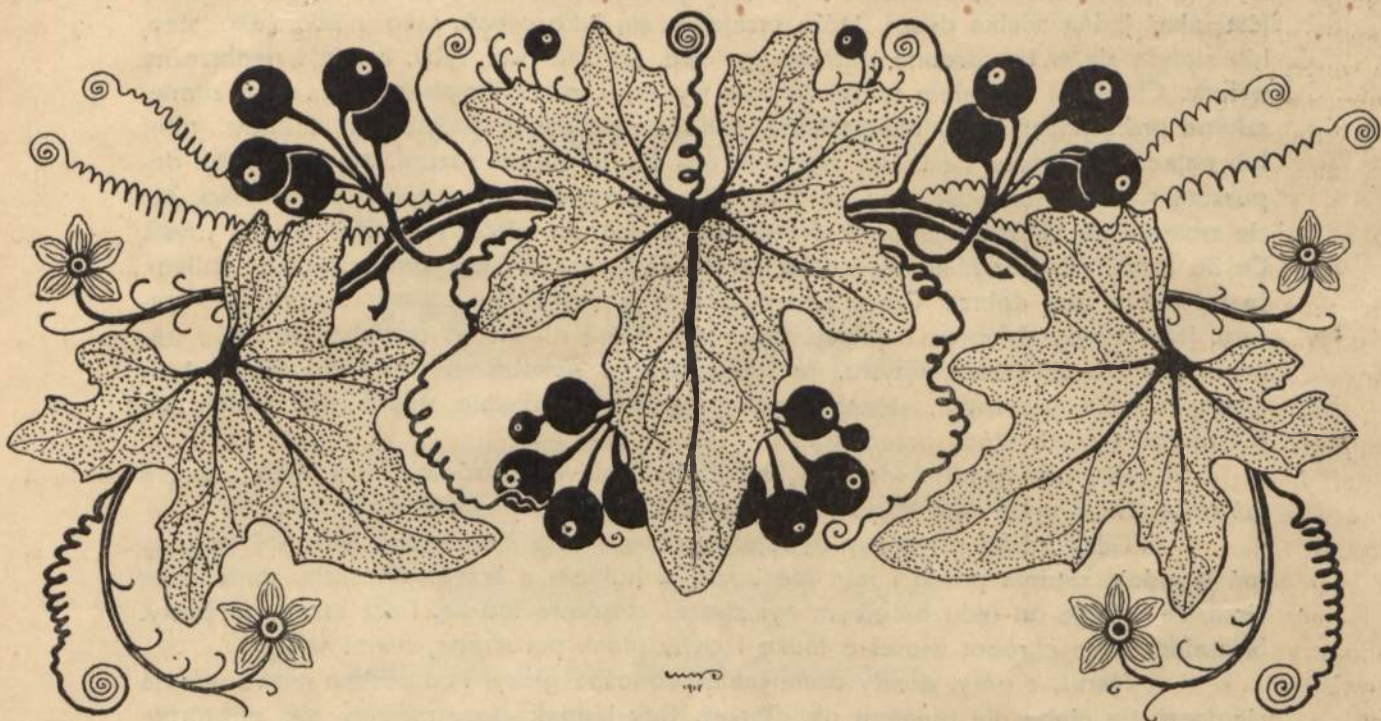
To był ten długo czekany koniec.

Świtało.

Starsza siostra zwolna przymknęła umarłemu powieki, a miała koło ust lekki grymas, — ni to chłodniutki, łagodny uśmiezek, ni to matczyne pobłażanie. Potem uklękła i zmówiła krótką modlitwę. Tak go pożegnano.

Zabrano z pod trupa poduszki i nakryto go prześcieradłem. Zostałem z nim sam...

JERZY GAŚSOWSKI.



SZTUKA I ŻYCIE.

ŻÓRAWIE.

Tęsknica (nostalgia) toczy przeważnie ludzi, którzy z jakichkolwiek powodów nie mogą wcale powrócić do kraju; niemniej jednak i ci, dla których powrót jest tylko rzeczą woli, doznają czasem jej napadów. Powód może być byle jaki: wschód lub zachód słońca, który przypomni zorze ojczyste, jakaś nuta obcej pieśni, w której odezwie się rytm swojski, jakaś kępa drzew, przypominająca zdala wioskę rodzinną — wszystko wystarcza! Wówczas ogarnia serce ogromna, nieprzeparta tęsknota i przychodzi nagle poczucie, że się jest jakby liściem oderwanym od dalekiego a kochanego drzewa. I w takich chwilach, człowiek albo musi wracać, albo, jeśli ma trochę wyobraźni — tworzyć.

Raz — lat temu sporo — przebywałem nad brzegiem oceanu Spokojnego, w miejscowości, zwanej Anaheim Landing. Towarzystwo moje stanowiło kilku majtków — rybaków, po większej części Norwegów, i Niemczyk, stołujący tychże rybaków. Oni w dzień bywali na morzu, a wieczorem zabawiali się w pokiera, w którego, zanim zaczęły grywać modne damy w Europie, grywano już od dawna we wszystkich szynkach amerykańskich. Byłem zupełnie sam, i czas schodził mi na wałęsaniu się ze strzelbą po pustym stepie lub nad brzegiem oceanu. Zwiedzałem osypiska, które tworzyła rzeczka, wchodząca szerokim rozlewem do morza, i brodziłem po płytkich jej wodach, przypatrując się nieznanym rybom, skorupiakom i olbrzymim lwom morskim, wygrzewającym się na kilku skałach u ujścia. Naprzeciw był też mały ostrówek puszysty, pełen mew, pelikanów, albatrosów i kulonów — prawdziwa rzeczpospolita ptasia, rojna, gwarna i krzykliwa. Czasem, gdy dzień był spokojny, a ton wśród ciszy przybierała barwę niemal fioletową, mieniącą się złotem, siadałem do łodzi i wiosłowałem w stronę ostrówka, na którym pelikany, nieprzywykłe do widoku ludzi, spoglądały na mnie raczej ze zdziwieniem, niż z obawą, jakby chciały się pytać: co to za foka, której nie widział.śmy dotąd? Często z owej wysepki przypatrywałem się zachodom słońca, wprost bajecznym, zmieniającym cały widnokrąg w jedno morze blasków złotych, opalowych i płomienistych, które, przechodząc w świetną czerwień, mdląły zwolna, dopóki na ametystowym tle nieba nie zaświecił księżyc i cudna, podzwrotnikowa noc nie objęła nieba i ziemi.

Pusty kraj, nieskończoność morza i nadmiar światła usposobiły mnie trochę mistycznie. Wpadłem w panteizm i miewałem poczucie, że to wszystko, co mnie otacza, jest jakąś jedną wielką duszą, która przejawia się jako ocean, jako niebo, jako step, lub skupia się w tak drobne zjawiska życiowe, jak ptactwo, ryby, małże i nadbrzeżne wrzosi. Chwilami myślałem także, że owe wydmy i puste osypiska mogą być zamieszkałe przez jakieś istoty niewidzialne, podobne do dawnych greckich faunów, nimf lub najad. Nie wierzy się takim rzeczom, gdy bierze się na rozum, ale mimowoli dopuszcza się ich możliwość, gdy się żyje tylko z przyrodą i w zupełnej samotności. Życie zmienia się wówczas jakby w drzemanie, w którym więcej jest widzeń, niż myśli. Co do mnie, uświadamiałem tylko ów niezmierny spokój, który mnie otaczał, i czułem, że mi jest w nim dobrze. Czasem rozmyślałem o przyszłych „Listach z podróży“, czasem, jako młody chłopiec, o jakiejś nieznannej, którą mi kiedyś przyjdzie poznać i pokochać — i w tej foldze umysłu, na tem pustem, świetlistem pomorzu, wśród tych niedopowiedzianych myśli, nienazwanych pragnień, w pół-śnie, w pół-jawie czułem się tak szczęśliwy, jak nigdy przedtem.

Pewnego jednak wieczora zasiedziałem się na ostrówku i wracałem na brzeg już nocą. Niósł mnie sam przyływy, i prawie nie potrzebowałem wiosłować.

Gdzieindziej przyływy bywają burzliwe, ale w tym kraju wiecznej pogody toń łagodnie zatapia piaski i fala nie tłucze z hukiem o brzeg. Otaczała mnie taka cisza, że o staje od lądu mógłbym być słyszeć rozmowę ludzką. Lecz brzeg był pusty. Słyszałem tylko chrobot wiosel o łódkę i cichy plusk poruszanej niemi wody.

Naraz, z góry, doszły mnie jakieś donośne głosy. Podniosłem głowę, ale na ciemnym tle nieba nie mogłem nic dojrzeć. Gdy jednak głosy rozległy się powtórnie wprost nademną, rozpoznałem klągór żórawi.

Całe stado przeleciało widocznie nad moją głową, gdzieś w stronę wyspy Santa Catalina. Lecz mnie przypomniało się, że w podobne odgłosy wsłuchiwał się nieraz, gdym dzieckiem jeszcze, za szkolnych czasów, jeździł do domu na wakacje — i nagle porwała mnie ogromna tęsknota. Wróciwszy do mego alkierza, który odnajmowałem w domku Niemca, nie mogłem zasnąć. W myśli przesuwaly mi się obrazy kraju: to las sosnowy, to pola szerokie z Maćkowe ni gruszami na miedzach, to chałupy chłopskie, to wiejskie kościoły, to białe domy w gęstwie sadów. Tęskniłem za podobnym widokiem całą noc. Wyszędłszy nazajutrz, jak zwykle, na osypiska, uczułem, że ten ocean i niebo, i step, i wydmy brzegowe, i skały, na których prażą się w słońcu foki — to są rzeczy dla mnie bezwzględnie obce, które tak nie mają nic wspólnego ze mną, jak ja z niemi. Wczoraj jeszcze włączałem się w to otoczenie i sądziłem, że tętna moje biją zgodnie z tętnami tej olbrzymiej przyrody; dziś zadawałem sobie pytania: co ja mam tu do roboty i dlaczego nie wracam? Poczucie spokoju i słodczy życia pierchło bez śladu. Czas, który dawniej tak cicho i kojąco odmierzaly mi przyływy i odpływy morskie, wydał mi się nieznośnie długi. Zacząłem myśleć o kraju, o tem, co w nim zostało i co zmieniło się z biegiem czasu. Ameryka i podróż przestały mnie całkowicie zajmować, a natomiast w głowie roił mi się coraz gęstszy tłum widzeń, złożonych wyłącznie ze wspomnień. Nie mogłem się od nich oderwać, chociaż nie sprawiały mi one radości. Przeciwnie! było w nich dużo smutku, a nawet i gorzcy, wynikająca z porównywania ospałego i bezradnego życia naszej wsi z bujnym życiem amerykańskim. Ale im bardziej wydawało mi się nasze bezradne i ospałe, tem więcej opanowywało mi duszę, tem było mi droższe i tem więcej za niem tęskniłem. Przez następne dni widzenia stawały mi w oczach coraz jaśniej, a wreszcie wyobrażenia poczęła je rozwijać, porządkować, oświecać i układać w jeden artystyczny pomysł. Począłem tworzyć sobie swój świat.

W tydzień zaś później, gdy pewnej nocy Norwegowie wyjechali na morze, zasiadłem w swoim alkierzu — i z pod pióra wyszły mi następane słowa:

„We wsi Barania Głowa, w kancelaryi wójta gminy, cicho było, jak ma-kiem siał...“

I w taki to sposób, za przyczyną żórawi, nad brzegiem oceanu Spokojnego, powstały: „Szkice węglem“.

HENRYK SIENKIEWICZ.

HENRYKOWI SIENKIEWICZOWI.

Gdziekolwiek spoczniesz, Króla Ducha Synu,
O, wielki Synu Matki umęczonej,
Wszędzie na grób Twój padnie liść wawrzynu
I lzy rodaków, jak perły z korony,
Gdziekolwiek będą leżały Twe kości,
Tam, kędyś runął, gdyby wódz wśród bitwy,
Staną anioły Sławy i Miłości.
Jak dwaj posłowie od Polski i Litwy.

Bo Tobie dzisiaj ziemia Twa rodzona,
Tak krwią zboczona i żalosna taka,
Śle do mogiły królewskiego ptaka,
By nad nią czuwał, aż się Dzień dokonu!
Nim do pól wrócisz, malowanych złotem,
Gdy pieśń swobody wzniosą bory szumne,
Orzeł Twój Biały przypadnie z loskotem
Zerwanych kajdan na hetmańską trumnę.

Ale Ty będziesz miał swój grób królewski
W ojczystej ziemi, kędy polskie dziecię,
Imię Twe szepcąc, rzuci polne kwiecie,
Mak purpurowy i chaber niebieski;
Gdzie przyjdzie chłopiec żar rozpałać ducha
I broń nastalać o kamień grobowca,
Gdzie do obcego powiemy wędrowca:
„Patrz! Tej mogiły cała Polska słucha!”

Na swoją biedną nieszczęśliwą ziemię
Tyś z królewskiego rzucił płaszcz szkarlatu,
I niewolnica w monarszym dyademie
Dawną swą chwałę pokazała światu.
Zmartwychwstająca, choć ranna i krwawa,
Gdy niebo nad nią zorzą się ozlaca,
Ten płaszcz królewski — Ono Tobie zwraca,
I swój majestat prochom Twym oddawa!..

Or-Ot.



KARCZMA POCIECHA.

(Epizod z powstania listopadowego).

Warszawa dogorywała.

Armia rosyjska, pod wodzą hr. Paskiewicza, późniejszego księcia Eriwańskiego, przepравиła się przez Wisłę i okrążyła stolicę Polski od zachodu.

Na 4-ty wrzesnia pianowano szturm generalny od Woli i Mokotowa, czekali tylko wiadomości: co się dzieje z oddziałami Rydigerera i Rozena, które miały od południa pośpieszyć głównym siłom na pomoc, aby zadać stolicy cios stanowczy.

Atoli, rzecz dziwna, stało się to, czego ani Polacy ani Rosjanie prawdopodobnie nie przypuszczali, aby stać się mogło. Oto Warszawa, odgradzona od wschodu Wisłą niby puklerzem, doczekała się tego, że teren, leżący przed tym puklerzem, między Pragą a Brześciem Litewskim pozostawał w jej mocy, natomiast zachodnie okolice Warszawy opanowane już były w zupełności przez wojska rosyjskie.

W tej oryginalnej sytuacji mieściło się niejako stare polskie przysłowie: „Złapał kozak tatarzyna a tatarzyn za łeb trzyma“. Armia rosyjska sama się odgradziła od swej podstawy operacyjnej zarówno Wisłą jak i armią polską.

Hr. Paskiewicz stracił kontakt z Rozenem i Rydigerem i nie mógł go żadną miarą nawiązać, a tymczasem ze wschodu napływały niesprawdzone jeszcze lecz niepokojące wieści, jakoby tam uśmiechnęło się chwilowo szczęście polskiemu orężowi, pod wodzą Ramoriny.

Od sprawdzenia tych pogłosek, jak nie mniej od wiadomości: co się dzieje z oddziałem Ramoriny wysłanym w kierunku Brześcia Litewskiego, zależała ostateczna decyzja, czy szanse generalnego szturmu są korzystne. Naczelnym wódz rosyjski w denerwującej pozostawał niepewności. Powrót polskiego kor-

pusu ekspedycyjnego do Warszawy przed nadejściem posiłków Rozena i Rydigerera mógł znacznie nadwerżyć, jeżeli nie pokrzyżować w zupełności jego plany. Była to jedna z tych chwil, w których wodzowie przeżywają najsilniejsze emocje, czując, że przedwczesne lub błędne zarządzenie może w jednej chwili zburzyć cały gmach, spiętrzony mozolnie przez długie miesiące.

I oto w tej ciężkiej sytuacji podsunęto hr. Paskiewiczowi ciekawy pomysł, który da się streścić w następujących słowach:

„Ponieważ nie możemy nawiązać kontaktu z naszymi generałami, a nawet nie wiemy, jaki los ich spotkał, więc zapytajmy o to samych Polaków. Polacy, to poczciwy i dobroduszny naród, oni sami wszystko powiedzą“.

Paskiewicz postanawia tedy wysłać do naczelnej polskiej komendy parlamentarza.

Jako takiego wybrano gen. Dannenberga, który swego czasu pełnił obowiązki w polsko-rosyjskim garnizonie w Warszawie, znał się dobrze z generalicyą polską i utrzymywał z nią przyjacielskie stosunki

W obozie rosyjskim przypuszczano, że na parlamentarza polskiego wyznaczonym będzie albo sam kwatermistrz armii polskiej, genialny Prądyński, z którym Dannenberg znał się doskonale, albo też ktoś z jego najbliższych.

Na miejsce spotkania parlamentarzy zaproponował sztab rosyjski karczmę „Pociechę“, leżącą między obu armiami przy głównej południowo-zachodniej szosie.

Przypuszczenia sprawdziły się. O wyznaczonej godzinie nadjechał ze strony polskiej — sam Prądyński i zatrzymał się obok wyznaczonej karczmy. Towarzyszył mu belwederczyk Wysocki. W kilka minut potem przybył z przeciwnej strony gen. Dannenberg w otoczeniu swych adyutantów.

Dawni znajomi złożyli sobie nawzajem ukłon wojskowy, niby dwaj zapaśnicy przed śmiertelnym pojedynkiem. Że oba w tej chwili przypomnieli sobie dawne pogadanki w klubie oficerskim, a może i inne sprawy z ubiegłych przeżyć, to chyba nie ulega wątpliwości. Jednak chwila nie była stosowną do roztrząsania tych wspomnień. Po wymianie kilku wstępnych frazesów w języku francuskim, obaj generałowie przystąpili do istoty rzeczy.

Pierwszy zabrał głos hr. Dannenberg:

— Mam pełnomocnictwo — rozpoczął — by przedstawić wam jeszcze raz grozę waszego położenia i zachęcić jaknajusilniej, abyście złożyli broń. Dalszy rozlew krwi dla obu stron niepotrzebny, a zdanie się na naszą łaskę oszczędzi wam wiele zawodów i przykrości.

Prądyński spojrział na dawnego kolegę zdziwionemi oczyma i odrzekł:

— Czy tylko tyle miałeś mi, generale, do powiedzenia?

Armia polska spodziewała się daleko idących układów i korzystnych warunków kapitulacji — o zu-

pełnem zdaniu się na łaskę lub nie łaskę nie myślała. Prądyńskiego na wstępie spotkał gorzki zawód.

Tymczasem Dannenberg ciągnął dalej:

— Bo i na czem właściwie opieracie wasze kombinacje? Na tych małych kretowiskach, usypanych z piasku, które nazywacie szaniami? Toż przed nimi stoi już na pozycjach trzysta armat...

— To do rzeczy nie należy. Próbuje te „kretowiska“ zburzyć — odrzekł Prądyński spokojnie.

Dannenberg nie dał się wyprowadzić z równowagi spokojną miną kwatermistrza polskiego i mówił po przyjacielsku raczej.

— Przypuśćmy, że będziecie bronić się po bohatersku, to mimo wszystko ostatecznego waszego losu nie unikniecie. Lada chwila nadciągnie Rozen i Rydiger z południa z nową liczną artylerją, a wówczas...

Tu na twarzy Prądyńskiego, zimnej dotąd jak marmur, wyszkolonej w sztuce wojskowo-dyplomatycznej z czasów tradycji Napoleońskich, zaigrał naraz sarkastyczny uśmiech. — Gadaj sobie zdrów kolego! — zawołał prostodusznie. — Toż chyba nie można przypuścić, abyście nie wiedzieli, co się dzieje z Rozenem i Rydigerem. Powiadasz, że lada chwila tu się zjawia? Bajki! Toż przed dwoma dniami wróciłem ze wschodu. Pod Międzyborzem rozbiłem waszą brygadę Warpachowskiego i samego generała wzięłem do nicwoli, wraz z licznymi jeńcami... Wasz Rozen i Rydiger daleko.

Dannenberg błysnął oczyma radośnie — Główny cel jego misji został osiągnięty. Armia Ramoriny, wiążąca tamtą grupę bojową, musiała znajdować się pod Brześciem, a więc conajmniej o 20 mil od Warszawy, zatem przed generalnym szturmem nie mogła żadną miarą przybyć na czas do stolicy! Należało tedy przyspieszyć działanie.

Zamiast dalszego zachęcenia do bezwzględnej kapitulacji, Dannenberg spojrział tylko na zegarek i zapytał:

— Która godzina na pańskim zegarku?

— Parę minut po czwartej...

— Dziękuję.

I generał rosyjski, przyłożywszy rękę do kaska, wykonał zgrabny obrót wojskowy na lewej pięcie.

Prądyńskiego uderzył ten nagły skręt psychiczny w zachowaniu się kolegi parlamentarza. Przyłożył rękę do czoła, pomyślał chwilę i nagle skamieniał. Pojął wszystko.

— Hej, konia! — krzyknął.

Dosiadł wierzchowca i popędził co tchu, ku swemu obozowi.

Wkrótce potem trzysta armat zagrało.

— — — — —

Konferencja obu parlamentarzystów opodal karczmy „Pociechy“ jest faktem autentycznym i nie ulega żadnej wątpliwości.

Co do przebiegu pogadanki, to ten wydaje się bardzo prawdopodobnym; leży bowiem zupełnie w linii charakteru polskiego. Przytoczyłem ją niemal dosłownie z mało znanych pamiętników generała Lud-

wika Mierosławskiego, wydanych przed wielu laty pod tyt: „Oblężenie Warszawy“.

Podobne starcia słowne najczęściej pozostają historyczną tajemnicą, wszak w sprawach takiej doniosłości, jak ta, o której jest mowa, zwykle mówi się w cztery oczy, na osobności. Czy zatem cytata Mierosławskiego jest zupełnie autentyczną, o tem trudno wyrokować. Faktem jednak jest, że obaj parlamentarysze przybyli w towarzystwie adyutantów, a nie posiadamy dowodu na to, że rozmowa Prądyńskiego z Dannenbergiem toczyła się na osobności. Przebieg jej musiał krążyć później po Warszawie, z ust do

ust, skoro Mierosławski nie zawahał się okrasić tego epizodu swego pamiętnika rzekomo autentycznym dyalogiem, który zakończył uwagą od siebie: „Prądyński zbajał się..“

Najważniejsze jednak ze wszystkiego jest to, że ze względu na nasz charakter, na naszą szczerść, prawdomówność i wreszcie brak zmysłu dyplomatycznego, przytoczony epizod dyalogowy wydaje się bardzo prawdopodobnym.

Tak!.. Milczenie — jest złotem.

KAZIMIERZ ROSINKIEWICZ.

KIERUNKI ARCHITEKTONICZNE W OSTATNICH DZIESIĄTKACH LAT.

W niedalekiej przyszłości, jednym z najważniejszych naszych zadań społecznych będzie odbudowa zrujnowanych wsi i miasteczek, oraz wzniesienie szeregu gmachów, których wymagać będą zmienione formy narodowego bytu.

Do ostatniej chwili, ze wszystkich działów Sztuki, najmniej interesowano się u nas architekturą. Złożyło się na to wiele przyczyn, — po części, być może, winni są temu architekci, którzy zbyt rzadko zabierali głos publicznie w sprawach architektury.

Prądy architektoniczne w końcu XIX i początkach XX wieku zmieniały się z zawrotną szybkością, ścierały ze sobą i dotąd nie zwały się jeszcze w jeden wyraźny kierunek. Nic więc dziwnego, że ogół stracił możność orientowania się w tych zmiennych przejawach i nie wie, jak oceniać wartość artystyczną powstających budowli.

Druga połowa XIX stulecia jest okresem intensywnego zabudowania Europy; niestety okres ten zbiegł się z największym upadkiem architektury.

Tradycje klasycyzmu, którym zawdzięczamy powstanie dzieł tej miary, co Teatr Wielki w Warszawie, dawna mennica na ul. Rymarskiej, pałac Paca i inne, powstałe w początkach ubiegłego stulecia, — zamierały stopniowo.

Mniej lub więcej wyraźne ślady tego kierunku

odnajdujemy jeszcze w późniejszych budowlach, dość licznie rozsianych po całej Warszawie.

Po latach sześćdziesiątych wpływ klasycyzmu traci się niemal zupełnie.

Powstające następnie budowle noszą już wyraźne piętno ogólnoeuropejskiego upadku Architektury; u nas, zwłaszcza, po r.: 63, upadek ten dał się odczuć silniej, niż gdziekolwiek.

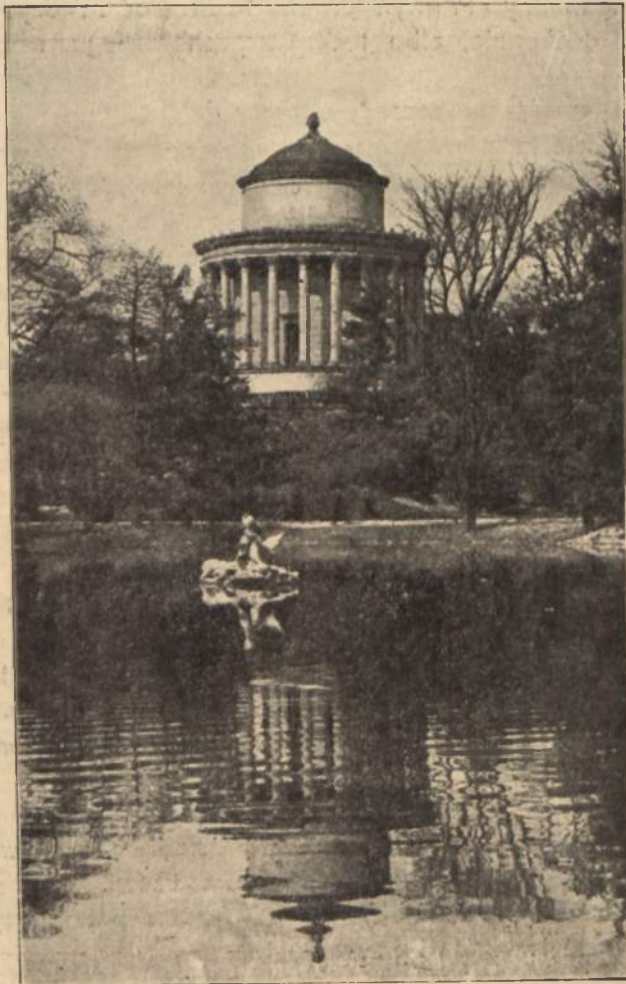
Dopiero w samym końcu XIX stulecia nastąpiły pierwsze objawy protestu przeciwko twórczości architektonicznej ostatnich lat. Ruch ten rozpoczął się w Wiedniu, pod nazwą Secesji. Rozpowszechniła się ona z niebywałą szybkością po świecie, witana radośnie jako zwiastun nowej ery w Sztuce i mniemany wyraziciel odębności duchowej ówczesnego pokolenia. Zawitała ona i do nas, znajdując licznych zwolenników.

Na czem polegała Secesja i jaką była jej wartość?

Pobieźny rzut oka wystarczy, by wykryć, że zasadą jej było zupełne zerwanie z dorobkiem artystycznym ubiegłych wieków.

Dawniej otwory posiadały kształt regularny, se-

cesja nadaje im formę możliwie kapryśną, nieoczekiwaną. Gzyms, stosowany we wszystkich epokach, dla ochrony ścian od wpływów atmosferycznych, zostaje całkiem zaniechany. Najbardziej zasadnicza w bu-



Wieża ciśnienia w Ogrodzie Saskim w Warszawie.



Brama Wjazdowa w Pałacu Pacy w Warszawie.



Izba Skarbowa w Warszawie.



Portal secesyjny.

downictwie linia prosta traci prawo obywatelstwa; na jej miejsce zjawia się linia falista, o kształcie fantastycznym, nie mająca żadnego logicznego uzasadnienia. Ornament, który powinien zawsze odgrywać rolę drugorzędną, wysuwa się na plan pierwszy i wyrasta do niebywałych rozmiarów. Czerpie się dlań motywy przeważnie ze świata roślinnego, lecz stylizuje w sposób tak wybujałe fantastyczny, jak nigdy przedtem.

Historia Sztuki świadczy, że rozwój Architektury szedł stale po jednej nieprzerwanej linii, pomimo chwilowych wahań i upadków. Pokazuje ona, jak stopniowo doskonaliły się metody konstrukcyjne, jak rozwijały się formy architektoniczne i oddziaływały na siebie wzajemnie.

Wpływy egipskie odnajdujemy w Sztuce greckiej, na tle sztuki greckiej rozwinęła się twórczość Rzymian; z architektury rzymskiej wyłaniają się style średniowiecza: romański i gotyk.

Renesans zwraca się do wzorów antycznych, zubożony jednak doświadczeniem budowlanym z epoki gotyku, śmiałością konstrukcji pozostawia daleko za sobą klasyczne pierwowzory.

Widzimy więc, że ciągłość egzystuje nawet w okresie pozornego załamania się linii rozwoju, kiedy po niechano gotyk dla nowego kierunku.

Jeżeli z punktu widzenia tej ciągłości rozwoju, spojrzeć na secesję to odrazu uwypukli się cały nonsens jej założenia.

Nowego stylu stworzyć nie można, zrywając z wielkimi zdobyczami ludzkości w dziedzinie Sztuki.

Nie powstaje też on w jednej chwili; rozwój jego może wtedy tylko pójść w tempie przyspieszonym, o ile ogólny ton duchowy pokolenia sprzyja rozwojowi odrębnego stylu.

Zrozumiano to stosunkowo prędko, i dziś Secesya należy już do przeszłości.

Osądzając ją surowo, nie należy jednak zapominać, że odegrała ona wybitną rolę w Historii Sztuki ostatniej doby: poruszyła umysły i była pierwszym ogniwem w szeregu wysiłków ku odnalezieniu własnego wyrazu poprzedzającego pokolenia.

Następny kierunek, zwany modernizmem, różni się od secesyi tem, że zbliża się do stylów historycznych. W pierwszym okresie charakteryzuje go dążność do zbyt jaskrawej oryginalności. W liniach jest gwałtowny i ostry, nadużywa ornamentu i czerpie motywy z egzotycznych źródeł. Czuć tu jeszcze wpływ niedawno minionej Secesyi.

Wybujałość ta zaczyna się jednak z wolna uspokajać. Poprzednie nadużycie ornamentu wywołuje zjawisko odwrotne, — widać wspólną tendencję do zaniechania go zupełnie. Dominującym motywem zaczyna być gra płaszczyzn i powierzchni wypukłych lub wklęsłych. Zjawia się surowa linia prosta, rytmicznie powtarzana w kierunkach pionowych. Stosują się silne efekty rzeźbiarskie, w małej ilości, pod postacią płaskorzeźb lub rzeźby okrągłej, która się wyraźnie odcina na tle wielkich, gładkich płaszczyzn.

Trzeba przyznać, że dzieła te mają pewien surowy majestat i że znamionuje je duża siła eks-

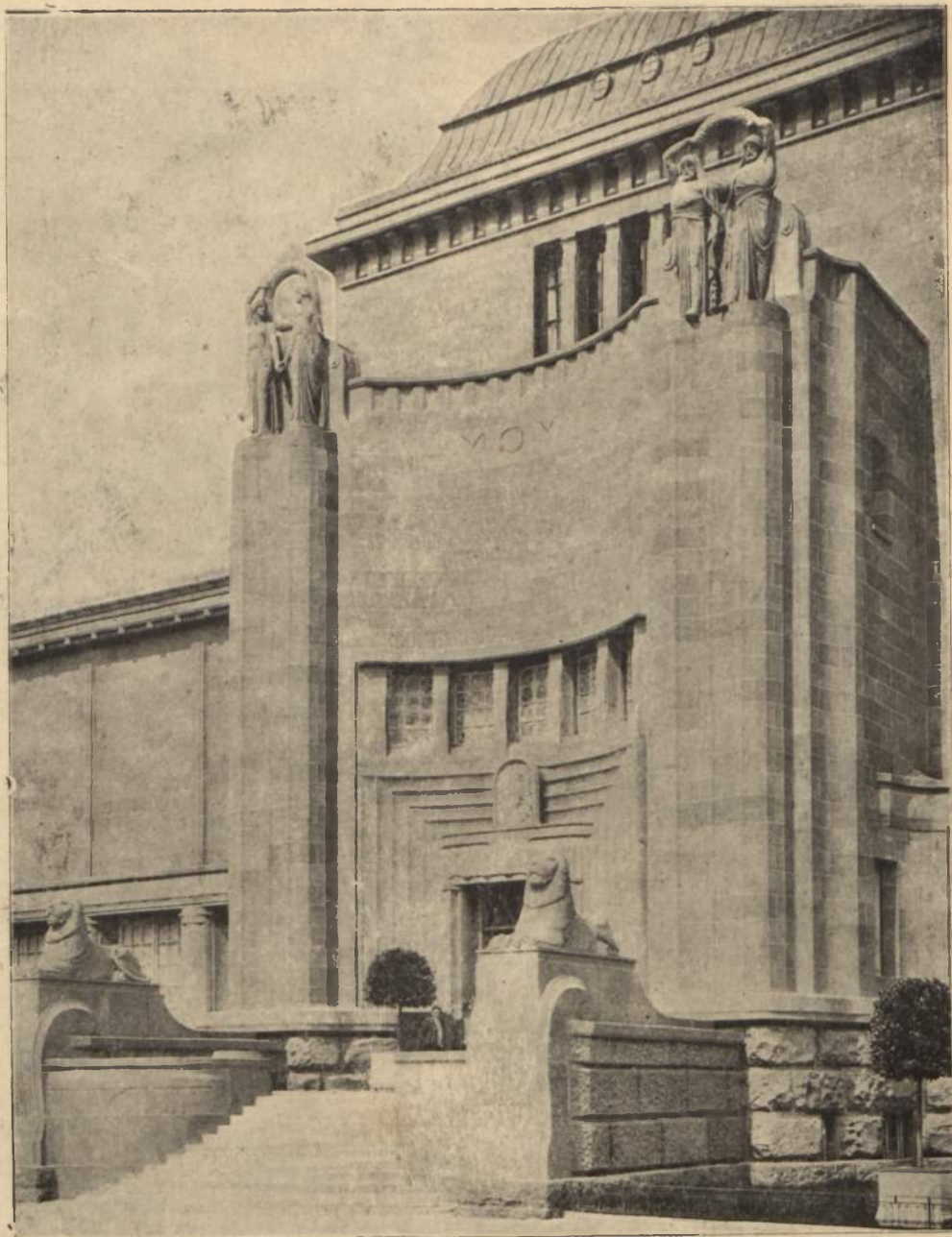


Wejście boczne do gm. Tow. Wzajemn. Kredytu na pl. Wareckim w Warszawie.
Arch.: F. Lilpop i K. Jankowski.



Gmach Towarzystwa Wzajemnego Kredytu na pl. Wareckim w Warszawie.

Arch.: F. Lilpop i K. Jankowski.



Pawilon Sztuki w Mannheim.

Prof.: Billing.

presyi. Można jednak zauważyć zbyt wyraźnie dążenie do wywołania efektu i brak swobody w kompozycji, pochodzący od powziętej z góry doktryny.

Niemcy, u których modernizm rozwinął się najbardziej, posiadają wielu wybitnych architektów w tej drugiej fazie modernizmu. — Jednym z najbardziej typowych przedstawicieli tego kierunku jest karlsruheński profesor Billing.

U nas modernizm niemiecki wogóle niewiele znalazł zwolenników. Mieliliśmy wprawdzie jednego wybitnego modernistę, w osobie ś. p. Talowskiego, prof. Politechniki Lwowskiej; dzieła jego mają jednak odrębny charakter, silnie indywidualny.

Trzecia z kolei przemiana, jakiej uległ modernizm, polega na silnem oparciu się na stylach historycznych. Przeszto się ubiegać o wywołanie efektu i zbyt silne podkreślenie własnej indywidualności. Twórczość stała się bardziej dyskretną i subtelną. Ornament odzyskał swe prawa, lecz takie tylko jakie mu są należne, to jest środka pomocniczego. Wszystkie szczegóły zaczynają się teraz coraz bardziej zle-

wać w jedną harmonijną, przemyślaną i głęboko odczuta całość.

Styłem historycznym, który stał się kanwą dla obecnej twórczości, jest prawie wyłącznie styl Pierwszego Cesarstwa (Empire).

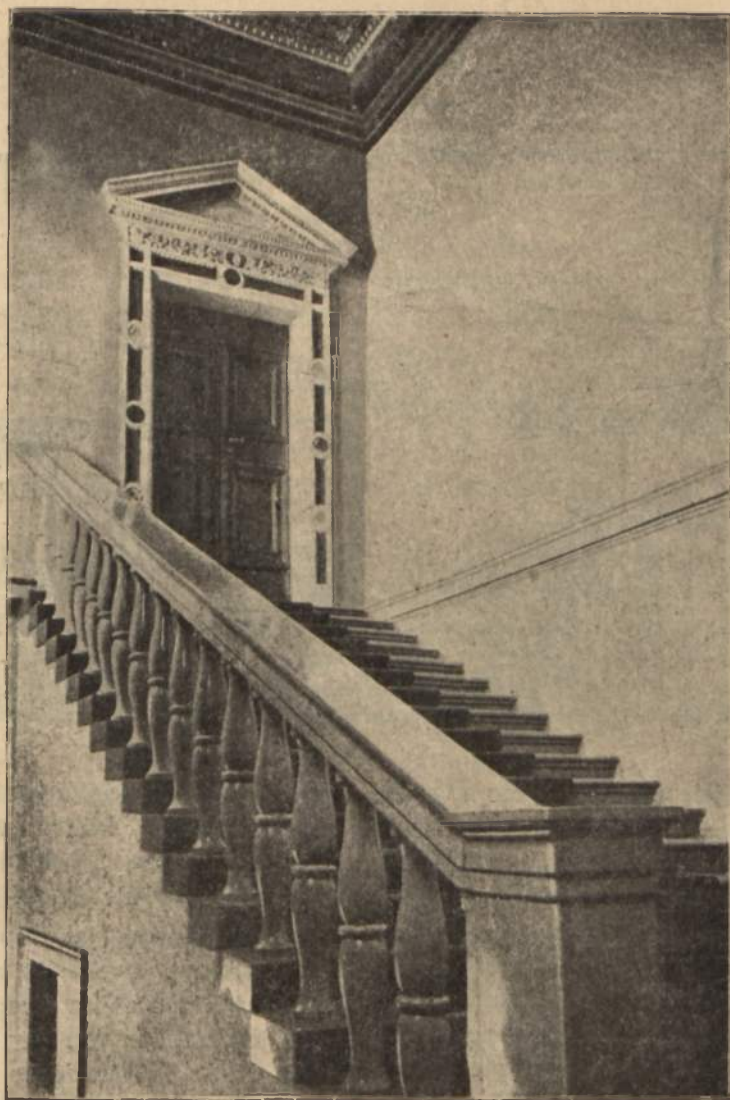
Na jego motywach osnuli swą nową pieśń, w kamień zaklętą, architekci rozmaitych krajów; widocznie jest on im duchowo najbliższy.

Ciekawem jest, że w miarę, jak tężeje ten najmłodszy kierunek, zaczyna odpadać od niego nazwa modernizm. Staje się on widocznie czemś tak zrozumiałem i blizkiem, że nie szuka się dlań etykiety.

Polski modernizm, w znacznym swym odłamie, wstąpił na odrębną nieco drogę; postawił sobie jako cel oprzeć swą twórczość przede wszystkim na podstawach rodzimych, na zabytkach dawnego naszego budownictwa.

Kierunek ten rozwinął się u nas silniej, niż gdziekolwiek — o tem jednak pomówimy następnym razem.

Architekt
CZESŁAW PRZYBYLSKI.



Szczegół klatki schodowej.

Arch.: Zóttowski.

PRACA i ŚWIĘTO.

Uznajonys jest pracą, przyjacielu. Myśl twoja, spojrzenie i kroki przez cały dzień są pełne trosk i wysiłków o zarobek. Ale przychodzi chwila — i praca staje się nieznośnym, niesłusznym ciężarem. Przeczucia, wspomnienia, oczy, słuch, mowa — wszystko to ukradkiem, po drodze, pracy zbiera polyski, melodyjne tony, szumiące echa, wiry, olśnienia, rozkoszną podniecie i omdlenie — wszystko chce się wyzwolić, zajaśnieć swym nabytkiem choćby blade, choćby na chwilę: wszystko domaga się święta. Podobnie jak chleb i poszanowanie, jest ono prawem pierwotnym człowieka; z niego wyrasta sztuka i piękno, żywi się niem wyobraźnia i wszystkie instynkty olbrzymieją i człowiek też. O tak — i ty znasz święto. Przedewszystkiem, tłok pobożny i wystękiwanie utrapień; szelesty kart żółtych i słowo mądrości znajomej; dobrotliwe pouczenie o marności świata, w które i sam kaznodzieja nie wierzy. Znasz też południowy gwar snobów wizytujących, znasz wieczorne różno-

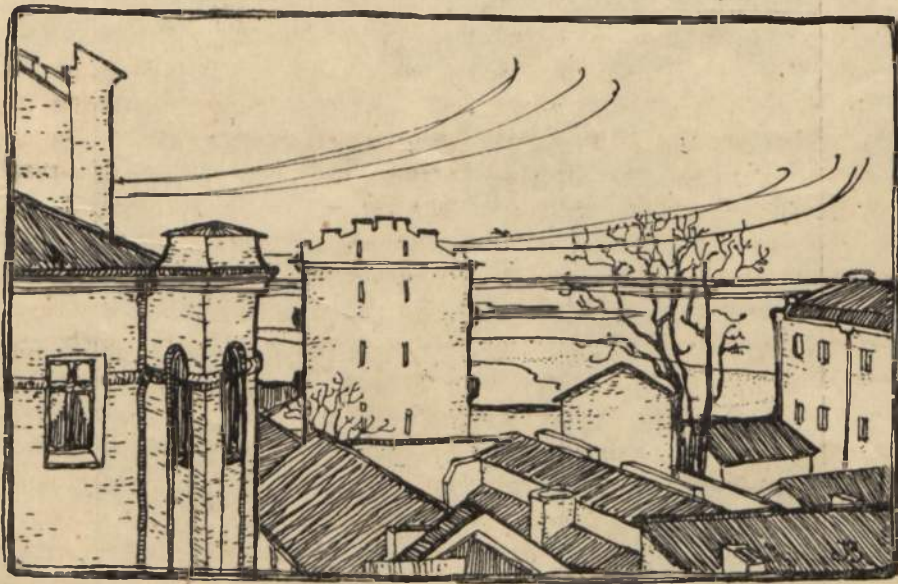
kolory lamp, lubieżność zabaw dozwoloną. Znasz już święto w nocnych spelunkach, ale dziwnie to wszystko cklive i zmierzłe. Tak, jakby dokoła sennego świeciły ognie skoczne, a sam on trwał w dusznym letargu w zmorze, w bezsile.

Prawda, bywasz w święta u małej swej przyjaciółki; jest ładna, wesoła i zalotna, ale sam mówisz, że najgorętsze słowo miłości stało się dla was oddawna niesmacznym conceptem błazeństwa — i święto wasze jest li zmianą kostiumu. Wszelako, przyszła mi jedna myśl do głowy! Pójdź po swoją przyjaciółkę: zaprowadzę was w miejsce, gdzie budzą się niespodzianki, a martwa otocz zaczyna mrugać znacząco. Może tam zaznamy święta prawdziwego, może też zostanie nam po niem czarowne niedomówienie, odbłask toni głębokiej, echo czegoś, co nie znikło, nie zmarniało, ale się czai, ale się gotuje i serca dotyka z uśmiechem raz po raz.

NA PROGU.

Dokądże nas prowadzisz — pytacie — na wycieczkę zamiejską? Lecz czyż to miejsce, gdzie możnaby usłyszeć odpowiedź na dręczące pytania, orzeźwić uczucie i myśli nie lekkoprzyjemnie, lecz głęboko i dziwnie.

Tak, nie inaczej! Przyroda będzie nam dawać odpowiedzi — drogą Przyrody otrzymamy do serca swego. Czyście nie słyszeli, czem ona bywała dla wielkich duchów. — Czem były pustynia Madjanicka dla Mojżesza, Szwajcarya dla Byrona, Atlantyk dla W. Huga? Czemuż nigdy was nie zajęła harmonia ozdoby roślinnej na witrażu świątyni, pociecha kwiatu na papierowym obiciu ubogiej ściany, świeżość kąta zielonego w sall balowej, tęsknota nieba między domami miejskimi, powab krajobrazu na wystawie, urok dekoracji drzew i gór na scenie, rzewność pierwszej zieleni w parku? To wszystko jest tylko pieśczętą dla zmaconych zmysłów, ale w nawach Przyrodzenia czeka nas jeszcze tłum spojrzeń i jasnych postaci, które są... patrzmyż uważnie — tak podobne do ko-



goś, tak dziwne a tak znajome. Coś się nagle kształtuje, wyjaśnia, uprawnia, woła silnym głosem. Zamiast drgawek i popchnięć, zamiast skrzyżowań i strzępów bezładu i myśli, zamiast znużenia wszelkich uczuć, mętów, wszelkich wrażeń, zamiast dyalektyki pseudo-naukowej i odruchów bez-

myślnych — spokojne, szerokie kręgi, świt, południe i zachód i gwiazdy każdego zjawiska, głos i westchnienie każdego nerwu człowieka w zestroju z powiewami dokoła. Patrzmy uważnie — ach, to my sami, to my!..

Oboje dziwnie jakoś patrzycie na mnie, lecz to nie metafora poetycka, to prawda bezpośrednia. Rolnik żyje w łanie zboża swego i szmacie pola — kto mu je wydrze, ten mu część życia wydrze; artysta żyje w dziele — kto dzieło zniweczy, ten artystę zabija na duszy; a wy?... Ach, prawda, pierwej wam muszę ukazać zjawiska, uderzyć nowym czarem po zmysłach. Tylko mi chciejcie, tylko oczekujcie!..



A otóż pole i łąka, w oddali ciemny las. Wszystko znajome od dzieciństwa, wydeptane, a jednak, jeśli nie od siebie, lecz od Przyrody zaczniemy... Ułam zielony pręt, przyjacielu. Mała przyjaciółko, zerwij ten jastruń i wetknij we włosy. Wiatr nadlatuje. Szeroko, swobodnie, od błękitnego horyzontu po górki lesiste, gania i wraca. Czujecie powiew swobody, zaprosiny do wszelkiej gonitwy! Duch lotny już nas porywa. Idźmy, biegnijmy, krzyczmy! Nikt w mieście nie biega, nikt też tam nie zazna słodczy wytchnienia. To jeszcze atoli nie wszystko: wiatr jest potrzebny i uczuciom. On je wywiewa i miecie w oddal, on nas uczy dążyć; on odkrywa własność najgłębszą każdego pragnienia: uzewnętrznienie się. Są to rzeczy nowe dla ciebie — wiem, jednak zważ tylko, jak zawsze i wszędzie potrzebna jest świadomości żywej opora zewnątrz, jak mało ma w sobie człowiek z rakiety, pryskającej tęczami w pustce niebios. Kołowrót doświadczenia i odpowiedzi osobistej jak na osi spoczywa na bryłach zewnątrz. Ten jest mocny, ten jest spokojny, ten jest lotny — kto zna swoje drogi, zna odbicia siebie w drugich, zna źródła i ujścia swych uczuć, zna hermonie i echa swych marzeń na tle przyrody, zna wygląd dzieła ukochanego, zna okrzyki zrozumienia, zna miłość, która nie jest niewolą, lecz pokarmem, zna przemożności nastroju swego i po-

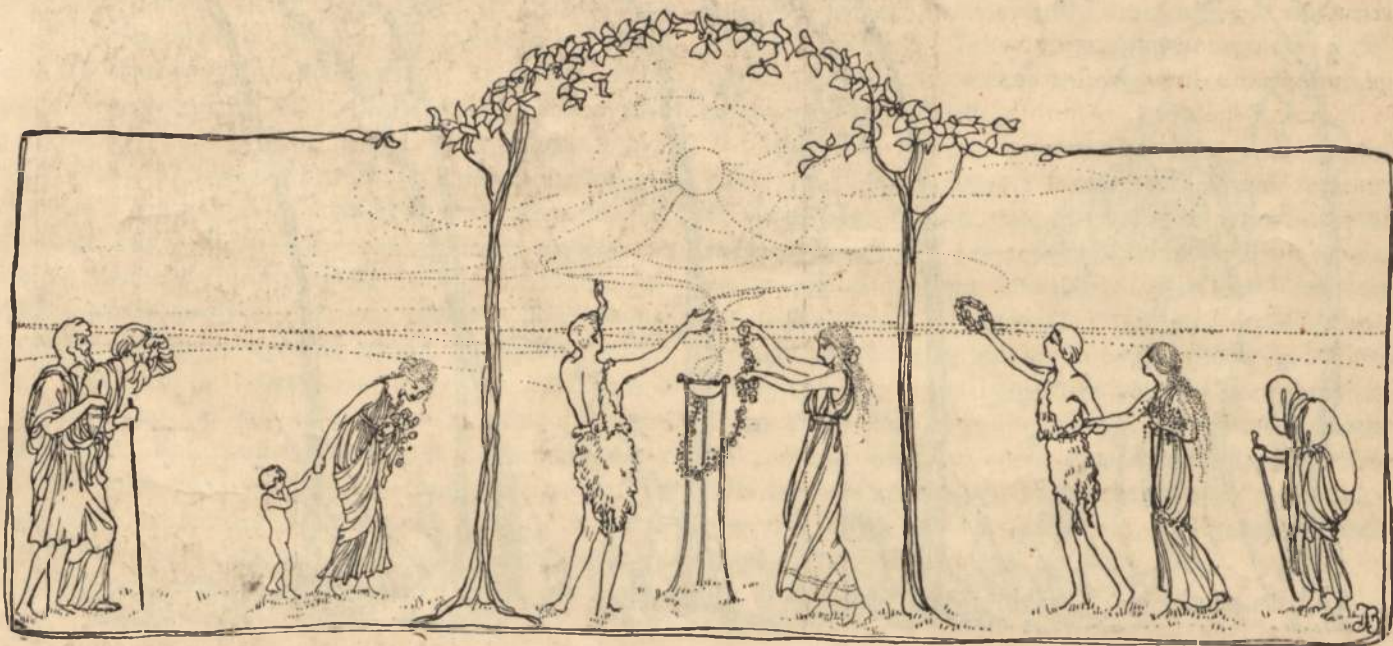
trafi je odbić w życiu. „Jak dziwnie tu chodzić — przerywasz mi, mała przyjaciółko — krok się płacze i zawadza o wszystko“.

Lecz czyż to źle, czyż nie czujesz zamiast brukowej obojętności, jakiegoś życia w każdym stąpieciu? Tu depcesz młodą trawkę i wysokie badyle, tam rozgniatasz złocistą grudkę gliny, omijasz kałuże, pełną błękitnych świateł, straszysz jaszczurkę, grzejącą się w słońcu. Ileż miłej pracy, ile uczuć zamiast sztywnego uśmiechu przechadzki miejskiej. Ty zaś, przyjacielu, oglądasz widnokrąg. Cudna to rzecz nie tylko dla stepowca. Oko pójdzie tam, śledząc pasma niw i przepadając w zaroślach co chwila. I wywleka się na jaw raz po raz nowina, w którą domysł całe obrazy kładzie. Właśnie ten domysł, ta gra wahań, ta gonitwa i otwarta nagle pewność jest rozkoszą nieporównaną. Ci, którzy zgłębiają symbole ludzkie, ci jedni znają podobne uczucia.

Są to wielkie i twórcze uczucia: w ich objawieniu wyrasta i szerzy się jaźń sama: świadomość, wola i siła.

Wieczór się zbliża. Jak ciepło, pogodnie, szeroko! Całą niemal powierzchnią ciała pijemy ze światła wrażeń, gubiąc się w jego nowościach co chwila.

O przyjacielu, może zaczniesz odczuwać to, coś już pojął.



Patrzyłeś nieraz na piękne obrazy, i malowane oblicza patrzyły nawzajem. Groźne twarze królów i książąt, nadęte policzki kardynałów, fałszywy uśmiech pięknych kurtyzan — i niby żyły przed tobą.

Patrzyłeś na stos pamiętek po biednym samobójcy: stary kaftan, co leżał na podłodze i książki otwarte i rozrzucone i listy zmięte i niedopalone, niby żyły przed tobą.

Patrzyłeś w podróży na ruiny miast, na spalone mury bez dachu — i niby żyły przed tobą.

Słuchałeś dalekiego gromu, co zapowiada grad i pożary, patrzyłeś na niebios mrugania błyskawicowe — i niby żyły przed tobą.

Dziwne to jakieś uczucie: im dłużej się coś czuło, tem silniejszym stawało się złudzenie. Zresztą może nie było to wcale złudzenie, bo ty sam jesteś wszędzie, a jesteś żywy przecie.

Słońce już zachodzić poczyna: ognisty krąg się zniża, patrzy w oczy, wiąże każde spojrzenie. A dookoła, niby kędziory jakieś, rozmiotły się lśniące chmury. Cały okrąg ziemi płonie i skupia się w tym widoku. Czerwień zapala i w nas uczucia, podnieca oczy, napawa siłą, unosi jak hymn.

Luneta i pryzmat odkryły tajemnice składu i formy słońca, ale nie o tem myśleć teraz. Uczucia mówią za nas.

Czem jest słońce dla człowieka i ziemi? Spróbuj wyobrazić, czem byłby człowiek i ziemia bez niego. Czy mogłyby istnieć rośliny, zwierzęta, pokarmy

wszelkie, ciepło, widnokrąg, niebo dzienne. Czemże byłoby wtedy nasze życie i co byłoby warte, gdyby nawet wiedza umożliwiła je jakoś?

Zapytaj górników w głębokich szybach, więźniów w lochach i ślepców. Nasza wiedza, co bada wzruszenia i instynkty pierwotne, omija uczucia słońca, ciemności i oddali i wiele innych, jednak mówią wybrani o nich. Martwym było słońce wprawdzie dla Jeremiasza i dla Firmyka, ale żywym było dla mędrców greckich, i dla cesarza Juljana, dla Keplera, Goethego, dla tych Wielkich, którzy uczuciem potrafili wrastać w dzieła Przyrodzenia. To nie jest żaden zabobon, to jest światło mądrości, to bogactwo i pycha, umieć zanurzyć się z szeptem pragnienia powitania i tajemnicy w kształty martwe pozornie. Ten jest akord ostatni i najwyższy co ze szczytu gmachu rozmyślań i obliczeń całością zabrzmi uczucia. A jakżeż ominiesz słońce, skoroś się w rozmyślaniach uczuł jego zwierciadłem: jakże o niem zapomnisz, jeśliś skojarzył słowo żywe i wyciągnięte dłonie z kolistym ognia życiodajnego, a myśli z porywem mitrejskim ku najwyższej potędze widzialnej?

Nic mi nie odpowiadasz, ale snądz patrząc na słońce, jak Manfred, żegnasz oświeciciela dróg i myśli.

O tak! tylko patrzmy, tylko czujmy, tylko nazywajmy zjawisko. W powtórzeniu, w echu, w ponawianym odgłosie pytań, opowieści i spojrzeń, wyłoni się dziś dla nas znużonych, jak ongi dla starożytnych — Oblicze.

KSIEŻYC.

Fale zmierzchu wypełniły przestwór.

Z południowych okręgów bije miedziana luna. Wciąż coś się dzieje na niebie. Oto namiestnik słońca ma nadejść, wierny towarzysz ziemi. Już ukazał się cicho czerwony, ognisty róg, na który patrzyli chaldejscy astrologowie, hebrajscy prawodawcy i średniowieczni uczeni. Z jego odmian płynęły kultury religijne, podział miesięcy i tygodni, własności hipnotyczne, przesady i zabobony. A dodałszy poetów... W dziejach cywilizacji, w dziejach ludzkich uczuć, moc satelity ziemi pysnie się zarysowała; równy on królom i prawodawcom, zaiste! Przypatrzmyż mu się uważnie: płonie coraz ognściej, coraz dziwniej. Bo kimkolwiek jesteś, czujesz przyjacielu, że księżyc ma wyraz swój szczególny w duszy twojej i wpatrzonemu oku swe znaczenie objawia.

Co za znaczenie?

Nie silmy się na dokładną odpowiedź. Nie wszystko w nas jest jasne i ociosane. Znamy echa bezimiennie, wzruszenia kołujące, cienie szybkie... Księżyc to niby twarz, postać, skinienie, kopuła... To jedno czyż nie urzeka? A ten jego świat dokoła, tak dziwny? Istotnie, kto mógłby teraz poznać dokładnie drzewo, twarz, budowę, nie widziawszy jej przedtem we dnie? Zarysy poblizkiego otoczenia, chwiejne i jednobarwne, są podobne do kłębow uczuć jakichś. Ich cień i nieokreśloność budzą sto pytań falujących, wabią ku jakiemuś błakaniu to oczy to myśli.



Aż rozplyną się w zielono-srebrnej kurzawie oddali i usną lunatycznie.

Czyż nie czujemy się we władzy potężnego księcia nocy? Czyż możemy prowadzić rozmowy jakie chcemy, myśleć o czym chcemy, zapomnieć o nim? Czyż nie jesteśmy romantykami?

Ot, ty, mała przyjaciółko, czemu nie śmiejesz się, nie mówisz o akrobatach cyrkowych lub miłośkach? Oczy twe stały się duże i patrzysz nieruchoma na złote grzywy chmur — i słuchasz szelestu rokity.

Gdy się jednak zapytam co czujesz, odważnie mówisz: nic!

Zapewne księżyc jest umarłym globem, cementaryskiem zimnem, a nastrój nocy to sugestia, której się wstydzisz; ale walcz że tu z mocą chwili. Bądź taką jak we dnie. Roześmianą, zalotną, swawolną, słowem — sobą.

Nie możesz — aha!

L. KONOPACKI.

HYMNY RIGWEDY.

Rigweda jest najstarszym pomnikiem poetyckiej twórczości ludów indo-europejskich, do których należymy i my — Polacy. Składa się ona z tysiąca dwudziestu ośmiu hymnów, z których najdawniejsze powstały na dwa tysiące lat przed naszą erą, jeśli nie dawniej. Stanowi pierwszą i zarazem najstarszą część Wed, czyli świętych ksiąg hinduskich — tej istotnej i jedynie prawdziwej Biblii aryjskiej. Spisana jest z tradycji ustnej w starożytnym języku ludowym, z którego później powstał sanskryt — klasyczny język Hindusów.

W Europie Rigweda znana jest dopiero od połowy zeszłego stulecia, ale niemal wyłącznie tylko w kołach uczonych. Obecnie dzięki wielu pracom filologów znajomość jej zaczyna przenikać do naszych warstw wykształconych. W Polsce znany sanskrytolog p. Stanisław Michalski wydał przed kilku laty

polski przekład niektórych hymnów p. n. „Czerdzieści pieśni Rigwedy“. Z tego uczonego i bezwzględnie ścisłego przekładu przełożyłem wierszem kilka pieśni, z których dwie podaję poniżej, mianowicie „Do nieznanego Boga“ i „Do Nocy“.

Dwa te hymny należą do najpiękniejszych w Rigwedzie. Winienem czytelnikom kilka do nich objaśnień przedewszystkiem natury technicznej.

W hymnie „Do nieznanego Boga“ wiersz przekładu mego jest jedenasto-zgłoskowy — tak samo jak w oryginale i jak w przekładzie filologicznym. Tylko ostatnią, dziesiątą strofę ująłem w trzynasto-zgłoskowy wiersz, a to w tym celu, aby w samej już formie odznaczyć, że strofa ta jest późniejszym do pierwotnego hymnu dodatkiem, jak tego naukowe badania dowiodły. Pozatem strofa ta, jako uroczysty finał, nawet z punktu widzenia czysto artysty-

czego zyskuje na takim odznaczeniu. Zmianę tę usprawiedliwia nadto fakt, że w Rigwedzie często trafiają się hymny z niejednorodną miarą wierszową.

W oryginale i w przekładzie filologicznym pieśni Rigweddy nie posiadają rymów. Moje przekłady są rymowane, ponieważ sądzę, że dla osiągnięcia pełnego wrażenia ucho nasze bezwzględnie tej muzykalności wymaga. Pomimo rymów przekład mój, jakkolwiek wolny, nigdzie od ducha oryginału nie odbiega, a jedynym, małym i tylko formalnym odstępstwem w hymnie „Do nieznanego Boga“ jest trzeci wiersz drugiej strofy, który tak wyraziłem: „Śmierć, nieśmiertelność — to jego wezglowie“, podczas gdy oryginał brzmi: „Odblaskiem jego — śmierć i nieśmiertelność“. Gdy jednak weźmiemy pod uwagę że wyrównanie oryginału dąży jedynie do wyrażenia ogromu Boga i nie może być brane dosłownie, to i to tyraństwo rymu da się zupełnie usprawiedliwić.

Pieśń „Do Nocy“ w oryginale trzymana jest w wierszu ośmioletkowym, zaś w tłumaczeniu filologicznym — w dziesięciozłogowym. Uznałem za rzecz wskazaną powrócić do miary oryginału i swój przekład „Do Nocy“ utrzymałem w wierszu ośmioletkowym. Ponieważ każda strofa tej pieśni w oryginale składa się z trzech wierszy, więc ująłem całość w prawidłową tercję; z tego powodu po ostatniej strofie musiał nastąpić jeszcze jeden wiersz, który tu wypadł bardzo na miejscu, jako naturalne zakończenie pieśni; dokonałem tego przez rozbitcie jednego wiersza ostatniej strofy na dwa.

Być może, iż niejednego czytelnika urazi w czwartej strofie pieśni „Do Nocy“ zwrot ludowy: „idziewa“, mianowicie: „Tyś nasza! Z tobą idziewa spać wszyscy — za chatą chatą“. Muszę więc tu przypomnieć czasy i lud pastersko-rolniczy, wśród którego hymn ten powstał. Mało lub wcale nie różnił się on od naszego wieśniactwa, które do dziś tego zwrotu używa. Zwrot ten sam tu się naprasza nie tylko przez podświadome poczucie rymu następnego („na drzewa“), ale i przez poczucie archaizmu, który i w innych strofach obu hymnów, gdzie można uwzględnić.

Oto wszystko, czem od strony formalnej uważam za obowiązek objaśnić swoje przekłady. A teraz powróćmy jeszcze na chwilę do Rigweddy.

Jak fundamenty ducha semickiego zarysowane są w całości w Biblii żydowskiej, tak fundamenty ducha aryjskiego w całości i z wielką potęgą rzucone są w pierwotnej literaturze hinduskiej.

W stosunku swoim do przyrody już w tych pradawnych czasach objawia Arya duszę mocną, wrażliwą, bogatą i szlachetną, a nadewszystko — czystą. Siły przyrody upostaciowane wszędzie, wielu dokoła bogów, którym się żertwy składa i do których się zanoszą modły, a mimo to ani przyroda za osobami tych bogów nie znika z przed jasnych oczu Aryi, ani tajemnica jedynej Praistoty, Początku Wszechrzeczy, do którego progów już Rigweda dociera, czego między innymi dowodem jest hymn „Do nieznanego Boga“.

Przyroda żyje w Rigwedzie życiem wszechstronnym, poetycznym, chwilami wzruszająco-naiwnym. Zmierzchy, noce, jutrzenki, burze piorunowe, deszcze pożywne, wichry, obłoki, lasy, rzeki, krowy, żaby, — wszystko dokoła i miłe i groźne znajduje w Rigwedzie jasne odbicie, mocne zrozumienie, męskie ukochanie.

Lud ten niewyczerpany jest w odnajdywaniu słów i porównań najpiękniejszych, dla wychwalania zjawisk nocy i dnia, ziemi i nieba. To też często się wznosi do tak wzniosłych tonów i wytwornych nastrojów, jakich żadna już późniejsza kultura prześcignąć nie zdoła. Proszę na chwilę zastanowić się nad majestatem pierwszego z podanych tu hymnów, nad artyzmem i subtelnością drugiego: czy wiele równej piękności i harmonii natchnień znajdziemy w poezji świata? Prostota i naiwność — pozorna zresztą naiwność — jeszcze im czaru dodają.

Trudno, doprawdy, naiwnością nazwać porównanie słów do krów, a układania pieśni dla bogini — Nocy do napędzenia stada w dań dla zwycięzcy. Pasterz i rolnik tworzył te pieśni, zapaśnik i wojownik. Jeżeli nawet natrafiamy w Rigwedzie na naiwności, to ich odwaga, siła i świeżość raczej nam zawstydzają się każą, nam — współczesnym, zwłaszcza autorom słabych wierszyków.

W jednym z hymnów taką oto jednym tchem wyrażoną znajdujemy modlitwę: „O deszcz błagalny i o nieśmiertelność!“ W innym Wiswamitra prosi rzeki, by uchyliły nurtu głębokiego, bo chce je przebyć bezpiecznie wozem w byki zaprzężonym. Więc mówi: „Niech nie uderza fala w jarzmo, wody, odrzućcie wasze sznury, i tym bezgrzesznym, dobrym bykom niech żadna szkoda się nie stanie!“

Może to w nas pewną wesołość wywoła — te dobre byki bezgrzeszne i to na równi postawione pragnienie deszczu i nieśmiertelności? Kto jednak oprócz chwilowego uśmiechu nie poczuje z tych słów bijącej jedności wszechstworzenia i nie dojrzy jasnego wszechogarniającego zmysłu pierwotnego poety, tego uśmiech tylko pustkę własnej duszy zdradzi.

Lud, który z takim zrozumieniem, ukochaniem i dumną mocą podchodzi do przyrody, podejdzie i do Boga w ten sam sposób dostojny. Istotnie niema w Rigwedzie ani cienia tej niewolniczej pokory i strachu ze strony ludzi, ani tej uczciwości i fanatyzmu, ze strony Boga, jakie widzimy w żydowskiej Biblii. Człowiek stwarza Boga na obraz swój i podobieństwo.

Pomysł przedstawienia najwyższego i nieznanego Boga w postaci „złocistego kielka“ jest nie tylko piękny i wzruszający, nie tylko świadczy o rolniku ziemię i zboże kochającym, ale i o głębokim, filozoficznym umyśle rolnika owego, sięgającego jednym rzutem myśli do istotnej bytu zagadki. Bowiem i dziś poprzez ogrom nagromadzonej wiedzy zmysły największych filozofów do kielka tego docierają i zatrzymują się w milczeniu. gdyż tu jest zawarta niedocieczona tajemnica życia — w tym właśnie kielku złocistym, przechowującym w sobie pierwszą siłę, pierwsze drgnienie organizmu.

Jak wielkie zasoby umysłowe posiadał ów lud już w założeniu swoim, niechaj zaświadczą dwie końcowe strofy jednego z najdziwniejszych hymnów Rigwedy p. n. „Początek rzeczy“. Poeta zastanawia się nad stworzeniem świata i wreszcie zapytuje:

„Ale kto wie to wszystko, kto mógłby wyjaśnić,
Skąd wszystko to powstało, skąd ta nowa twórczość
Bogowie są stworzeni wraz z stworzeniem świata,
A więc któż może wiedzieć, skąd wszystko powstało?

I stąd cała ta różność powstała w twórczości? —
Ten, kto ją stworzył może, lub może nie stworzył,
Ten, kto jest władcą wielkim w najwyższych niebiosach,
Ten wie zapewne wszystko, a może też nie wie?“
(przekład St. Michalskiego).

Ostatnie spokojne, jakgdyby szeptem wymówione pytanie nadlatuje do nas poprzez tysiącolecia nic na swej grozie i potędze nie tracąc. Nie dziw, że lud ten rozwinął następnie myśl filozoficzną do rozmiarów i głębi, które dotychczas nikomu przekroczyć się nie udało.

Tak oto pełne polotu poetyckiego, siły umysłowej, dostojności moralnej miłości życia i przyrody, czystości i szlachetności w stosunku swym do Boga i do człowieka, do miłości kobiety i dziecka, poważna w obliczu śmierci, prosta i rycerska, wolna od fanatyzmu, równie religijna, jak myślą niezależna jawi się przed nami własna ducha naszego kolebka, święta przeszłości naszej księga. Na powitanie jej ze czcią

się pochylają uczone nasze księgozbiory i twórcy powstają.

Dla myśli polskiej literatura hinduska z Rigwedą na czele stać się może tem, czem deszcz wiosenny dla ziemi. Wyzwoli wszystkie ukryte w niej, obcym stłumione nalotem i dotychczas wcale niemal nie objawione pierwiastki samorodnej i z duchem polskim zgodnej filozofii, która, mając nadto już gotową przez narody zachodnie dokonaną a olbrzymią pracę naukową, będzie mogła w całej świeżości i pełni rozkwitnąć, by w przyszłość daleką i tym również górnym szlakiem naród nasz poprowadzić.

A oprócz myśli nie jest-że Rigweda nieśmiertelnym poezji pierwowzorem? Tak w prostej linii zstępnej pokrewna nam, tak blizka mimo tysiące lat trwającej rozłąki, tak świeża, tak niemal sianem polskich toków pachnąca i śpiewna obór naszych porykiem — Rigweda może i powinna się stać nowym, żywym i dobiecującym źródłem twórczości naszej poetyckiej i jej myślowych i moralnych założeń.

Dlatego też pragnąć należy, by czempredzej i Rigweda i cała literatura hinduska w przekładzie polskim ukazać się mogła, aby tym sposobem otworzyły się nad nami otchłanie naszego własnego, ąryjskiego nieba i abyśmy mogli z dymem wspomnień puścić oschłe niebo semickie, dotychczas nad nami wiszące.

DWA HYMNY Z RIGWEDY.

(Z przekładu filologicznego wierszem przetłóżył
St. Pieńkowski).

DO NOCY.

1. Noc idzie — Pani dostojna,
Tysiącem oczu spoziera
Bogini w klejnoty strojna.
2. Przewór napelnia i zwierza,
Złote gór szczyty zagasza,
Gwiazdami mroki przeciera.
3. Siostrę swą — zorzę wypłasza
I cicho szatą powiewa,
Zwolna się ciemność rozprasza.
4. Tyś nasza! Z tobą idziewa
Spać wszyscy — za chatą chata,
Jak do gniazd ptactwo na drzewa.
5. Wszystko, co biega i lata,
Nawet jastrzębie — drapieże, —
Wszystkim sen w oczy kołata.
6. Złodzieja, wilka w obierze
Schwyć, falo, oćmy szponami,
Lecz dla nas ułatwiaj ścieże!
7. Czarność mnie lśniąca perlami
Objęła: pomrok iskrowy...
Teraz ty, jutrznio, bądź z nami!
8. Jak dla zwycięzcy w dań krowy,
Tak tobie pieśń tę — naganką
Prostymi napędzam słowy —
Przyjmij ją, Nocy, niebianko!

DO NIEZNANEGO BOGA.

1. *Złocisty kielek wstał w brzasku istnienia
I był jedynym władcą z urodzenia.
On rozlał morza i utwierdził światy —
Któremu-ż Bogu złożymy objaty?*
2. *On daje oddech, moc. Co on zapowie,
Świat spełnia, wszyscy słuchają bogowie,
Śmierć, nieśmiertelność — to jego wezglowie —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
3. *Własną swe włości potęgą rozszerza
I oddech ziemi i jej sen odmierza,
On — król człowieka i ptaka i zwierza —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
4. *Jego ogromem wstały gór korony,
On morza, pono, spiał w lądów opony,
Ramiona jego — cztery świata strony —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
5. *On nieba wielkie i ziemię utrwalił,
Na widnokręgu on słońce zapalił,
W bezdrożach bytu on wymierza światy —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
6. *Ku niemu patrzą wojsk wrażeń czerniawy
I sercem modlą się pełnem obawy,
On zorzy wschodniej blask roznieca krwawy —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
7. *Gdy ongi wielkie prawody z rozgwarem
Spłynęły ognia obarczone darem,
On oddech bogom dał tchu swego żarem —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
8. *Źrenice jego ponad wód rozłogi,
Z których jest siła i żertwa bez trwogi,
On — Bóg jedyny ponad wszystkie bogi —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
9. *Niech nam nie szkodzi On — światów rodziciel,
Wielki w swej prawdzie, On — nieba stwórczytel,
Który dał ziemi mórz przezrocze szaty —
Któremu-ż bogu złożymy objaty?*
10. *O, Pradžapati! Nikt!... Nikt inny ponad tobą
Tego ogromu bytów nie ogarnia sobą.
Wśród żertw błagamy; niechaj nam szczęście włodarzy,
Niech nas bogactwem szczodra twa ręka obdarzy!*

WIECZORY TEATRALNE.

III.

Zaczął się już cykl przedstawień obrazujących historyczny rozwój dramatu polskiego. I zaraz się okazało, że tym wieczorom teatralnym przeznaczonym jest zapisać się trwale w pamięci uczestników. Wstępny odczyt p. dra Günthera nie rzucał kwiatów retoryki, nie olśniewał nowością poglądów, nie wywoływał nastrojowych dreszczów, ale był ściśle rzeczowy, umiał powiedzieć, co potrzeba, i tym, którzy o Kochanowskim i Zabłockim coś już wiedzieli, i tym, którym dopiero coś powiedzieć należało.

A potem poszła „Odprawa posłów greckich“. Pokusa była wielka, by dać ją tak, jak ją niegdyś widziały oczy Stefana Batorego. Tylko jak ona wtedy wyglądała? O inscenizacji teatru Elżbiety angielskiej wiemy coś niecoś, — o polskim teatrze „Złotego wieku“ nic i pozostają nam jedynie wątpliwe domysły i niebezpieczne eksperymenty Teatr Kijowski nie wszedł na tę nęcącą lecz śliską drogę: chciał dać „Odprawę“ w tym zewnętrznym kształcie, jaki my dzisiaj uważamy za formę klasycznych przedstawień. Czy za chęcią poszło i wykonanie? W całości tak, w szczegółach były odchylenia się od zamierzonej linii, ale gniewać się o to nie można, bo jeśli nie było dotąd doskonałego przedstawienia Kochanowskiego w ogniskach polskiej kultury i w najkorzystniejszych warunkach, to jakżeż go żądać tutaj, na kresach i to w wojennym czasie? W postawie i tonie p. Tarasiewicz jako Antenor dał najpełniejszą wizję starogreckiego dramatu; poseł p. Szymańskiego, wyjęty z tych ram miał ogromną żywość i wyrazistość, ale właśnie dlatego nie dostrajał się do spokojnej koturnowej całości. O dwóch debiutantkach nie można jednym tchem mówić. p. Saryusz (Helena) musi koniecznie usunąć rosnące wadliwości wymowy i wyrobić w sobie artystyczną szczerść; p. Prawdzic (Kasandra) umiejętnie rozporządza dźwięcznym i szlachetnym głosem, a ma przytem sceniczny nerw tak, że piękną wolno jej wróżyć przyszłość w teatrze, gdy do wrodzonych i nabytych już zalet dołączy się i wprawa w umiejętnym stopniowaniu; sędzę, że po tym pierwszym występie wystąpią inne w samym cyklu, w „Księżu Niezłomnym“ n. p. i w „Wyzwoleniu“ jest miejsce dla tego pięknego talentu. Bierząc udział w chórze panie trzeba pochwalić za trudną rytmiczną deklamacją; tylko, czemu one nie były wszystkie jednakowo ubrane? grecki chór nie znosi przecież indywidualizowania. Wogóle strona kostyumowa najmniej mogła zadowolić. Trojańczycy, naród wschodni, azyatycki, nosili spokojnie szaty greckie, grecki zaś jeniec był po barbarzyńsku „bajecznie“ kolorowy.

Po poważnym Kochanowskim pokazał się widzom lekkomyślny Zabłocki. I to właśnie było mądrością, sztuką i zasługą teatru, że ten kontrast tak wyra-

ziście uwydatnił. Wszystko w „Fircyku w zalotach“ uśmiechało się do z zalotnością i wdziękiem lekkomyślnego ale tak miłego rokoka. Drabik dał uroczą dekorację, której kwiaty zdawały się rozmazująco pachnąc, stroje pań i panów były przepiękne i doskonale zharmonizowane (rzecz nawet na dużych polskich scenach niesłychanie rzadka!), i gdyby nie pewne, małe zresztą przejawienie w charakterystyce twarzy, (w naszym teatrze dość często, całość byłaby wzrokowo tak idealna, że nawet tak surowy sędzia, jak niżej podpisany, miast sądzić, rozplakaliby się z zachwytem, a na tem tle rozwijała się i wyjątkowa gra aktorów. Nikt nie grał słabo, tem mniej źle, a kilka ról wypadło wprost „koncertowo“. Pan Osterwa nie wdawał się w psychologiczne pogłębienie dokonywanej się w starościcu przemiany fircyka w kochankę, ale wyglądał, mówił, grał mimiką i gestami tak zachwycająco, że ktoś o nim powiedział iż w „Studyach“, gdzie niema srogiego przedzielenia widowni od sceny, byłby w tej roli niemożliwy, bo publiczność, a zwłaszcza — panie wbiegłyby na scenę, by wyściskać tak rozkosznego „fircyka“. — P. Larys-Pawińska jako podstolina miała swój „piękny dzień“ (tylko koniecznie, gdy starościc mówi: „Czemu taka zmieniona“, trzeba toaletę chociaż częściowo zmienić). Pustak p. Jaracza był w najlepszym stylu zabawnych molierowskich służących, a dzielnie sekundował mu Świstak p. Daczyńskiego; p. Brokowski w roli Arysta przedstawili się kijowskiej publiczności, jako bardzo zdolny i wprawny aktor. Słowem kijowskiego „Fircyka w zalotach“ powinni widzieć wszyscy lubiący teatralne wieczory, a raz go zobaczywszy, długo go mile i z wdzięcznością dla kierowników teatru wspominać będą. I niechaj pełne powodzenie tego pierwszego cyklowego wieczoru będzie dobrą wróżbą dla dalszych.

Ale przy tem najważniejszym nie wolno zapominać o dwóch innych przedstawieniach przypadających na bieżący okres sprawozdawczy. Bez wzruszenia można mówić o komedii, przy której nazwiska autorów nic nie mówią: Aderer i Ephraim (tak, Ephraim), ale tytuł za to: *Tacy wszyscy* chce bardzo wiele powiedzieć. „Tacy wszyscy“, to znaczy: my, mężczyźni, wszyscy jak hr. de Latour Guyon — kochając niby to żony, kochamy równocześnie niby to kochanki, i jednym i drugim przysięgamy, że tylko je kochamy, — że nigdyśmy tak nie kochali i nigdy tak kochać nie będziemy. Nie mając mandatu od towarzyszków męskiej niedoli, nie będę nawet usiłował obalić „tezy“ autorów, zdaje mi się jednak, że trzeba już przyjść do teatru przekonanym o jej prawdziwości, aby się pp. Aderowi i Ephraimowi dać przekonać..., bo ta znajoma pani, która po tym wieczorze z całą siłą kobiecego przekonania rzuciła mi

miażdżące słowa: „wy wszyscy tacy“, ta pani powiedziała mi je już ze sto razy wtedy jeszcze, — kiedy nazwisko Aderera było jej zupełnie nieznane — a Ephraim był dla niej tylko staro-zakonnem imieniem... Nie zła, ale obojętna sztuka grana była poprawnie i porządnie. P. Chaberski, tak strasznie przez pp. Aderera i Ephraima oczerniony, grał hrabiego z wyrazistą równowagą, dowodzącą i talentu i techniki scenicznej, p. Larys-Pawińska jako żona bardzo szczerze oddała i pierwsze małżeńskie szczęście — i pierwszy małżeński ból i pierwszy (tak, pierwszy, ale nie ostatni) tryumf żony nad kochanką; p. Gellówna, której szanowna spółka autorów kazała być kochanką hrabiego, była zapewne zadowolona ze swej roli, bo ku zadowoleniu publiczności mogła w niej pokazać zdolność szczerych i silnych akcentów dramatycznych.

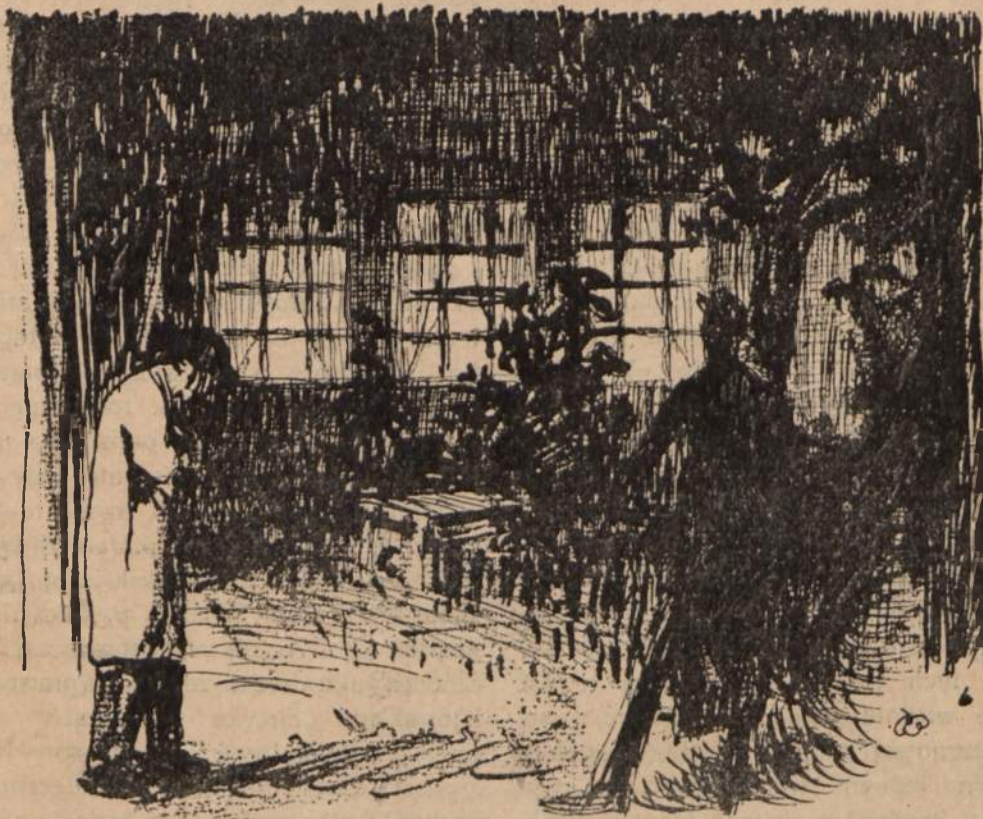
Osobliwy charakter miał wieczór na którym odegrano „Dzikie pola“ p. Kazimierza Dunin-Markiewicza. Wszakchodziło tu i o autora, wśród nas żyjącego i wielu z nas znajomego, i o odmialowanie miejscowego, ukraińskiego środowiska w tej jego sferze,

która wszędzie wiele znacząc, w polskość Rusi znaczy jeszcze więcej: w sferze ziemiańskiej. Zaraz na początku zastrzedz się osobiście muszę, gdyż jako przybysz z innych stron Polski nie mam dostatecznych podstaw do odpowiedzi na niepokojące wielu pytanie: czy p. Markiewicz trafnie i wypukle scharakteryzował w swym dramacie polską szlachtę na Ukrainie. Zaznaczyć tylko mogę, że wśród publiczności teatralnej odemnie kompetentniejszej, słyszałem głosy, jakoby autor przedstawiał to środowisko zbyt jednostronnie, zanadto ujemnie, szczególnie o ile chodzi o panie polskie z Ukrainy, które są lepsze i mądrzejsze niż „heroiny“ p. Markiewicza. Ale zdaje mi się, że wogóle na ten „lokalny“ koloryt sztuki p. Markiewicza nie należy kłaść zbyt silnego nacisku. Ostatecznie „polsko-ukraińskim“ jest tylko pierwszy akt, będący ekspozycją dramatu; druga odsłona zatracca już ukraińską barwę, zachowując jeszcze polskość, trzecia zaś wytwarza atmosferę czysto dramatyczną —

z odcieniem melo-dramatycznym — oderwaną już i od Ukrainy i od polskość. Bo, że hr. Józef Przemilski ma wielkie powodzenie u kobiet, mimo, a raczej dzięki temu, iż pozuje tylko na czułego i pięknego gestem, pozwala się kochać — to przecież nietylko w polskich dworach na Ukrainie się zdarza, pp. Aderer i Ephraim powiedzieli nam iż „tacy wszyscy“. I nie wiem czy specyficznie polsko-ukraińskim jest tenże sam piękny młodzian w tem iż kochając się również w sztuce, tanio kupuje od ekonomów obraz Watteau, by go drogo handlarzowi odsprzedać (pomyłki co do autentyczności pendzla nie wykluczone). I oderwanem od tej czy innej gleby jest zakończenie dramatu, gdzie uwiedziona dziewczyna i uwodziona — uwodzająca mężatka podają sobie czule

ręce, a bez pożegnania opuszczając uwodziciela.

Mniejsza więc o ukraiński tytuł i ukraińskie środowisko „Dzikich pól“. Weźmy sztukę jako taką. Jest bardzo ciekawa. Ma nerw sceniczny, ma żywy dyalog, w pierwszym akcie tchnący jakąś pociągającą świeżością, w dwóch dalszych błyszczący niekiedy doskonałymi dowcipami, szcze-



Inscenizacja „Wnętrza“ w Teatrze „Studyów“.

gólnie swawolnymi (ten „pejzażysta“ „qui fait des paysans“ jest kapitalny). Autor naiwnie charakteryzuje osoby już samem nazwiskiem (Przemilski, Podstępki, Obuch-Szczekotyńska, Niepokojczycka i t. d.), ale nietylko tym zewnętrznym staromodnym środkiem: hr. Józef Przemilski np. nie jest typem nowym, lecz dobrze podpatrzonym i plastycznie przedstawionym. Darzonu p. Markiewicza oklaskami; że w nich była nietylko domowa serdeczność i uprzejmość tego dowodem wspomnienie dużego powodzenia „Dzikich Pól“ w Teatrze Polskim w roku 1914-ym w Warszawie.

Kijów zrobił dla sztuki p. Markiewicza wszystko, na co go tylko było stać. Dekoracja pierwszego aktu z salonem wychodzącym na park miała — szczególnie przy zaciemnionym świetle — jakiś kusząco-deprawujący charakter doskonale zastosowany do treści rozmów tych pań i panów (tylko, jeżeli tak jest ciepło, że nawet w nocy drzwi na ogród są otwarte, to ogień na kominku nie ma racji bytu). Reżyseria p.

Tarasiewiczza wybornie wydobyła ze sztuki wszystko, co w niej jest zajmujące, gra aktorów była wyjątkowo staranną. P. Osterwa nigdy może tak głęboko nie wniknął w duszę odtwarzanej postaci jak w roli Przemilskiego; p. Jaracz dał przepyszny rysunek kuzyna-rezydenta. Z pań p. Larys-Pawińska jako owa uwodziona-uwodzająca mężatka rozwinęła szeroką skalę tonów od kokieteryi do namiętności, od radości do rozpacz; p. Sokołowska jako uwiedziona dziewczyna sprawiła miłą niespodziankę: tyle miała szczerości w swem potulnem rozkochaniu i rozpacziwym bólu; p. Koyałowiczowa niezwykle imieniu Ciupy dała charakterystyczny wyraz zmysłowości; p. Orzecka jako groteskowa służąca Tatiana zyskała oklaski na otwartej scenie.

W roku dziesięciolecia od śmierci Ibsena „Studya“ dały znakomite przedstawienie „Upiorów“; — w czasie kiedy nazwisko Maeterlincka uzyskało nowy rozgłos jako szlachetnego obrońcy uciśnionej Belgii i Polski, teatr p. Wysockiej darzy nas wzorową reprezentacją jego „Wnętrza“ i „Intruz“. „Studya“ nie gonią za „aktualnością“, służą czystej sztuce, od przemijających wydarzeń niezależnej; niemniej jednak nie zawadzi podkreślić ten ich związek z bieżącą chwilą jako dowód, że nie są one czemś od realnego życia oderwanem, ale żywą jego częścią.

Powiedzmy odrazu, że „Wnętrze“ wywarło wrażenie słabsze od innych, które były już udziałem naszym w tym teatrze. Nie z winy jego samego, dał on i temu utworowi przepiękne, ręką p. Lechowskiego stworzone tło, pełne przejmującego uroku błogiej ciszy, nad którą zawisło nieszczęście; dał mu głęboko obmyślaną, prostymi a wyrazistymi środkami wykonaną grę, w której obok znanych już pp. Jasińskiej i Szpakiewiczza, wymienić trzeba p. Turońską o niepośledniej subtelności i szczerości. Jeśli mimo to wrażenie zatrzymało się na średnim stopniu psychicznej skali, to dlatego, że sam poeta w tym utworze nie wznosił się na sam szczyt swej twórczości;

nastrojowość utworu nie jest dość silna, forma teatralna zaś wadliwa, bo całość jest mówionym, przez dwie osoby na przedzie sceny się znajdującym, komentarzem do tego, co albo się już za sceną stało, albo się dzieje na jej drugim planie.

Za to „Intruz“ przejął widzów do głębi: zimny powiew śmierci mroził krew w żyłach, jej niewidzialna ofiara równie blizką była naszemu sercu jak ci jej krewni, których oczyma ciała widzieliśmy. Najtrudniejszą rolę ślepego dziadka objął ją Szczurkiewicz: skazany na nieruchomość ciała i jeenostajność mimiki i słów odsłonił jednak w tej bezsilności głębię bólu, większego jeszcze, niż u innych osób, nie tak jak ten starzec niedołącznych. Cała rodzina (p.p. Młodziejowska, Jasińska, Turońska i Szpakiewicz) grupowała się koło niego, podtrzymując ten nastrój a tylko p. Krokowski nie dość wyraziście przedstawiał kontrastową trzeźwość rozsądku stryja. I tu wygląd sceny harmonizował się z treścią sztuki a tylko rosnącemu w ogrodzie cyprysowi zarzuciłbym, że zbyt dosłownie pojął słowa Goethego o „martwo stojących cyprysach“.

„Swierszczowi za kominem“, w „Studiach“ przez uczniów wystawionemu dostaje się ostatnie miejsce w tym przeglądzie. Przeróbka z Dickensa wyprowadziła widzów w świat bajki nie dla dzieci ale dla starszych, bajki dziwnej, bo osnutej na niezwyklej dla nas motywach staroświeckiej a ogromnie oryginalnej angielskiej muzy. I ta osobliwość, uwidoczniła nietylko w dekoracji ale i w typach, górowała nad czysto artystycznym wrażeniem zwłaszcza, że wykonawcami byli młodzi, jeszcze niewyrobieni adeptci sztuki scenicznej. I tem właśnie „Studya“ do dotychczasowych zasług dołączył nową: kształcą młode pokolenie aktorów, pracują więc nie dla terażniejszości tylko, ale i dla przyszłości sztuki.

Dr. JÓZEF FLACH.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

O zgonie i z powodu zgonu Henryka Sienkiewiczza.

Dnia 16-go listopada n. st. wszystkie miasta szwajcarskie, w których znajdują się liczni Polacy, obiegła wieść żałobna, że poprzedniego dnia, wieczorem, w Vevey, w hotelu du Lac zmarł nagle Henryk Sienkiewicz. Podawano ją sobie z ust do ust ze smutkiem głębokim.

W ostatnich czasach Sienkiewicz niedomagał, cierpiący był na serce, tak, że nawet w 70-tą rocznicę swoich urodzin nie mógł przyjmować deputacyi; z polecenia lekarza, na ten dzień wyjechał z Vevey, aby się ustrzec od zmęczenia i wzruszenia. Kilka tygodni w ciągu lata spędził w zacisznej miejscowości kura-

cyjnej, o parę stacyi od Vevey, w Bex les Bains; cisza tego ślicznego ustronia i ożywcze powietrze, przesycone zapachem—kilkakrotnie w ciągu lata koszonego siana z bujnych łąk, powiew rzeźwy od najbliższego szczytu Dent du Midi, wszystko to razem pokrzepiło go na razie i w najbliższem otoczeniu zbudziło otuchę. We wrześniu r. b. pani Marya Sienkiewiczowa pisała do swej kuzynki a siostrzenicy Zmarłego, zamieszkałej w Kijowie p. Roszkowskiej: „Henryk, po odpoczynku w Bex, czuje się znacznie silniejszym“.

Nie trwało to jednak długo. Skarżył się na skłon-

ność do przeziębienia i osłabienie serca. Lekarze nie pozwalali mu wychodzić z domu ani przyjmować dużo osób. Otaczali go tylko — najbliżsi. Mówił z nimi o akcji dobroczynnej dla Polski. W ostatnich czasach nie poruszał przedmiotów politycznych. Zbyt go żywo przejmowały, a o rzeczach bolesnych zwykł był mawiać tylko z Bogiem i z własną duszą.

Niemiecki akt 5-go listopada wstrząsnął nim; odgłosy tego rzekomego wskrzeszenia Polski, trudne położenie, w jakim wobec zapowiedzianego poboru znalazło się Królestwo, podkopały do reszty organizm nadwątlony pracą, wiekiem i miłością kraju niezmierną.

Pod wieczór 15-go listopada nastąpiła niespodziewanie agonía. Umierający, do ostatniej chwili, zachował przytomność. „Nie zobaczę już wolnej Polski!” — rzekł ze smutkiem.

Po przyjęciu Ostatnich Sakramentów, zaczął odmawiać „Pod Twoją Obronę”. Ze słowami „Święta Boża Rodzicielko” — skonał, jak Podbięta, przy słowach: „Królowo Anielska”.

Przy śmierci byli obecni jego małżonka i syn Henryk.

Córka Jadwiga, przebywała z babką, p. Wandą Szetkiewiczową, u siostry swej matki, p. Jadwigi z Szetkiewiczów Janczewskiej w Krakowie. Pracowała w jednym z tamtejszych szpitalów, jako pielęgniarka. Otrzymała rano telegraficzną wiadomość, że ojciec ciężko chory, a w południe dr. Stefan Surzycki, który pierwszy w Krakowie dostał od swego brata z Vevey wiadomość o zgonie, zawiadomił córkę o tem nieszczęściu.

P. Sienkiewiczówna chciała wyruszyć natychmiast, władze austriackie stawiały jej przeszkody. Zdołała wyjechać dopiero nazajutrz. Na pogrzeb do Vevey udał się siostrzeniec Zmarłego prof. uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Ignacy Chrzanowski, który na parę miesięcy przed zgonem miał od Sienkiewicza list, ze słowami: „Pragnieniem mojem — móc jeszcze napisać historię polską dla ludu”.

Pogrzeb odbył się w Vevey, w dniu 22-gim listopada. Na chórze, obitym krepą, na niskim katafalku spoczęły zwłoki, pokryte amarantowym całunem z Białym Orłem. Balustrada, oddzielająca chór od nawy, ginęła pod wieńcami i kwiatami, w barwach przeważnie białych i ponsowych. Odznaczały się wieńce miasta Warszawy z herbem Syreny: „Wielkiemu Polakowi ziemie: Lubelska, Radomska, Kielecka i Piotrkowska”, wieńce: Akademii krakowskiej, ciał dyplomatycznych, „Ignacy Paderewski — Henrykowi Sienkiewiczowi”.

Od 10-tej Msze św. odprawiali się przy wszystkich kaplicach bocznych. W pierwszych ławkach zasiedli delegaci z Polski, Brakło, nie z ich winy, delegatów z Warszawskiej Rady miejskiej oraz prezesa Koła Polskiego w Wiedniu dr. Bilińskiego. Reprezentowane były jednak: Warszawa, Poznań, Kraków, Lwów, Macierz Szkolna w Cieszynie, oraz przedstawiciele Litwy i Rusi. Nawę środkową zajęli członkowie organizacji polskich w Szwajcaryi z komitetem głównym w Vevey na czele.

Sumę odprawił proboszcz parafii Vevey w asystencji licznego duchowieństwa polskiego. Po Ewangelii celebrant odczytał z amboni telegram, nadesłany na ręce mec. Osuchowskiego przez kardynała Gaspari, treści następującej:

„Ojciec św., dotknięty głęboko bolesną wieścią o śmierci Waszego znakomitego współobywatela Henryka Sienkiewicza, bierze żywy udział w żalobie Pańskiej i Komitetu i prosi Boga o wieczny odpoczynek dla tego dzielnego chrześcijanina, tak zasłużonego dla Kościoła i swej szlachetnej Ojczyzny”.

Następnie wszedł na ambonę ks. Jan Gralewski i przemówił w słowach podniosłych i wzruszających, stawiając przed oczy zgromadzonych niepożyte zasługi Zmarłego. — Podczas nabożeństwa wybitni soliści polscy i cudzoziemscy wykonali dzieła muzyczne, według programu, ułożonego przez Henryka Opieńskiego. Odśpiewano pieśń „Boga Rodzico”; po nabożeństwie, gdy zaintonowano „Boże, coś Polskę”, cały kościół powstał.

A w chwili tej właśnie słońce padło nagle na wielki ołtarz.

Wiść o zgonie Sienkiewicza odbiła się echem żalobnym na całej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej.

Nazajutrz po śmieci obiegła Warszawę, czyniąc wszędzie piorunujące wrażenie. Rada miejska, na znak żaloby przerwała swe posiedzenie, nad Ratuszem wywieszono flagę żalobną. Wysłano telegram do Vevey. We wszystkich teatrach wezwano publiczność do powstania z miejsc — (pojąć tylko nie można, dlaczego nie zawieszono widowisk). Artyści plastycy podjęli myśl wzniesienia pomnika Zmarłemu. Na następnym posiedzeniu Rady miejskiej, przydyum, łącznie z magistratem, postanowiono ulicę Nowo-Sienną nazwać ulicą Henryka Sienkiewicza.

W Krakowie wiadomość o zgonie Sienkiewicza przyniosły tegoż dnia wszystkie pisma wieczorne. Nazajutrz wszystkie ukazały się w czarnych obwódkach. Z ratusza, z Akademii Umiejętności, Uniwersytetu, Koła literackiego, a nawet z domów prywatnych wywieszono żalobne chorągwie. — Nabożeństwo żalobne w kościele Maryackim celebrował książę biskup krakowski Sapieha.

W Poznaniu mszę pontyfikalną w kościele Farnym odprawił za duszę Zmarłego Arcypasterz. — W miejscowym teatrze polskim odbyła się uroczysta Akademia na cześć Sienkiewicza.

Na Jasnej Górze, w kaplicy Matki Boskiej, za spokój Jego duszy odprawiono uroczyste nabożeństwo.

W Wiedniu, w polskim kościele przy Rennweg odbyła się msza żalobna.

W Kijowie w obu kościołach i kaplicach w dniu 10. listopada odprawiono uroczyste nabożeństwa, kazanie podniósł ks. Sznarbachowski. — Na to nabożeństwo zapraszały: Rada Okręgowa Kij., Okręg kij., C. K. O., Polski Lwowski Kom. ratunk., Oddział kij. Twa Pom. of. wojny, Chelmski kom. Ochrony większ. właśc. ziem., Rz. kat. Tow. Dobr., Kolo kobiet Polek, Kolo Liter. i Dz. Polskich, Polskie Two gimnast., Pol. T-wo Lekarskie, Pol. Tow. Przem.-Techn., T-wo pom. studentom pol., Klub pol. „Ogniwo”, Pol. Tow. miłośn. Sztuki. Prawnicy polscy, Młodzież polska oraz Redakcje pism polskich wychodzących w Kijowie. Firmy polskie, na znak żaloby, zamknęły biura i sklepy podczas nabożeństwa. W parę dni potem ucząca się młodzież zakupiła nabożeństwa żalobne w obu kościołach. Przemówili z amboni ks. ks. Kalinowski i Domińczak.

Rada Okręg. kijow. zainicjowała fundusz imienia Sienkiewicza na cele kulturalno oświatowe dla ludu polskiego — ofiar wojny.

W Moskwie odprawione były we wszystkich kościołach uroczyste nabożeństwa. W kościele św. Piotra i Pawła kazanie wygłosił ks. Lutosławski. — W sekcji artyst. „Domu Polskiego” odbył się wieczór, poświęcony twórczości Sienkiewicza. Moskiewska Rada miejska na wieść o śmierci najznakomitszego pisarza polskiego uchwaliła jednogłośnie wyrazić kondolencję polskiemu posłom w Radzie Państwa, Kołu Polskiemu i Dumie Państw. wobec poniesionej przez naród polski ciężkiej straty. Depeszę, uwiadamiającą o tem przesał na ręce posła Szebeki Czelnokow.

W Piotrogradzie urządzono nabożeństwo z piękną muzyką i śpiewami.

W Mińsku gub. powstała myśl utworzenia „Tow. imienia H. i Sienkiewicza“, któreby miało za zadanie pracę nad rozwojem oświaty i szkolnictwa dla dzieci, młodzieży i ludności polskiej w Mińszczyźnie.

W Mohylowie gub. na uroczystym nabożeństwie żałobnym w kościele archikatedralnym przemówił pięknie z ambony ks. Eugeniusz Świątopelk-Mirski.

Po za tem obchody i nabożeństwa odbyły się we wszystkich miastach i miasteczkach kresowych, — gdzie tylko są Polacy, a więc: w Chersoniu, Charkowie, Kazaniu, Saratowie, Symbirsku, Sumach, Horbaczewie, Zwinogrodce, Stawiszczach, Kamieńcu podolskim, Rosławiu (gub. smoleńskiej).

I Rosyanie, nie tylko w prasie, złożyli hołd Sienkiewiczowi w słowach pełnych uznania, wprost entuzjastycznych. W Mo-

skwie w teatrze Dramatycznym urządzili na cześć jego obchód. Ż Polaków przemawiał Tadeusz Miciński i Anna Mar, która scharakteryzowała typy kobiece Sienkiewicza, wzruszenie nie pozwoliło jej dokończyć, musiała zejść z estrady. O dramatyczności w utworach Zmarłego mówił p. Basmanów. O „Bartku Zwycięzcy“ — p. Kaszałów, O „Świecznikach chrześcijaństwa“ — p. Gzowska. Poza tem odczytywano, w przekładach, ustępy z utworów Sienkiewicza. Swoi i obcy poklonili się głęboko u trumny Wielkiego Polaka.

W Kijowie w dniu 20-ym grudnia na cześć Sienkiewicza odbyła się w Teatrze Polskim Akademia. Piękne swe „Requiem“ wypowiedział Kornel Makuszyński, przemawiali Edward Paszkowski, dr. Józef Flach, Wojciech Dąbrowski. Szczegóły tego obchodu podamy w N-rze następnym, by niniejszego nie opóźnić.

ZGON SZCZEREJEGO PRZYJACIELA POLSKI.

W dniu 31 października zmarł w Pradze znany polonofil czeski, profesor Franciszek Alojzy Hora, przeżywszy pracowitego żywota lat 78. Nas polaków śmierć śp. profesora Hory dotyka boleśnie, był on bowiem w gronie pracowników około czesko-polskiej zgody jednym z najzdolniejszych, najwytrawniejszych i najzasłużeńszych. Lat z górą 60 trwała jego praca literacka i naukowa, której część najznacniejszą poświęcił stosunkom polsko-czeskim. Urodził się w roku 1838 w Swinarach w Czechach, jako syn rolnika. Po ukończeniu szkół średnich niemieckich (bo czeskich jeszcze nie było), poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, jako matematyk. Cbok tego jednak studiował z zapalem literaturę, a w szczególności zajmował się literaturą polską i wiele z niej przekładał na język czeski. Praca na niwie czesko-polskiej wzajemności zbliżyła go do dwóch wybitnych na tej niwie działaczy: Jelinka i Bronisława Grabowskiego.

Głównym terenem pracy śp. Hory było słowniktwo czesko-polskie. Wydany przez niego w roku 1910 „Słownik czesko-polski“ jest najlepszym z dotychczasowych i z naswiskiem profesora Hory spleta pamięć trwałej zasługi. Nad słownikiem tym prof. Hora pracował lat wiele, poświęcając tej pracy wszystek czas wolny od zajęć zawodowych. Lecz kiedy skończył tę żmudną i sumienną pracę — spotkał się z takimi trudnościami, że już zwątpił czy uda mu się dzieło to doprowadzić do skutku; długo nie mógł znaleźć nakładcy, choć pracę swą ofiarował bezpłatnie, zobowiązując się również za darmo wykonać korektę. Rozgoryczony tem niepowodzeniem, zapisał wtedy do swego testamentu, aby mu rękopis dzieła ukochanego włożono do trumny. Wtedy zajął się sprawą tą uczonej polski Jan Karłowicz oraz Erazm Majewski, którzy umożliwili wydanie słownika zna-

cznym datkiem, na który złożyło się kilkunastu ludzi w Królestwie Polskiem. Hora zachęcony tem, wydał słownik swym własnym nakładem, umieszczając w przedsiębiorstwie tem swój majątek. Ministerstwo oświaty odmówiło dziełu poparcia, za to udzieliła mu go nowa czeska Akademia Umiejętności i gmina miasta Pilzna. Dzieło to Hora poświęcił „wzajemności czesko-polskiej i ono też tej wzajemności służy i będzie służyć dalej, gdy twórca jego już w grobie spoczywa.

Śp. Hora raz tylko w życiu był w Polsce, pomimo, że ciągle myślał i pisał o niej. Było to w roku 1909 podczas wycieczki delegatów czeskich do Warszawy. W przejeździe zatrzymał się w Krakowie, a wrażenia, jakie wyniósł z grodu podwawelskiego, nazwał najsilniejszymi w swoim życiu. Połączyła go przecież z wielu uczonymi i literatami polskimi przyjaźń z wielu utrzymywał stosunki: w jego spuściznie jest wielki zbiór korespondencji, zwłaszcza z J. I. Kraszewskim, T. T. Jeżem, Bronisławem Grabowskim, Karolem Zaleskim, Wiktorem Gomulickim, Wiktorem Gomulickim Stanisławem Grudzińskim, Erazmem Majewskim, Elizą Orzeszkową, Gabryelą Zapolską, Dr. Henrykiem Ułaszynem i wielu innymi. Ważną jest jego korespondencja z Edwardem Jelinkiem, Fr. Kvapilem, Adolfem Czernym i innymi ponofilami czeskimi.

Prof. F. A. Hora był człowiekiem nadzwyczajnym i przyjacielem Polski, jakich nie wielu w Czechach. Był przekonany, że między czeskim i polskim narodem powinna pomimo wszelkich przeszkód panować stała przyjaźń i wzajemność i że należy dołożyć wszelkich starań, aby praca kulturalna obu narodów szła zawsze ręką w rękę i ułatwiała przez to przewyciężenie trudności, które los jednemu lub drugiemu stawia na drodze.

W B R E W.

Po co się dręczyć? Weźmie książkę. Myśl skupi na przedmiocie poważnym, trudnym do zrozumienia.

Czasem udaje się jej skrócić chwile oczekiwania w ten sposób.

Dziś nie może. Myśli zwracają się w inną stronę. Nie wylatują na zewnątrz, jak ptaki. Trzepocą się o ściany klatki ciasnej i napelnionej jej osobistymi uczuciami, wspomnieniami. Nie dają wyfrunąć, sercem i okiem ogarnąć tych światów, gdzie szybują duchy wyzwolone z pęt własnych uczuć, bólów.

Zamiast pod przewodem wielkich duchów wędrować w krainę myśli, dociekającej przyczyny zjawisk, ona poprostu siedzi i czeka, bo słusznie ktoś powiedział: „kobieta zawsze gdzieś siedzi i na coś lub na kogoś czeka”. — A chwile oczekiwania zapełnia wspomnieniami, niepokojem. Ileż to przeżyła w myśli katastrof, ile przebyła drogi naprzód i wstecz: ku temu, o czym marzy i ku temu co było!

Stróż już bramę zamyka. — Na odludnej ulicy zapanowuje cisza zupełna.

Ona go już nie zobaczy w tę ich drogą rocznicę. Jego kwiaty — areokarya i piękna palma i pęk róż pąsowych — stoją jak żywe wspomnienia tego dnia drogiego. Mówią, że i on pamięta. Mówią to jego krótkie, lecz gorące słowa, dołączone do tych dowodów pamięci.

„Jedyna! Przy Tobie wszystkie moje myśli, pragnienia szczęścia. Bez Ciebie dla mnie ani bezemnie dla Ciebie szczęścia być nie może.

Zupełnie Twój! Stach.

Te słowa, przed jej spuszczeniem oczyma przybierały kształt żywy. Stawały — nie jak litery, lecz jak obrazy przebytej wspólnie przeszłości. — Było w niej dużo łez, dużo niepokoju, gorzkości, ale i bezmiar upojeń słodkich, dla których warto i płakać i trwożyć się i tęsknić i dniami całymi być nieszczęśliwą..., aby na chwilę zapomnieć o wszystkim, co smutne i gorzkie.

...W tem turkot doróżki, — zatrzymała się. Jego głos.

Tak... jego!

— Czy nie macie reszty z trzech rubli? pyta woźnicy.

A więc nic mu się nie stało. Przyjechał.

Wanda czuje się w tej chwili tak szczęśliwą, że o przebytych katuszach zapomina odrazu.

— Nareszcie! — szepce.

W tem małym mieszkaniu ich dwoje tylko — cały jej świat, a w tej chwili i cały świat — jego.

O! życie jest piękne!

Nawet gdy we łzach topiła żal, którego nie można było zahaczyć o winę niczyją: chyba własną, lub społecznego ustroju, wtedy nawet ani na mgnięcie oka nie pragnęła zawrócić przeszłości, zmienić wyniku tej chwili, w której rozstrzygnęło się jej życie.

Było to 5-go lutego — dzień na zawsze pamiętny, lat temu dwa dzisiaj. — Dwa lata czekania. Bo od owej chwili, czekaniem ustawicznym było jej życie. Długiem czekaniem na krótkie chwile radości. A i one

nie zdolne były zatrzeć tego bolesnego poczucia, że to szczęście jest jej drogim, ale że go szanować nie może, że je odkrada innej.

Widywać tamtą? Czyż sposób? To jego życzenie było między niemi pierwszą kroplą gorzkości. Jak mógł przypuścić, że... po tem, co zaszło, byłaby zdolna zasiadać przy ich stole, pieścić jej dziecko.

— Sama na siebie wydajesz wyrok potępienia — przekładał jej.

— Bo się potępiam, gorzej niż ludzie mnie, gorzej nawet niż ona.

— Nie masz prawa.—I dla siebie niewolno być katem.

— Trzeba, Stachu.

Brał ją w objęcia. Zamykał wargami jej usta, głuszył jej udrękę, ale jej zagłuszyć nie zdołał.

— Stachu, nie mów tak, zlituj się — prosiła, patrząc na niego smutnymi oczyma.—Jesteś taki szlachetny, taki nadzwyczajny, a tego nie rozumiesz!

— Bo to są poprostu egzaltacye. I tak mamy ciężkie życie. — Po co jeszcze nakładać na siebie ciężary zbyteczne!

— Ty to nazywasz: zbytecznym? Ty?

— Ja, bo znam życie!

— W takim razie, ja życia znać nie chcę.

— I zdaje mi się, dziecko, że nie poznasz nigdy. Jesteś na to za wzniosła.

— Stachu! Co ty mówisz! Jak możesz!

— Cudną masz duszę... Cudne wszystko.

I zapamiętywali się znowu.

A potem on odchodził z szalem. Ona została — z myślami. I zostawić ich nie mogła ze sobą w tem cichem mieszkanku ani zagubić gdzieś między ludźmi, wśród pracy. Wtórowały jej obowiązkom, przekrzykiwały je głosem natarczym.

Tak czuła, tak się potępiła. — A jednak sama, dobrowolnie, sprowadziła na siebie to potępienie — własne i ludzkie.

Dobrowolnie? Bywają chwile — a często chwile takie o całym życiu stanowią — gdy wola jest słabą: nie zwraca się ku temu, czego pragnie, a co jest z Dobrem pokłócone, bez możliwości pogodzenia.

Przyszedł jej powiedzieć, że na zawsze z jej drogi ustąpi.

Mówiąc to, miał głowę spuszczoną. — Nie patrzył na nią. Dlatego pozwoliła sobie na łzy. Niespodzianie oczy podniósł. Te łzy zobaczył. Po chwili już u jej nóg klęczał.

I zaczęło się szczęście. I męka.

Oddała mu się, naprzód bez zastrzeżeń, a potem bez żalu jak kwitnie kwiat, jak śpiewa słowik, niepomna, że przyjdzie jesień. Oddała mu się w upojnej hojności, w której porywie kobieta kochająca — nie oblicza, tylko — czuje. A jeśli myśli, to nie o sobie: bo rozkoszą jest jej przedewszystkiem — dawać rozkosz, ceną bodaj własnego bólu.

Nie oblicza, nie myśli, choć w najhojniejszym porywie — świadomą jest, że ponosi ofiarę, że, w razie najlepszym, skazuje się na ból — macierzyństwa dozwolonego — przez prawo, obyczaj, przez Stwórcę; lub na gorszy stokroć: macierzyństwa wzbronionego przez porządek społeczny, ustanowioną moralność i Zakon.

Wanda, składając siebie w ofierze, mimo, że to czyniła w uniesieniu miłości, w zapamiętaniu, odczuwała, że zaczyna się nieszczęście całego jej życia. Że to jest już nieodwołalnym, nieuniknionym, jak śmierć, i jak śmierć, bezwzględny. — Że przede wszystkim ta niedola, poczyna się w niej samej, w tem poczuciu winy i wstydu, które już jej nie odstąpi i będzie wtórem każdej chwili radości, każdej chwili rozkoszy, podświadomym, nierozłącznym wszelako.

Czuła to — nie myślami, układającymi się w słowa, nawet — nie smutkiem — Raczej smutną, zawstydzoną radością z poniesionej ofiary.

— Dla Ciebie! Dla Ciebie — szeptała jej dusza. Zaleźniony wyrzut sumienia towarzyszył jej krok za krokiem.

Nazajutrz poszedł z nią do pracy. Stał pomiędzy nią a zwierzchnikami, towarzyszami, towarzyszkami zwłaszcza. — Mówił jej, że powinna trzymać się od wszystkich zdala; że nie ma prawa uważać się za równą im; że nie wolno jej patrzeć ludziom w oczy — prosto, szczerze, jak patrzyła dotąd, jak patrzyła jeszcze wczoraj.

I stała się lękliwą, pokorną nad miarę, pełną skruchy. — Nie było w niej jednak żalu, który wiedzie do zaniechania winy.

...Że wina jej była wielką, o tem mówiła jej uczciwa tradycja rodzinna... Toż ona pierwsza, toż ona jedna jedyna w długim szeregu kobiet, które nosiły to samo nazwisko — dostojnie — cnotliwie — ona jedna kochała bezprawnie. Ukryć to może przed światem całym, ale nie przed zmarłymi: oni widzą to, czego nie dopatrzą, nie wysledzą ludzie żywi.

I matka jej widzi — wiel!

To był wyrzut najcięższy. — Wie i — może przeklina to swoje dziecko drugie Urodziła ją w męce. Na to, by ona, niegodna, podeptała zakaz boski i ludzki.

Jak wielką była jej wina? Chciała to poznać. Przed konfesyonalem uklękła. I dowiedziała się: że zmazać ją można jedynie kornym spełnieniem słów.

„Idź, i nie grzesz więcej“.

Odeszła — bez obietnicy takiej, a więc bez rozgrzeszenia.

— Dla ciebie, Stachu — szeptało jej w duszy. Lecz szept, cichszy jeszcze, mówił.

— I dla siebie!

Słyszała ów głos bardzo wyraźnie. I czuła go w głębi swego jestestwa. Mimo wszystko, bywała szczęśliwą często. A nieszczęśliwą — ciągle.

...Byłe nie dowiedzieli się szefowie!.. Gotowi ją usunąć i jak sromotnie! Byłe ktoś złośliwy nie podpatrzył, nie doniósł — bratowej. I co najgorsza, byłe nie dowiedział się ojciec. Tuby go zabiło!

Że domyślała się — a może nawet i wiedziała żona — tego Wanda była pewną.

— To „Laura“ przychodziło jej na myśl za każdym razem, gdy w przedpokoiku odezwał się dzwonek. Lecz, że nie była tchórzliwa, przeciwnie gotowa każdemu niebezpieczeństwu zajrzeć w oczy, więc szła otwierać.

Nie otwierała tylko drzwi nikomu, gdy on miał przyjść lub gdy już przyszedł. Miał klucz od mieszkania, ale używał go bardzo rzadko: gdy już kamienica była uśpiona i pogaszone światła. Zazwyczaj stukał cichutko. Było to zresztą zbyteczne. Słyszała jego kroki już na podwórzu, słyszała głos laski i biegła do przedpokoiku radośnie.

A gdy odchodził, czasem bardzo późno — ileż to ostrożności, by nie podpatrzyli, nie podsłuchali sąsiedzi.

Ostrożności tyle! A jednak wiedziała nietylko

cała oficyna. Ale i front. Wiedział przede wszystkim stróż, który bramę otwierał — zamykał. I po za tym domem, po za tą ulicą wiedziało wielu. — Przedewszystkiem obaj szefowie. Patrzyli przez szpary.

Co im do tego. Pracownica była dobra, sumienna. Co robi po za godzinami biurów — to jej rzecz. Byle robiła cicho, dyskretnie!

Wanda nie spostrzegła, że w zachowaniu z nią kolegów i koleżanek zaszła pewna zmiana.

Od początku trzymała się zdala od wszystkich; wogóle stroniła od ludzi, trochę z nieśmiałości a trochę z braku zaufania. Mało zaznała w życiu dobroci.

Parę koleżanek chciało jej robić zwierzenia — o różnych swoich wielbicielach. Słuchała tego — przez grzeczność, lecz z tak widocznym brakiem odczuwania romantycznych przygód, że zaniechały konfidencji.

Teraz — te same panny, a inne również, patrząc na nią, uśmiechały się wzgardliwie. — Czasem szeptały, wskazując ją oczyma. Wogóle stawały się coraz mniej uprzejme. — Zwróciło to jej uwagę.

„Dzikus ze mnie — czyniła sobie wyrzuty — każdego do siebie zrażę. Trzeba było słuchać ich konfidencji jednym uchem, wypuszczać drugim“.

Ale nie mogła. Doznawała niemal bólu, słysząc jak z uczuć robiono — anegdotę. — Dziwiła się boleśnie, że w taki sposób o miłości opowiadać można; że można zajmować się i przejmować kilku młodymi ludźmi jednocześnie, powtarzać ich słowa, przedrzeźniać spojrzenia, chwalić się wzbudzonemi uczuciami.

W swej nieświadomości życia ani się domyślała, że o tych uczuciach nie wiedzieli owi młodzieńcy, którym owe panny przypisywały sentymenty dla siebie, powiększane przez ich własną zarozumiałość i próżność; że owe panny nie zawsze nawet wierzyły w swoje chwalby i że ją właśnie obrały na konfidentkę — nie przez jakieś specjalne zaufanie, lecz z braku innych uszu, albowiem wszystkie koleżanki bądź słyszały już to wszystko po kilka razy, bądź nie wierzyły przechwałkom.

Lecz wszystkie zgadzały się w swoim sądzie co do niej. Uważały Wandę za nieładną; nie w guście „mężczyzn“, słowem za jedną z takich, które kobiety lubią i z którymi się nie liczą.

I oto nagle poczęła dochodzić je wieści, że znalazła wielbiiciela — nawet kochanka i to żonatego, z „pozycją“.

Po co ona pracuje, skoro on bogaty i szaleje za nią — porzuca żonę, dzieci.

— Szczęśliwa! — tak myślały prawie wszystkie.

A głośno między sobą mówiły o niej z oburzeniem i potępieniem.

— Ktoby się spodziewał! Truśka! Na mężczyzn nie patrzy.

— Takie przecież najgorsze!

— Z pewnością bierze od niego pieniądze.

— I jeszcze jej mało! Odbiera chleb uczciwym pannom.

— Że też szefowie jej nie wypędzą!

— Powinniby. I ze skandalem. Koniecznie! Dla przykładu.

Tak myślały, tak mówiły kobiety, patrząc przytem na Wandę ciekawie, gardząc nią i zazdroszcząc jej, lekceważąc i nabierając dla niej uznania.

A koledzy? A mężczyźni? Ci — po uzyskaniu tych wiadomości, zaczęli się znacznie więcej przypatrywać jej twarzy, jej figurze i znajdować w niej te ponęty i uroki, które zapaliły pożądliwość człowieka jeszcze młodego, bardzo przystojnego „ze stanowiskiem“.

(D. c. n.)

ZAGONOWI.

Odtąd zaszła wielka zmiana w pani Dębickiej. Ktoś sceptyczny mógłby powiedzieć, że nadszedł dla niej okres powrotu do Natury. Ale na szczęście złośliwych a dowcipnych, którzyby prorokowali, że jak poprzednie okresy w życiu kobiety, minęły bezprowrotnie, tak i to przeminie — nie było w Futorach.

Dziś zresztą serce jej, wśród walk, łez wylanych, gorzkich zawodów, zmagania się z sobą — nabrało rozwagi i wytrwania.

Przyszły ciepłe, wiosenne wieczory, fotel babki stał pod parasolem kasztanów, zwykła zgryźliwość opuszczała staruszkę i wszyscy w rozradowaniu wdzięczności cieszyli się z pracowitego dnia i układali zajęcia na jutro.

W tym z za lasu, na białą drogę wynurzyła się trójka ludzi. On szedł z gołą głową, wymachując rękami, potaczając się i klnąc. Za nim wlokła się niemniej pijana baba, śpiewając bełkotliwie:

Oj ja baba nie pijana
Tylko mie zecniło
Dola moja oplakana
Mężysko pobilo.

Lecz najsmutniejsze ze wszystkiego, to widok kilkunastoletniej dziewczynki, obdartej, roztarganej, w podartej chuścinie na plecach, starającej się podtrzymać przewalającą się z boku na bok matkę.

Pobladła twarz Justysi, patrzącej na to.

— Oh! Jakież to straszne mamó!

Babka poczęła gderliwie zrzedzić na te i owe urządzenia, które tolerują zbrodnię pijaństwa.

To Dowojnowie i biedna Benisia — powiedział Dębicki.

Pani Dębicka nic nie mówiła, ale spojrzała na męża badawczo i długo poczem wstała, jak gdyby z tych oczu wzięła nakaz czy przyzwolenie i szybko poczęła się spuszczać stromą ścieżką — wprost ku pijanej parze.

Dziwili się ludzie w Futorach, co się stało Dowojnom. Stara przestała pić, wzięli się oboje do roboty. Część gruntu wykupili i poczęli go obsiewać, powoli spłacali żydowskie długi.

Benisia dochowowała się krowy z cielicy którą otrzymała od Dębickich — a choć chłód i głód często jeszcze dokuczał, już nie słyszano pijackich krzyków starego, ani nie musiano wyrwać z jego rąk obitej żony. W chacie było pusto, prócz obrazów i lichej pościeli nie zostało nic.

Mijały ciężkie lata. Dostatku nie było ale praca Benisi upiększyła pustą chatę. Nie wahała się robić w polu, na łankach Dębickiego, chodziła schludnie ubrana i głowę nosiła wysoko, choć biegły za nią śmiechy i szept o Płacze, Najmicie i urągowiska że ona jedna z rodu Dowojnow, do roboty się najmuje.

Pani Dębicka dowiedziawszy się o zrękowinach Benisi, postanowiła jej dopomódz.

Miała myśl.

Zwykle szyły i uczyły się u niej szlacheckie dziewczęta, to też przez nie kazała na najbliższą sobotę prosić wszystkie szlachcianki.

Stawiły się w czystych fartuchach i odświętnych

chustkach na głowie. Zasiadły w milczeniu ławki pod ścianą i czekały, co im powie.

Pani Dębicka przemówiła do nich krótko. Za mąż idzie Benisia Dowojnowna, a każdy wie, że skrzynia jej pusta i bodni niema czem zapelnic.

— Niechby ta nie były piły — odezwała się Bronikowska — która byłaby chętnie każdą ze swych córek za Winiarskim widziała.

— Hale! Pewnie — potwierdziła Krajska — inne się mordowały, pracowały, to majom. Moich panienek skrzynki pełne.

— Moje majom już po śtery poduchy, do samego belkowania.

— I moje. I moje.

Wołano zewsząd.

Więc pani Dębicka poczęła im mówić, że tym bardziej innej dziewczynie dać powinny.

— Powinności żadnej niema — cierpko replikowała Bonoska.

— Niech więc będzie łaska.

— To jest co insze. I Pan Jezus był dla nas łaskawy.

— Pewnie. Bez litość to my damy!

— Dajcie przez co chcecie, abyście dały — uśmiechnęła się pani Dębicka.

Więc zaraz zaczęły obliczać, co która ma z własnych płóci, ręczników, pierza.

O! tego to żadna nie miała zawiele. Jakiś szal ogarniał każdą, gdy mówiła o poduszkach... nie! tego nie dadzą stanowczo.

Stanęło na tem, że o poduszkach pomyśli pani Dębicka.

Po sutej herbacie, rozeszły się wreszcie szlachcianki. Przyrzekły obejść cały zaścianek i zakochać do serc gospodyń. — Zebrały się jednak opodał domu Dębickich i Bronikowska zakłęła siarczyście.

— Litosierna dopiroj! Ji to łatwo dawać z pełnego. Bo to u której z nas jest tak w chacie, jak u ni?

Wzięła się pod boki i wzrokiem roziskrzonym spoglądała po zebranych.

Wzdychały jedna po drugiej. Jedna twierdziła, że wiadomo, że Dębicka „warjantka, Krajska dodała „i historyczka“, poczym się rozeszły, ale na drugi dzień, już od rana, poczęły znosić ręczniki, płótna, radna i mąkę, na kołacze weselne.

Wieczorem zebrały się wszystkie dziewczęta u Dowojnow. Była też Kachna. Przyszły pomagać wyszywać ręczniki i chustki do ślubu.

Po trochu, napelniła się skrzynia i bodnia. — W komorze matka liczyła jaja na kopy, przesiewała mąkę i zaglądała do kojców z kurami, które miano upiec na dzień wesela.

Ktoś przysłał, niewiadomo kiedy, wielkiego wieprza. Mówiono, że Winiarski, Dębicki, wreszcie pan Polikarp. Ale on milczał, uśmiechał się tylko skromnie, nie przeczył, siedząc z panienkami wieczorem przy robocie, skromnie znosił pochwały i żarty, z tak niepolitycznego lecz smacznego prezentu. Okazał się tu bardzo użyteczny i wprost nieoceniony przy wyborze deseni, koloru bawełny i jedwabnych nitek. Szerokim gestem wyrysował na ręczniku z cieniutkiej przędzy, który Benisia miała panu młodemu ofiaro-

wać, litery JW złączone koroną
Innym rysował całujące się gołą
stulą, — girlandy kwiatów i Bóg
dziwy. Lecz najpiękniejszy deser
głowie dla Kachny.

Siedział z jednej strony ręcznika wspaniałego
z olbrzymim ogonem rozpostartym jak tylko mo
najszerzej. Siedział na dachu domu, który był ude
rzająco podobnym do domu pana Polikarpa. Zdobiły
go bowiem zielone sztachety, zielone okienice i biały
daszek ganku. Na drugiej stronie, czyli na drugim
końcu ręcznika był ten sam dworek, lecz na dachu
siedziała obok pawia, pawica. — Drobna, nieśmiała
z główką przechyloną na bok. U dołu zaś podpis:

Co Ty złoczyłeś o Boże
Tego nikt rozłonczyć nie może.

Wszyscy zgadywali wokoło, co to jest. I wszyscy
zali się na to, że to śliczna jest figura pana Jacyn-
i Benisi. Ale pan Polikarp pochyliwszy się nisko
czarną główką Kachny, szepnął:

— To nie jest Benisia, ani to Winiarski.
— Więc któż?
— Proszę zgadywać.
— Może... Jagosia?

Serce Kachny zabiło trwożliwie, bo już, już... jej
się zdawało...

Pan Polikarp pochylił się jeszcze niżej.

— To nie jest Jagosia.
— Ale to pan Polikarp?
— Ja! Poznać nie trudno?
— Pewnie? Któż by nie poznał?
— Wienc obok mnie, to nie jest panna Jago-
sia, a chtoś jeńszy, ładniejszy i milszy!

Powiedziawszy to, pan Polikarp położył dłoń na
sercu, jedno oko zmrzył, głowę schylił i zaraz się
począł żegnać.

— Nie wiem.
— Siedzisz ciągle i ty tak zachorujesz, jak Lutyk.
Uśmiechnęły się dobre oczy Jagosi.
— Ta i coż.

Od dawna nie objęły się siostry z taką czuło-
ścią, jak dziś. Długo sobie patrzyły w oczy, Kachna
chciała nawet opowiedzieć wszystko... ale nie śmiała.
Kochając pana Polikarpa, gorącą pierwszą miłością,
nie śmiała się siostrze zwierzyć z nadziei swych i swego
uczucia.

Obawiała się, że dziewczyna żałować będzie śli-
cznego chłopca, majątku, znaczenia i tego dworku na
białych słupkach.

Jagosia oddaliła ją na długość ramienia.

— A cóż pan Polikarp? — szepnęła z uśmie-
chem.

Poczerwieniła Kachna, — rozpuszczone, knąbrne
włosy opadły na jej rumianą twarz.

— A cóż? Chada?
— A tyś temu nie rada?

— A Kachna.

— A!
— Dobrze. Dzięki Bogu za to. Tu już nie
— Jakim... Już mu się ta miłość do mnie
— podziiała..

— A nie żal ci?

— Czego?

— Takiego kawalera, najpierwszego we wsi!

— Właśnie, że nie.

Odetchnęła całą pierśią Kachna, ucałowała twarz
i czoło siostry, a po tym obie jej ręce. Ze śmiechem
pryskoczyła do drzemającego Lutyka i na jego pło-
nącym policzku złożyła pocałunek.

— orzył senne powieki

— Dobranoc braciszku!

— Dobranoc... czytaj, szepnął.

Z modlitwą klęczącej w swej

— zerwały się słowa Psalmu:

Mój wiekuisty Pasterz mnie pasie
Nie zejdzie mi nic na żadnym wczasie
Zawiódł mię w pasze niepospolite,
Nad zdroje żywej wody obfite.

.
.

Głos Jagosi zcichł, gdy doszła do słów:

By nawet stała śmierć tuż przedemną,
Bać się nie będę, bo Pan mój jest ze mną.
Twój pręt o Panie i łaska Twoja
w niebezpieczeństwie obrona moja.

Wreszcie przyjechał doktor. Przejżdżał nieda-
loko Futorów i zajechał sam, by się dowiedzieć
o Lutka.

Tego dnia przyniosła Justysia cały koszyk przy-
smaków.

Po raz pierwszy sama wniosła to wszystko do
pokoju chorego.

Nikt jej nie bronił, ale też nikt nie zapraszał.
Kwaśno uśmiechnął się na jej powitanie Lemiesz,
kiwnięciem głowy wskazała Lemieszowa zajęta dziś
praniem w kuchni, drzwi od pokoju chorego.

Jedna Jagosia wyciągnęła ku niej obie ręce.

— O! Jak się Lutyk ucieszy, że panna Justysia
sama przyszła. Często wspomina.

Zarumieniona, nieśmiała, podeszła do łóżka cho-
rego.

Ale tu, podniósłszy oczy, ledwie nie krzyknęła.
— Czy to był Lutek? Nie. To być nie mogło!
Gdzie się podziały jego policzki? Oczy? Co to za
długie piszczele leżą na kołdrze?

Ale on na szczęście nie zauważył przestradchu,
a nawet obrzydzenie, które w niej wzbudził.

Z ożywieniem opowiadał, że się czuje lepiej —
i wstanie niedługo. Opowiadał o bytności doktora
i książkach, które przysłał. O dobroci Jagosi, która
mu trochę czytywa, gdy ma wolną chwilę. Mówił
z tęsknotą o wiośnie. Będzie strugał wiatraczki i robi
nową klatkę dla szpaka, a Justysi gołębnik. Podaruje
jej wszystkie swoje gołębie, te Turkoty, Siwki i Sre-
brne nóżki.

Dla Kachny nagle zgasły obie lampki, powie-
szone nad stołem, by ułatwić pracę hafciarek. Wzięła
się z bijącym sercem do wyszywania królewskiej
korony, zielonych okienic, białych słupków i mieni-
cego się ogona.

Wróciła rozmarzona do domu, nie żdziwiona
wcale, że w bawialce jeszcze się pali lampka i że Jago-
sia czyta.

Otworzyła drzwi do pokoju brata i zajrzała. —
Rzadko teraz miała czas dla niego, zresztą zazdrośnie
pilnowała go Jagosia. Pocóż więc i ona...

Czas i głowę miała zaprzątniętą wyszywaniem
dla Benisi, której od matki zaniósł całą sztukę naj-
cieńszego płótna.

Szyła też sobie sukienkę niebieską śliczną.

Teraz zauważyła nagle, że Lutyk bardzo zmizer-
niał i że oczy mu wpadły głęboko.

— Kto to? spytał gdy weszła.

— To ja. Kachna.

— Jeszcze nie śpisz?

(D. c. n.)

„Księgi Państwa
w czasie Wielkiej V

Biblioteka Uniwersyteku
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie
7365 1916
CZASOPISMA

KOM
Drozdowski (za
achno, J. Kluko
St. Pytliński, A
berger (sekreta
Moskwa, we

artystyczna „Domu
e podjęła wspólnie
yśl wydania „Księgi
a Polskiego w Rosyi
ojny 1914-1916“.
któremu Sekcja poleciła
wymienionego wydawni-
a, wyobraża sobie, że „księga“ spel-
aby swoje zadanie, gdyby zdołała zo-
brazować gienę i całokształt życia obe-
nego tułactwa polskiego w Rosyi w przy-
bliżeniu według następującego planu:

Wstęp objąłby w bardzo zwięzłym
skrócie znaczenie wojny obecnej dla spra-
wy polskiej wogóle, skreśliłby analizę
zjawiska polskiego tułactwa, wyjaśniłby
jego źródło, rozmiary i kierunki, wyrysow-
wałby wyraziście tło, na którym odbył się
przymusowy, czy dobrowolny pochód mi-
lionowych rzesz, do swej ziemi przywią-
zanych, rozproszonych na ogromnych
przestrzeniach.

Bezpośrednio z takim wstępem wią-
załaby się część statystyczna, o ile w chwili
obecnej organizacje polskierozporządzają
już odnośnym materiałem, o czym zresz-
tą nie wątpimy. Ten dział nakreśliłby
strukturę tułactwa wedle przynależności
państwowej, zawodowej, społecznej, ma-
jątkowej intelektualnej, i podałby roz-
mieszczenie wychodźców w poszczegól-
nych centrach na wielkiej przestrzeni Ce-
sarstwa. Staralby się także zebrać dane
o instyt cyach, towarzystwach i osobach,
które w yciu narodowym wszystkich za-
borów w pracy społecznej ekonomicznej,
czy kulturalnej ważyły, a obecnie dla ja-
kichkolwiek przyczyn poza swoją ziemią
wśród tułaczycy znalazły się zastępów.
Części statystycznej nie należałoby nad-
miernie rozszerzać. Pozostawiając szcze-
gółowe i drobiazgowo opracowanie zbie-
ranych materiałów poszczególnym, bar-
dziej do tego powołanym organizacyom,
„Księga“ ograniczyłaby się do podania
tych tylko cyfr i w takim tylko ugrupowa-
niu, jakie konieczne będą do pozumie-
nia obrazu życia obecnej emigracji.

Rysując taki obraz, winna Część I
„Księgi“ objąć skreślenie:

a) w dziale I — organizacyi społecz-
nych, które powstały dla ujęcia całok-
kształtu pracy nad tułaczami. Dział ten
nie zadowoliliby się oczywiście jedynie
wyliczeniem instytucji i osób działających:
staralby się on zrozumieć i wyjaśnić psy-
chologię stosunku pracujących do ogro-
mnych mas, dla których pracę podjęto,
trudności, wśród jakich ją wykonano,
i ocenić, w jakiej mierze zmanifestowała
się tu zasadnicza zdolność organizacyjna
naszego narodu w chwilach krytycznych.—
Nowopowstałe organizacje po części, na-
wet w znacznej mierze, oparły się o or-
ganizacje dobroczynne i kulturalne, istnie-
jące wśród dawnej, polskiej emigracji
w Cesarstwie. Ten dział „Księgi“ winien
określić udział i wzajemny stosunek obu
rodzajów organizacyi do zadań, które zro-
dziła nowa sytuacja.

b) w dziale II życia zawodowego
polskich tułaczów.

Opierając się o cyfry, podane w czę-
ści statystycznej, dział ten zbada, o ile
tułacze nasi w zwartej swej masie przed-
stawiali w chwili opuszczania kraju ma-
teriał ludzki, zdolny do wsunięcia się
w tryby zawodowego i gospodarczego
życia w obcym społeczeństwie i w niezna-
nych sobie warunkach i w jakiej mierze
umieli tego dokonać. Jeśli „Księga“ znaj-
dzie dostateczny materiał faktyczny, bę-
dzie i tu także w możliwości oceniaenia ru-
chliwości naszego społeczeństwa i jego

umiejętności
zmienionej.

c) Dział III... by się opi-
saniem tej pracy, która była przez
instytucje i ludzi p... gólnych w sprawie
zorganizowania powrotu do kraju
i przygotowania tego wszystkiego, co mo-
że być potrzebnym zarówno wracającym,
jak i krajowi samemu i społeczeństwu
w chwili uzyskania możności rozwinięcia
wszystkich jego sił narodowych.

O ile Część I staralaby się w ten spo-
sób zebrać i ocenić materiał do opisa-
nia życia organizacyjnego, materialnego
i zawodowego emigracji, o tyle

Część II zajmie się skreśleniem jej
życia duchowego.

a) Po tej stronie kordonu wojennego
znalazła się z różnych przyczyn pewna
ilość literatów i artystów. Co oni two-
rzyli, jakie dla twórczości mieli warunki,
jaki po swej bytności ślad pozostawili,
jak odnosiło się do nich społeczeństwo
własne i rosyjskie, — o tem opowiedział
pierwszej tej części.

b) O teatrze i muzyce polskiej, o ar-
tystach scenicznych, o muzykach, kom-
pozytorach polskich napisze dział drugi.

c) Dział trzeci zajmie się publicystyką
i poda nam, jaka była prasa polska i ja-
kie reprezentowała kierunki polskiej my-
śli narodowej.

d) Dział czwarty poda, jak pracowali
w czasie tułactwa ludzie nauki, jak się
grupowali, jakie mieli do dyspozycyi śro-
dki i czego nimi dokonali.

e) Czy i w jakiej mierze określić bę-
dzie można wpływ polskich działaczy,
którzy pozostali po tej stronie kordonu,
na bieg wypadków i na przyszłe ukształ-
towanie się naszego narodowego życia,
nie możemy w tej chwili przewidzieć.

Część III.

Jeśli uda się zebrać materiał w ca-
łej pełni, uzyskamy podstawę do syntezy.
W artykule zamykającym obie części, któ-
re zobrazowały całokształt życia material-
nego i duchowego, winna „Księga“ roz-
patrzeć i wyrazić nastroje, które rodziły
się zależnie od chwili i biegu wypadków
wśród setek tysięcy oderwanych od zie-
mi, ożywionych jednym pragnieniem,
a często rozdzielonych przekonaniami.
Ich stosunek wzajemny do siebie, do oto-
czenia, do kultury od swojej różnej, ich
smutek, a nawet — mimo całą groźę po-
łożenia — ich radość życia, może być
przedmiotem takiej syntezy.

Krótką Część IV obejmuje zbiór naj-
ciekawszych dokumentów i odezów, listów,
programów, ustaw organizacyjnych.

A ostatnia Część V zawierałaby pra-
ce oryginalne, literackie lub naukowe,
najcenniejsze na jakie zdobędzie się emi-
gracya, o ile te rozmiarami wejda w ra-
my wydawnictwa. Tu mogłyby też znaleźć
miejsce reprodukcje dzieł sztuki pla-
stycznej oraz utwory muzyczne.

Podjmując zorganizowanie takiego
wydawnictwa, Komitet nasz uświadamia
sobie, że praca wykonana być może tylko
przy pomocy i czynnym współudziale szero-
kiego grona przedstawicieli wszystkich
kół umysłowo pracujących obecnie na
emigracji.

Na początek nie zwracaliśmy się jesz-
cze do organizacyi. Pragniemy na razie
zebrać uwagi i zapowiedzi współudziału
w pracy poszczególnych osób. Gdy mate-
ryał nadejdzie, sformujemy obszerny ko-
mitet redakcyjny i zwrócimy się do pol-
skich organizacyi i radę, pomoc i współ-
pracę. Nie wątpimy, że znajdziemy dla
naszego projektu zrozumienie.

W myśl powy-
zamieszkałych w Kijowie artystów i lite-
ratów, przystąpiwszy do samodzielnego
opracowania części V „Księgi“ pamiątko-
wej Tułactwa Polskiego rozpoczęło czyn-
ności przygotowawcze, polegające na grom-
adzeniu materiałów, oraz artystycznym
uplanowaniu wymienionego działu, który
w formie odrębnej Księgi Zbiorowej pod
nagłówkiem „Patria“ ujęty zostanie.

Bliższych informacji udziela p. Hie-
ronim Wierzyński, (Redakcja „Przedświ-
tu“, ul. Puszczyńska 12, m. 18).

Konkurs literacki.

Towarzystwo miłośników muzyki i
literatury w Piotrogradzie otrzymało
następujący:

Szanowni Panowie! Mając
wody niezwyklej oziębłości naszym
rodaków — wychodźców podczas te-
rażniejszej wojny i łatwego poddawa-
nia się pod wpływ chwilowego oto-
czenia, chciałbym przyczynić się do
obudzenia w nich polskości, przypu-
szczam więc, że jedną z celowych
rzeczy byłoby wydanie odpowiednie-
go utworu z chwili bieżącej, oparte-
go na godle: „Wierzę w moc ducha
i przyszłość Narodu Polskiego“.

W tym celu ofiaruję rb. 350 na
ogłoszenie konkursu na odpowiedni
utwór. Nagroda konkursowa — rb.
200, druga — rb. 100, trzecia — rb. 50.

Jest to projekt o ogólnym zary-
sie, a detale na konkurs mógłby
wygotować Zarząd. Na odpowiedź po-
zostawiam 10 dni, po przeciągu zaś
tego czasu, t. j. o ile nie otrzymam
odpowiedzi do 23 października, moja
propozycja odpada.

Z uszanowaniem

Adam Smoliński.

Piotrogród, 12/25 października 1916 roku.

Do Zarządu Polskiego Towarzystwa
Miłośników historii i literatury.

Rada Towarzystwa z wdzięcznością
przyjęła do wykonania inicjatywę p.
Adama Smolińskiego, wchodzącą w za-
kres zadań Towarzystwa (art ...Ustawy)
i naradziwszy się na posiedzeniach
w dniu 19 października i 2 listopada
r. b. nad sposobami użycia złożonego
funduszu, powzięła następującą uchwałę:

Towarzystwo miłośników historii i li-
teratury, wchodząc w intencję ofiarodaw-
cy, a z drugiej strony w potrzeby umysłowe
chwili obecnej, przyszło do przekonania,
że hasło: „Wierzę w moc ducha
i przyszłość Narodu Polskiego“ najlepiej
odpowie praca literacka, uzasadniająca
w sposób rozumowany podstawy tej na-
szej wiary powszechnej, mianowicie
w czem się objawi ow...
Polska zrobiła już dla...
połu kultury, a co pozost...
nia, aby zapewnić nar...
i samodzielność twórczą.

Byłaby to próba historycznej oceny
momentu w którym znajduje się nasza
kultura, sposobność obrachunku z dzie-
jową świadomością polską. Do zadania
takiego warto powołać szersze zastępy
piszących, a żaden wysilek myśli w tej
dziedzinie nie będzie stracony, duch bo-
wiem narodu krzepi się pracą takich
obrachunków i uświadczeń.

Organizatorowie konkursu rozumie-
ją, że w obecnych warunkach na wy-

64
8968
0 315
7 478

Wos, 7365/23
24